



PUSTYNIA TATARÓW

Dino Buzzati

Wydawnictwo Dolnośląskie



BIBLIOTEKA KLASYKI

PUSTYNIA TATARÓW

Dino Buzzati

przełożył
Alojzy Pałłasz



Wydawnictwo Dolnośląskie

I

Po awansie na oficera, pewnego wrześnieowego poranka Giovanni Drogo wyjechał z miasta, aby dotrzeć do Fortecy Bastiani, swego pierwszego miejsca przeznaczenia.

Kazał się obudzić jeszcze przed świtem i po raz pierwszy wkładał mundur porucznika. Kiedy skończył, w świetle lampy naftowej przejrzał się w lustrze, nie czując jednak spodziewanej radości. W domu panowała cisza, jedynie z sąsiedniego pokoju dobiegały jakieś szmery; to właśnie wstawiała matka, żeby go pożegnać.

Tak wyglądał dzień oczekiwany od lat, początek prawdziwego życia. Myślał o ponurych dniach w Akademii Wojskowej; przypomniały mu się gorzkie wieczory wypełnione nauką, gdy słyszał, jak ludzie wolni i prawdopodobnie szczęśliwi spacerowali po ulicach. Również zimowe pobudki w lodowatych sypialniach, gdzie czaiły się koszmary odbywanych kar. Wspomnił ból, z jakim liczył kolejne dni, które, zdawać by się mogło, nie skończą się nigdy.

Wreszcie został oficerem, skończyło się ślęczenie nad książkami i obawa przed głosem sierżanta: to wszystko minęło. Wszystkie owe dni, które zdawały mu się tak obmierzłe, skończyły się na zawsze; minęły w postaci miesięcy i lat, które się więcej nie powtarzą. Tak, teraz jest oficerem, będzie miał pieniądze, może nawet piękne kobiety zaczną się za nim oglądać, lecz w gruncie rzeczy – pomyślał Giovanni Drogo – najlepsze czasy, pierwsza młodość, przypuszczalnie już się skończyły. Tak więc Drogo wpatrywał się w lustro, widząc nikły uśmiech na twarzy, który na próżno usiłował polubić.

Jakież to głupie: czemu nie udawało mu się uśmiechać z nieodzowną beztrąską, w chwili kiedy żegnał matkę? Dlaczego nie docierały do niego nawet jej ostatnie wskazówki, a odbierał tylko dźwięk głosu, tak znanego i serdecznego? Czemu kręcił się po pokoju, nerwowo bez powodu, nie mogąc odnaleźć zegarka, szpicruty ani beretu, znajdujących się jednak na właściwym miejscu? Przecież nie wyjeżdżał na wojnę! Dziesiątki poruczników takich jak on, jego starych druhów, o tej samej godzinie opuszczało dom rodzinny, śmiejąc się wesoło, jakby szli na zabawę. Dlaczego z jego ust

pływały ku matce tylko ogólnikowe frazesy, pozbawione sensu, zamiast słów serdecznych i uspokajających? Gorycz opuszczania po raz pierwszy starego domu, w którym zrodziły się wszelkie nadzieje, obawy, jakie przynosi z sobą każda zmiana, emocje rozstania z matką wypełniały całkowicie jego serce, lecz nad wszystkim ciążyła uporczywa myśl, której nie potrafił określić, niczym niejasne przeczucie czegoś złowróżbnego, jakby miał rozpocząć podróż bez powrotu.

Przyjaciół Francesco Vescovi towarzyszył mu konno na pierwszym odcinku drogi. Tętent zwierząt odbijał się echem na pustych gościńcach. Świtało, miasto jeszcze pogrążone było we śnie, tu i ówdzie na ostatnich piętrach otwierała się żaluzja; ukazywały się zmęczone twarze, apatyczne oczy zaś przez moment wpatrywały się w cudowne narodziny słońca.

Obaj przyjaciele milczeli. Drogo zastanawiał się, jaka może być Forteca Bastiani, lecz nie potrafił jej sobie wyobrazić. Nawet nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje ani jak długo trzeba do niej jechać. Niektórzy mówili, że cały dzień konno, inni, że mniej; żaden z tych, których pytał, nigdy jeszcze tam nie był.

U bram miasta Vescovi zaczął z ożywieniem mówić o zwyczajnych sprawach, jakby Drogo udawał się na przejażdżkę. A potem w pewnej chwili:

– Czy widzisz tę porośniętą trawą górę? Tak, właśnie tę. A budowlę na szczycie? – pytał. – To już kawałek Fortecy ta wysunięta reduta. Przechodziłem tamtędy dwa lata temu, pamiętam, z wujem, udając się na polowanie.

Tymczasem wyjechali już z miasta. Zaczynały się kukurydziane pola, łąki, czerwone jesienne lasy. Białą, skąpaną w słońcu drogą posuwali się obaj ramię przy ramieniu. Giovanni i Francesco byli przyjaciółmi zżyтыми z sobą od wielu lat, te same zamiłowania, te same przyjaźnie; zawsze, codziennie widziano ich razem, potem Vescovi się roztył, a Drogo został oficerem i teraz zrozumiał, jak daleki stał mu się tamten. Całe to życie łatwe i wytworne miał już za sobą, oczekiwały go rzeczy poważne i nieznanne. Nawet ich konie – miał wrażenie – posuwały się już innym krokiem; tętent jego wierzchowca, nie tak lekki i żywy jak Francesca, ujawniał obawę i zmęczenie, jakby również zwierzę czuło, że ich życie miało ulec zmianie.

Zbliżali się do wierzchołka stromego zbocza. Drogo odwrócił się, aby obejrzeć miasto pod światło; poranne dymy unosiły się z dachów. Zobaczył z daleka swój dom. Dostrzegł okno pokoju. Przypuszczalnie było otwarte, a kobiety zaczęły już sprzątać. Pewnie zebrały pościel, zamknęły rzeczy w szafie i spuściły żaluzje. Miesiącami nikt nie będzie tam wchodził z wyjątkiem cierpliwego kurzu, a podczas dni słonecznych – drobnych smug światła. Oto zamknięty w ciemności mały świat jego dzieciństwa. Zostanie przechowany przez matkę, aby po powrocie mógł się w nim odnaleźć i pozostać chłopcem nawet po długiej nieobecności; och, tak się łudziła, że zdoła zachować nienaruszone szczęście, które uciekło już na zawsze, że powstrzyma przepływ czasu, a otwierając znowu drzwi i okna na powrót syna, przywróci wszystko do dawnego porządku.

W tym miejscu przyjaciel Vescovi pożegnał go serdecznie i Drogo ruszył dalej, teraz już w pojedynkę zbliżając się do łańcucha gór. Słońce stało w zenicie, gdy dotarł do kotliny prowadzącej do Fortecy. Z prawej strony, na szczycie, dostrzegł redutę, którą pokazał mu Vescovi. Nie odniósł wrażenia, żeby było do niej daleko.

Pragnąc dojechać jak najszybciej, Drogo nie zatrzymał się na popas, spiał ostrogą zmęczonego konia, kierując go na drogę jeszcze bardziej stromą i przebiegającą wśród urwistych stoków. Do spotkań dochodziło jednak coraz rzadziej. Jakiegoś woźnicę Giovanni zapytał, jak długo jeszcze trzeba jechać do Fortecy.

– Fortecy? – powtórzył tamten. – Jakiej fortecy?

– Fortecy Bastiani – odparł Drogo.

– W tych stronach nie ma fortec – rzekł woźnica. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Oczywiście był źle poinformowany. Drogo ruszył dalej i w miarę jak upływało popołudnie, zaczął odczuwać lekką obawę. Wpatrywał się uważnie w bardzo wysokie zbocza kotliny, chcąc odnaleźć Fortecę. Wyobrażał ją sobie jako rodzaj starożytnego zamku ze wspaniałymi murami obronnymi. Mijały kolejne godziny i coraz silniej był przekonany, że Francesco udzielił błędnej informacji; reduta, którą mu pokazał, chyba już dawno została daleko z tyłu. A tymczasem zbliżał się wieczór.

Spójrzcie, oto Giovanni Drogo i jego koń: jacy mali na zboczu gór coraz większych i dzikszych. Wspina się nadal, aby dotrzeć do Fortecy jeszcze w

ciągu dnia, lecz z głębi, gdzie szumi potok, szybsze od niego wychodzą cienie. W pewnej chwili znajdują się na wysokości Droga, na przeciwległym stoku kotliny, i wydaje się, że na moment zwalniają biegu, jakby nie chcąc odbierać mu otuchy; potem znów wyślizgują się w górę po urwiskach i gładkach, a jeździec zostaje na dole.

Całą kotlinę wypełnił już fioletowy mrok, jedynie obnażone szczyty, porośnięte trawą, na niewiarygodnej wysokości oświetlone były słońcem, kiedy Drogo zniemacka znalazł się przed nią, czarną i olbrzymią na tle bardzo czystego wieczornego nieba: przed budowlą wojskową, sprawiającą wrażenie starożytnej i opuszczonej. Giovanni poczuł bicie serca, ponieważ miała to być Forteca, lecz wszystko, od murów aż do krajobrazu, tchnęło atmosferą niegościnną i złowrogą.

Obszedł ją wkoło, nie znajdując wejścia. Mimo że było już ciemno, światło nie paliło się jeszcze w żadnym oknie ani nie można było dostrzec świateł warty na skraju murów. Jedyne nietoperz kołysał się na tle białej chmury. W końcu Drogo odważył się krzyknąć:

– Hej! – zawołał – jest tam kto?

Z cienia spowijającego podnóże murów wyszedł mężczyzna, rodzaj włóczęgi i biedaka, z siwą brodą i małą podręczną torbą. W półcieniu trudno go jednak było rozpoznać, tylko białka oczu mu błyszczały. Drogo spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Kogo pan szuka? – zapytał.

– Szukam Fortecy. Czy to tu?

– Tu nie ma już fortecy – odparł nieznajomy dobrotliwym głosem. – Wszystko pozamykane, od dziesięciu lat nikogo nie ma.

– Więc gdzie jest Forteca? – spytał Drogo, nagle rozzłoszczony na rozmówcę.

– Która forteca? Może tamta? – nieznajomy wyciągnął ramię na coś wskazując.

W szparze między pobliskimi urwiskami, już skapanymi w ciemności, za chaotycznymi schodami szczytów, w bliżej nieokreślonej odległości, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Giovanni Drogo ujrzał nagi pagórek, jeszcze zanurzony w czerwieni zachodzącego słońca, a na jego krańcu smugę

regularną i geometryczną utrzymaną w specjalnym, żółtawym kolorze: zarys Fortecy.

Och, jak daleko jeszcze! Któż wie, ile godzin drogi, a jego koń już był wyczerpany. Drogo wpatrywał się w nią zafascynowany, w duchu siebie pytając, co ponętnego mogło się mieścić w tej samotnej twierdzy, prawie niedostępnej, odseparowanej od świata. Jakie ukrywała tajemnice? Były to jednak ulotne chwile. Zachodzące słońce już powoli odłączało się od odległego pagórka, a w górę, wzdłuż żółtych bastionów, wspinały się posępne cienie zbliżającej się nocy.

II

Ciemność dopadła go, gdy był jeszcze w drodze. Kotlina się zwężyła, a Forteca znikła za sterczącymi górami. Nie było już światła ani nawet odgłosów nocnych ptaków i tylko od czasu do czasu z oddali dobiegał plusk wody.

Usiłował krzyżeć, lecz echo odpowiedziało mu dźwiękiem o wrogim zabarwieniu. Do kikuta drzewa u skraju drogi przywiązał konia, żeby mógł skubać trawę. Sam usiadł i plecami przywarł do skarpy, czekając, aż przyjdzie sen. Na razie myślał o drodze, która była jeszcze przed nim, i ludziach, których poznał w Fortecy, oraz o swym przyszłym życiu, nie odnajdując jednak żadnego powodu do radości. Koń nieregularnie uderzał kopytami o ziemię w sposób antypatyczny i dziwny.

O świcie, podejmując wędrówkę, spostrzegł, że na przeciwległym zboczu szerokiej kotliny, na podobnej wysokości, ciągnęła się druga droga, i nieco później dostrzegł coś, co się poruszało. Słońce całkowicie jeszcze nie wzeszło i cienie wypełniały wszystkie wgłębienia uniemożliwiając dokładną obserwację. Przyspieszywszy jednak kroku Drogo znalazł się na tej samej wysokości i stwierdził, że był to mężczyzna: oficer na koniu.

Człowiek w końcu jak on, przyjazna istota, z którą można się pośmiać i pożartować, rozmawiać o przyszłym wspólnym życiu, o polowaniach, kobietach i mieście. O mieście, które teraz wydawało mu się odległe niby w najdalszym świecie.

Tymczasem kotlina znów się zwięzła, a obie drogi zbliżyły do siebie, i Giovanni Drogo zauważył, że nieznajomy był kapitanem. Początkowo wcale nie zamierzał krzyknąć: wydało mu się to niepotrzebne i pozbawione szacunku. Dlatego jedynie kilka razy zasalutował, podnosząc prawą dłoń do beretu, ale tamten nie odpowiadał. Najwidoczniej w ogóle go nie zauważył.

– Panie kapitanie! – krzyknął wreszcie Giovanni, ulegając zniecierpliwieniu. I znowu zasalutował.

– Co się stało? – odpowiedział głos z przeciwległej strony. Kapitan zatrzymawszy się, zasalutował poprawnie i teraz chciał wiedzieć, dlaczego Drogo krzyczał. W jego pytaniu nie było surowości; skądinąd jednak wyczuwało się, że został zaskoczony.

– Co się stało? – głos kapitana, tym razem lekko zirytowany, odbił się echem.

Giovanni stanął w miejscu, zwinął dłonie w trąbkę i odpowiedział jednym tchem: – Nic! Chciałem tylko zasalutować!

Wyjaśnienie było głupie i prawie obraźliwe, gdyż mogło zakrawać na żart. Natychmiast tego pożałował. Wpakował się w śmiechu godne kłopoty tylko dlatego, że nie wytrzymał samotności.

– Kim pan jest? – krzyknął kapitan.

Tego pytania Drogo się obawiał. Dziwna rozmowa, prowadzona między jedną a drugą stroną kotliny, zaczęła nabierać charakteru hierarchicznego przesłuchania. Nieprzyjemny początek, gdyż prawdopodobnie, jeśli nie na pewno, kapitan był człowiekiem z Fortecy. Zresztą, coś należało mu odpowiedzieć.

– Porucznik Drogo! – krzyknął Giovanni, żeby się przedstawić.

Kapitan go nie znał i z pełnym prawdopodobieństwem nie mógł zrozumieć jego nazwiska z tej odległości, lecz chyba się uspokoił, bo ruszył dalej, dając porozumiewawczy znak, jakby chciał powiedzieć, że wkrótce się spotkają. Rzeczywiście, po upływie pół godziny wąwóz zrobił się węższy i wtedy ukazał się most. Obie drogi połączyły się w jedną.

Spotkali się na moście. Nadal konno, kapitan zbliżył się do Droga i wyciągnął rękę. Był to mężczyzna pod czterdziestkę, a może i starszy, z

twarzą suchą i pańską. Krój munduru miał niewyszukany, lecz całkowicie zgodny z przepisami. – Kapitan Ortiz – przedstawił się krótko.

Ściskając jego dłoń, Drogo poczuł się tak, jakby wreszcie wkraczał do świata Fortecy. Było to pierwsze nawiązanie więzi, ale wkrótce pojawia się inne, niezliczone, różnego rodzaju, które go tu będą zatrzymywać.

Kapitan wznowił wędrówkę; Drogo jechał nieco z tyłu ze względu na rangę i czekał na jakąś nieprzyjemną aluzję do niedawnej, kłopotliwej rozmowy. Kapitan jednak milczał; może nie miał ochoty rozmawiać, a może był nieśmiały i nie wiedział, jak zacząć. Ponieważ droga była stroma, a słońce upalne, konie poruszały się powoli.

W końcu kapitan Ortiz powiedział: – Przed chwilą, z tamtej odległości, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska. Zdaje się, że Droso?

Giovanni odpowiedział: – Drogo, przez „g”, Drogo Giovanni. Panie kapitanie, proszę mi wybaczyć, że wtedy krzyczałem. Czy pan uwierzy – dodał zmieszany – stamtąd nie dostrzegłem rangi.

– Faktycznie, nie sposób było dojrzeć – zgodził się Ortiz, nie chcąc się sprzeczać, i roześmiał się.

Przejechali tak jeszcze kawałek, obaj jakby zmieszani. Potem Ortiz rzucił: – Dokąd pan jedzie?

– Do Fortecy Bastiani. Chyba jestem na dobrej drodze?

– Na dobrej, faktycznie.

Milczeli, było ciepło, i ciągle te góry ze wszystkich stron: olbrzymie, dzikie góry porośnięte trawą.

Ortiz powiedział: – A więc jedzie pan do Fortecy? Czy przywozi nam pan jakąś wiadomość?

– Nie, panie kapitanie, mam tylko rozpocząć tam służbę. Otrzymałem skierowanie.

– Skierowanie do kadry?

– Myślę, że tak. Do oficerskiej. To mój pierwszy przydział.

– No to do kadry, na pewno... Dobrze, dobrze, skoro tak... a więc moje gratulacje.

– Dziękuję, panie kapitanie.

W milczeniu znowu przejechali kawałek drogi. Giovanniemu bardzo chciało się pić, a u siodła kapitana wisiała drewniana manierka i słychać było plusk wody: plum, plum.

Ortiz zapytał: – Na dwa lata?

– Przepraszam, panie kapitanie, co na dwa lata?

– Dwa lata, mówię. Odbędzie pan zwykłą dwuletnią turę, prawda?

– Dwa? Nie wiem, nie powiedzieli na ile.

– Ech, to jasne, że dwa, jak wszyscy nowo mianowani porucznicy. Dwa lata, a potem możecie odejść.

– Wszyscy regulaminowo na dwa lata?

– Tak, na dwa, to jasne, ale do wysługi liczą się jak cztery i to właśnie jest ważne, bo inaczej nikt by nie chciał. Hm, byle tylko zrobić karierę, to i do Fortecy się można przyzwyczaić, nieprawdaż?

Drogo nigdy o tym nie słyszał, ale nie chcąc wyglądać na głupca, odpowiedział wymijająco:

– Z pewnością wielu...

Ortiz nie nalegał, wydawało się, że cała sprawa już go nie interesuje. Teraz jednak, kiedy lody zostały przełamane, Giovanni znowu zapytał: – Czy w Fortecy wysługa jest podwójna dla wszystkich?

– Których wszystkich?

– No, czy również dla innych oficerów?

Ortiz uśmiechnął się szyderczo. – Akurat! Dla wszystkich! Dobre sobie! Tylko dla młodszych, to jasne, inaczej kto by chciał złożyć podanie?

Drogo powiedział: – Nie składałem podania.

– Nie złożył pan podania?

– Nie, panie kapitanie. Dopiero dwa dni temu dowiedziałem się, że wyznaczono mnie do Fortecy.

– O, to dziwne, faktycznie.

Znów milczeli i każdy wydawał się myśleć o czymś innym. Ale Ortiz powiedział: – Chyba że...

Giovanni się otrząsał. – Rozkaz, panie kapitanie...

– Mówię: chyba że w ogóle nie było podań i wtedy wyznaczono pana z urzędu.

– Być może, panie kapitanie.

– Chyba tak być musiało, faktycznie.

Drogo spoglądał na cienie obu koni wyraźnie widoczne na zakurzonej drodze i na łby kiwające rytmicznie tak, tak przy każdym kroku; słyszał ich poczwórny tętent, bzykanie bąków i nic ponadto. Końca drogi nie było widać. Od czasu do czasu na zakręcie kotliny dostrzegali przed sobą zaledwie rysującą się ścieżkę, która wspinała się zygzakiem, położona bardzo wysoko i przerywana przepaścistymi stokami. Kiedy zaś tam dojechali, zadarłszy głowy, widzieli przed sobą znów tę samą ścieżkę: ciągle wyżej i wyżej.

Drogo zapytał: – Przepraszam, panie kapitanie...

– Słucham pana, słucham.

– Czy długo jeszcze będziemy jechać?

– Długo nie, może dwie i pół godziny albo trzy, jeśli w takim tempie. Może do południa dojedziemy, faktycznie.

Przez chwilę milczeli, konie spocły się mocno, a zmęczony wierzchowiec kapitana ledwo włókł kopyta.

Ortiz spytał: – Chyba przychodzi pan z Królewskiej Akademii, nieprawdaż?

– Tak, proszę pana, z Akademii.

– No właśnie, a czy jest tam jeszcze pułkownik Magnus?

– Pułkownik Magnus? Nie wydaje mi się, nie znam go.

Kotlina zaczęła się zwężać, zamykając dostęp promieniom słońca. Od czasu do czasu otwierały się posępne wąwozy, po których hulały lodowate wiatry, a kiedy już byli na szczycie, dojrzeli bardzo strome, stożkowate góry; rzekłbyś, nawet dwa, trzy dni nie wystarczą, aby wejść na wierzchołek, takie były wysokie.

Ortiz zapytał: – Niech mi pan powie, poruczniku, czy jest tam jeszcze major Bosco? Czy prowadzi naukę strzelania?

– Nie, proszę pana, nie wydaje mi się, jest Zimmermann, major Zimmermann.

– Tak, Zimmermann, faktycznie, przypominam sobie to nazwisko. Rzecz w tym, że tyle lat minęło od tamtych czasów... chyba już wszystkich wymienili.

Obydwaj nad czymś się zamyślili. Ścieżka ponownie wyszła na spotkanie słońcu, po jednych górach następowały inne, teraz tylko bardziej strome i skaliste.

Drogo powiedział: – Widziałem ją wczoraj z daleka.

– Co takiego, Fortecę?

– Tak, Fortecę – zrobił pauzę i po chwili, żeby okazać uprzejmość: – Musi być wspaniała, prawda? Wydała mi się olbrzymia.

– Wspaniała? Forteca? Nie, nie, jest jedną z najmniejszych, to bardzo stara budowla i dlatego jedynie z daleka wywiera pewne wrażenie.

Przez chwilę milczał, a potem dodał: – Bardzo stara, kompletnie przestarzała.

– Ale jest jedną z najglówniejszych, nieprawda?

– Nie, nie, to forteca drugiej kategorii – odpowiedział Ortiz. Wydawało się, że mówił o niej źle z lubością, chociaż szczególnym tonem, niby ktoś zabawiający się wyszukiwaniem wad u syna, przekonany, że będą musiały wydać się śmiesznie małe w zestawieniu z jego bezgranicznymi zaletami.

– Odcinek całkowicie martwej granicy – dodał Ortiz. – Dlatego nigdy jej nie zmieniano i pozostała dokładnie taka sama, jak w ubiegłym stuleciu.

– Jak to: martwej granicy?

– Granicy, z którą nie ma kłopotu. Za nią znajduje się wielka pustynia.

– Pustynia?

– Pustynia, faktycznie, kamienie i wyschnięta ziemia, nazywają ją Pustynią Tatarów.

Drogo zapytał: – Dlaczego Tatarów? Czy tam byli Tatarzy?

– Może kiedyś, dawno temu. Ale głównie chodzi o legendę. Chyba nikt tamtędy nie przechodził, nawet podczas minionych wojen.

– A zatem Forteca nigdy niczemu nie służyła?

– Nigdy – powiedział kapitan.

Droga ciągle wznosiła się, drzewa już się skończyły i tylko rzadkie zarośla widniały tu i ówdzie; poza tym spieczone łąki, skały, usypiska czerwonej ziemi.

– Przepraszam, panie kapitanie, czy w pobliżu są jakieś miejscowości?

– Hm, w pobliżu nie ma. Jest San Rocco, ale to trzydzieści kilometrów od nas.

– Czyli mało rozrywek, jak sądzę,

– Mało rozrywek, mało, faktycznie.

Powietrze stało się świeższe, a stoki gór zaczęły się zaokrąglać, pozwalając przypuszczać, że wierzchołki były już blisko.

– I nie nudzicie się, panie kapitanie? – spytał Giovanni z odcieniem zażyłości, śmiejąc się, jakby chciał powiedzieć, że wcale się tym nie przejmuje.

– Człowiek się przyzwyczaja – odparł Ortiz i dodał z ukrytym przytykiem: – Jestem już tam prawie osiemnaście lat. Nie, źle powiedziałem, równo osiemnaście lat.

– Osiemnaście? – spytał przejęty Giovanni.

– Osiemnaście – powtórzył kapitan.

Gromada kruków przeleciała obok dwóch oficerów i pofrunęła w głąb kotliny.

– Kruki – rzekł kapitan.

Giovanni nie odpowiedział; myślał o czekającym go życiu, czując się obco w tym świecie, samotnie wśród gór. Zapytał:

– Czy ktoś z oficerów, którzy rozpoczęli tam służbę, pozostał u was dłużej?

– Ostatnio niewielu – odparł Ortiz, prawie żałując, że mówił źle o Fortecy, i dostrzegając, że jego rozmówca zaczyna przesadzać – prawie nikt. Teraz wszyscy mają ochotę na wspaniałe garnizony. Kiedyś Forteca Bastiani była zaszczytem, a teraz niemal karą.

Giovanni milczał, ale tamten mówił dalej:

– Zresztą jest to garnizon przygraniczny. W zasadzie niepozbawiony zalet. Ale posterunek przygraniczny jest zawsze posterunkiem przygranicznym, faktycznie.

Drogo milczał i nagle poczuł przygnębienie. Horyzont się poszerzał, w głębi ukazywały się ciekawe linie skalistych gór i ostre urwiska wznoszące się ku niebu.

– Teraz również w wojsku poglądy się zmieniły – ciągnął Ortiz,

– Kiedyś Bastiani była wielkim zaszczytem. Teraz mówią, że to martwa granica, nie pamiętając o tym, że granica jest zawsze granicą i nigdy nie wiadomo...

W poprzek drogi płynął strumień. Zatrzymali się, aby napić konie, a zszedłszy z siodeł zrobili parę kroków, żeby wyprostować kości.

Ortiz powiedział: – Czy pan wie, co faktycznie jest tam pierwszorzędne? – roześmiał się z zadowoleniem.

– Co takiego, panie kapitanie?

– Kuchnia. Zobacz pan, jak sieje w Fortecy. To właśnie tłumaczy częste inspekcje. Co piętnaście dni generał.

Drogo roześmiał się uprzejmie. Nie mógł zrozumieć, czy Ortiz był kretynem, czy raczej coś ukrywał, czy też wreszcie opowiadał byle co, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co mówi.

– Doskonale – rzekł Drogo – jestem bardzo głodny!

– Och, jesteśmy już całkiem blisko. Czy widzi pan tamto wzniesienie z łąką piargu? O, właśnie tam z tyłu.

Gdy znowu ruszyli w drogę, akurat za wzniesieniem z łąką piargu, obaj dotarli do krawędzi lekko wznoszącego się płaskowyżu i przed sobą ujrzeli Fortecę w odległości kilkuset metrów.

Rzeczywiście wydawała się nieduża w porównaniu z wrażeniem, jakie sprawiła pierwszego wieczora. Z fortu centralnego, który w gruncie rzeczy przypominał koszary z małą ilością okien, wychodziły dwa niskie mury zwieńczone blankami, łączące go z redutami bocznymi: po dwie z każdej

strony. W ten sposób mury niemal zagradzały całą przełęcz o szerokości około pięćdziesięciu metrów, z boku zamkniętą wysokimi, urwistymi skałami.

Z prawej strony, pod samą ścianą gór, płaskowyz wpadał jakby w rodzaj siodła; przechodziła tam stara droga prowadząca przez przełęcz i kończąca się na murach.

W pełni południowego słońca, pozbawionego cienia, fort tonął w ciszy. Jego mury (front niewidoczny, bo zwrócony na północ) rozciągały się szeroko, obnażone i żółtawe. Z jakiegoś komina unosił się blady dym. Wzdłuż całego gmachu centralnego, murów i redut widać było dziesiątki wart z karabinami na plecach, które kroczyły miarowo tam i z powrotem, każda po swym maleńkim odcinku. Przypominały ruch wahadła i tym silniej akcentowały upływ czasu, nie niszcząc czaru zacisza, które wydawało się wieczne.

Góry z prawej i lewej rozciągały się jak okiem sięgnąć, przechodząc w spadziste łańcuchy, zapewne niedostępne. Również one, przynajmniej o tej porze, były żółte i spalone słońcem.

Giovanni Drogo instynktownie zatrzymał konia. Powoli rozejrzał się wkoło, przeniósł wzrok na posępne mury, nie mogąc odszyfrować ich sensu. Pomyślał o więzieniu, potem o opustoszałym pałacu królewskim. Lekki powiew wiatru zatrzepotał wiszącym nad fortem sztandarem, który przedtem zwisał smętnie, opadając na drzewce. Słysząc było niewyraźne echo trąbki. Warty poruszały się powoli. Na placu przed bramą wejściową trzech czy czterech mężczyzn (z tej odległości nie sposób ustalić, czy to byli żołnierze) ładowało worki na wóz. Nad wszystkim jednak panowało tajemnicze odrętwienie.

Kapitan Ortiz też się zatrzymał i spoglądał na twierdzę.

– Oto ona – powiedział, chociaż absolutnie nie było to potrzebne.

Drogo pomyślał: teraz zapyta, co o niej sądzę, i ogarnęło go zakłopotanie. Kapitan jednak milczał.

Ze swymi niskimi murami Forteca Bastiani nie była ani imponująca, ani piękna, ani malowniczo przystrojona wieżami lub bastionami: absolutnie nic nie ozdabiało jej gołych ścian, nic, co mogłoby nasuwać myśl o życiowych przyjemnościach. A jednak, podobnie jak poprzedniego wieczora w głębi

kotliny, Drogo spoglądał na nią zahipnotyzowany, a niewytłumaczalna rozkosz wypełniała jego serce.

Ale co mogło być dalej? Za tą niegościnną twierdzą, za blankami i kazamatami, za prochowniami, na których kończył się widok: jaki świat tam się zaczynał? Jakie wrażenie sprawiało Królestwo Północy i kamienna pustynia, której nikt jeszcze nie przebył? Na mapie – niewyraźnie przypominał sobie Drogo – za granicą rozciągała się szeroka strefa o bardzo małej ilości nazw geograficznych, ale ze szczytu Fortecy chyba uda mu się wypatrzeć przynajmniej jakąś wioskę, łąkę, może domek; co będzie jednak, jeśli ujrzy tylko opustoszałe, całkowicie niezamieszkałe tereny?

Nagle poczuł się samotny i jego żołnierska odwaga, zupełnie niewymuszona, dopóki trwały miłe przeżycia garnizonowe, dopóki miał wygodne mieszkanie i wesołych przyjaciół zawsze obok siebie, a także drobne, nocne przygody w ogrodach, cała odwaga i poczucie bezpieczeństwa raptem go opuściły. Wydawało mu się, że Forteca jest jednym z tych nieznanych światów, z którymi, jak dotąd myślał, nigdy nie będzie miał nic wspólnego; nie dlatego, żeby uważał je za nienawistne, ale dlatego że sprawiały wrażenie nieskończenie oddalonych od jego codziennego życia. Świat dużo bardziej wymagający i pozbawiony wszelkiego blasku, który by nie był w zgodzie z jego geometrycznymi prawami.

Och, odejść! Nawet nie przekroczyć progu Fortecy i opuścić te góry, wrócić do swojego miasta i starych przyzwyczajień. Taka była pierwsza myśl Droga, i nieważne, czy słabość jest rzeczą wstydliwą dla żołnierza; w razie potrzeby byłby nawet gotów przyznać się do niej, gdyby tylko pozwolono mu odejść. Ale gęsta biała chmura nadciągnęła od strony niewidocznego północnego horyzontu, dotarła do skarpy twierdzy, słońce świeciło pionowo, a niewzruszone straże nadał kroczyły tam i nazad niby automaty. Koń Droga krótko zarżał. Potem znowu zapanowała wielka cisza.

W końcu Giovanni oderwał oczy od Fortecy i spojrzął na stojącego opodal kapitana, licząc na przyjazne słowo. Również Ortiz stał nieporuszony i intensywnie wpatrywał się w żółte mury. Tak, on, który tu żył od osiemnastu lat, spoglądał na nią jak oczarowany, jakby ujrzał cud. Wydawało się, że nigdy się nie zmęczy i nie oderwie wzroku, a nieokreślony uśmiech, zarazem radosny i pełen smutku, powoli rozjaśniał jego twarz.

III

Natychmiast po przybyciu Drogo zameldował się u majora Mat-tiego, pierwszego adiutanta batalionu. Porucznik dowodzący czujką, Carlo Morel, młodzieniec bezpośredni i serdeczny, pokazał mu centralną część Fortecy. Z wąskiego, długiego hallu wejściowego – skąd widać było duży, opuszczony dziedziniec – obaj ruszyli szerokim korytarzem sprawiającym wrażenie, iż ciągnie się w nieskończoność. Sufit gubił się w półmroku; od czasu do czasu małe okienka przepuszczały drobną smugę światła.

Dopiero na piętrze spotkali żołnierza niosącego plik papierów. Ściany puste i wilgotne, cisza, blade światła: tak jakby wszyscy tu zapomnieli, że gdzieś na świecie istnieją kwiaty, roześmiane kobiety, wesołe i gościnne domy. Wszystko tchnęło rezygnacją; lecz dla kogo, w imię jakiego tajemniczego dobra? Tymczasem weszli na trzecie piętro, krocząc korytarzem identycznym jak na pierwszym. Zza niektórych murów dobiegało dalekie echo śmiechu, który Drogowi wydał się nieprawdopodobny.

Major Matti był tłuściuteńki i uśmiechał się z nadmierną dobroduszością. Miał ogromną kancelarię, biurko również wielkie i pełne starannie uporządkowanych papierów. Nieco dalej kolorowy portret Króla oraz szabla majora zawieszona na umyślnym drewnianym kołku.

Drogo stanął na baczność, pokazał dokumenty i zaczął tłumaczyć, że nie składał podania o przydział do Fortecy (był zdecydowany, jeśli to tylko możliwe, ubiegać się o przeniesienie), ale Matti mu przerwał:

– Wiele lat temu poznałem pańskiego ojca, poruczniku. Wzorowego szlachcica. Z pewnością okaże się pan godny jego pamięci. Jeśli się nie mylę, był przewodniczącym Wysokiego Trybunału, nieprawda?

– Nie, panie majorze – odparł Drogo. – Mój ojciec był lekarzem.

– Ach, właśnie, lekarzem, do licha, poplątało mi się, lekarzem, tak, tak. – Przez chwilę Matti sprawiał wrażenie zmieszanego i Drogo zauważył, że raz po raz unosząc lewą dłoń do kołnierzyka usiłował zakryć tłustą plamkę: okrągłą, najwidoczniej świeżą, na samym przodzie munduru.

Major szybko się opanował: – Miło mi pana poznać – powiedział. – Czy wie pan, jak mawiał Jego Wysokość Piotr III? „Forteca Bastiani strażą mojej korony”, a ja dodam, że służyć w niej jest wielkim zaszczytem. Czyżby pan nie był o tym przekonany, poruczniku?

Matti wypowiedział te słowa mechanicznie niczym formułę od lat wyćwiczoną, którą należało wystrzelić przy określonej okazji.

– Właśnie, panie majorze – rzekł Giovanni. – Zupełna racja, chociaż przyznaję, że było to dla mnie niespodzianką. Mam rodzinę w mieście, wołałbym, jeśli można, pozostać...

– Ach, więc chce nas pan opuścić jeszcze przed przybyciem, że się tak wyrażę? Przyznam, że mi przykro, przykro.

– Nie, że chciałbym. Nie pozwoliłbym sobie dyskutować... chcę tylko powiedzieć, że...

– Rozumiem – odparł major z westchnieniem, jakby to była już stara historia, a on naprawdę umiał współczuć. – Rozumiem: inaczej pan sobie wyobrażał Fortecę i teraz trochę się przestraszył. Niech mi pan szczerze powie: jak można cokolwiek sądzić, ale uczciwie, jeśli pan dopiero kilka minut temu przyjechał?

Drogo powiedział: – Panie majorze, nie mam nic przeciw Fortecy... Pragnąłbym tylko pozostać w mieście lub co najmniej w jego pobliżu. Widzi pan, mówię otwarcie i widzę, że pan mnie rozumie; liczę więc na uprzejmość...

– Ależ oczywiście, oczywiście! – wykrzyknął Matti, roześmiewszy się krótko. – Przecież po to tutaj jesteśmy! Nie chcemy nikogo wbrew jego woli, nawet najmniejszego z wartowników. Przykro mi tylko, gdyż wydaje się, że jest pan dzielnym chłopcem...

Major zamilkł na chwilę, jakby szukając najwłaściwszego rozwiązania. W tym akurat momencie Drogo, odwracając nieco głowę w lewo, skierował wzrok w stronę okna otwartego na środkowy dziedziniec. Naprzeciw widać było mur żółtawy jak inne i skąpany w słońcu, z czarnymi prostokątami rzadkich okien; również zegar wskazujący drugą i – na wysokim tarasie – wartownika kroczącego tam i z powrotem z karabinem na ramieniu. Ale nad gmachem, daleko, wśród pionowo padających promieni słonecznych wyrastał skalisty szczyt. Widziało się tylko jego wierzchołek i nic w tym nie było niezwykłego. A jednak ów kawałek skały dla Giovanniego Drogo był

pierwszym widocznym znakiem ziemi Północy, legendarnego królestwa związanego z Fortecą. Ale jak wyglądała reszta? Usypiające światło docierało stamtąd wśród unoszących się oparów mgły. Major wznowił rozmowę:

– Proszę mi powiedzieć – zapytał Droga – czy chciałby pan natychmiast wrócić, czy może parę miesięcy poczekać? Nam, powtarzam, nie sprawia różnicy... z formalnego punktu widzenia oczywiście – dodał, aby zdanie nie zabrzmiało niegrzecznie.

– Muszę wrócić – odparł Giovanni przyjemnie zdziwiony brakiem trudności – muszę wrócić i sądzę, że tak będzie lepiej.

– Zgoda, zgoda – uspokajał go major. – Ale powiem tylko jedno: jeśli chce pan szybko wyjechać, to najlepiej będzie symulować chorobę. Wystarczy pójść do izby chorych na kilkudniową obserwację i lekarz wystawi zaświadczenie. Wielu zresztą nie wytrzymuje na tej wysokości...

– Czy muszę udawać chorego? – zapytał Drogo, który nie lubił takich sposobów.

– Przymusu nie ma, ale to wszystko uprości. W przeciwnym razie musiałby pan pisać podanie, które trzeba wysłać do Naczelnego Dowództwa, i czekać, aż Naczelne Dowództwo odpowie, a to zajmie co najmniej dwa tygodnie. Przede wszystkim całą sprawą musiałby się zająć sam pan pułkownik, a wołałbym tego uniknąć. W gruncie rzeczy nie cierpi on takich spraw, zamartwia się nimi, oto właściwe słowo, zamartwia się, jakby wyrządzono krzywdę jego Fortecy. Waśnie, gdybym był na pańskim miejscu, to jeśli mam być szczery, wołałbym uniknąć...

– Proszę mi wybaczyć, panie majorze – zauważył Drogo – nie wiedziałem. Jeśli odejście może mi zaszkodzić, to zupełnie inna sprawa.

– Ależ skąd, poruczniku, pan mnie nie zrozumiał. W żadnym wypadku pańska kariera nie ucierpi. Chodzi jedynie, jak by to powiedzieć? o odcień... Oczywiście, jak już mówiłem, sprawa nie może się podobać panu pułkownikowi. Ale jeśli się już pan zdecydował...

– Nie, nie – odparł Drogo – skoro tak rzeczy wyglądają, to może najlepsze będzie zaświadczenie lekarskie.

– Chyba że... – powiedział Matti z przymilnym uśmiechem, urywając w pół słowa.

– Chyba?

– Chyba że zgodzi się pan zostać tu cztery miesiące, co byłoby najlepszym rozwiązaniem.

– Cztery miesiące? – zapytał Drogo nieco rozczarowany po owych perspektywach szybkiego odejścia.

– Owszem – potwierdził Matti. – Procedura będzie bardziej zgodna z regulaminem. Zaraz panu wytłumaczę: dwa razy do roku wszyscy mają badania lekarskie, bo takie jest formalne zarządzenie. Najbliższe odbędzie się za cztery miesiące. Myślę, że to najlepsza okazja. Zaświadczenie będzie oczywiście negatywne; jeśli pan chce, sam się tym zajmę. Może pan być zupełnie spokojny. – Zresztą — ciągnął major po krótkiej przerwie – cztery miesiące to cztery miesiące i dla wystawienia opinii wystarczą. Możemy być przekonani, że pan pułkownik ją panu napisze. Wiadomo, jakie to może mieć znaczenie dla pańskiej kariery. Ale proszę mnie dobrze zrozumieć: to tylko moja rada, ma pan całkowitą swobodę...

– Tak jest – odparł Drogo – świetnie rozumiem.

– Służba nie jest męcząca – podkreślił z naciskiem major – prawie wyłącznie wartownicza. A Nowa Reduta, nieco trudniejsza, na początku na pewno nie zostanie panu przydzielona. Żadnych ciężkich prac, proszę się nie obawiać, może się pan raczej nudzić...

Drogo jednak ledwie słuchał wyjaśnień Mattiego, dziwnie zafascynowany czworobokiem okna i kawałkiem skały sterczącej nad przeciwnym murem. Niejasne uczucie, którego nie potrafił odszyfrować, zakradło się do jego serca: może głupie i absurdalne, jakaś sugestia pozbawiona podstaw.

Poczuł się zarazem nieco uspokojony. Nadał pragnął odejść, ale już nie bał się tak silnie jak przedtem. Prawie się wstydził z powodu swych wcześniejszych obaw. Czy nie potrafi stanąć na wysokości zadania jak inni? Natychmiastowy wyjazd – pomyślał – mógł oznaczać przyznanie się do słabości. Miłość własna walczyła więc z pragnieniem spokojnego, rodzinnego życia.

– Panie majorze – rzekł Drogo – dziękuję za radę, ale proszę pozwolić mi zastanowić się do jutra.

– Świetnie – odparł Matti z wyraźnym zadowoleniem. – A wieczorem? Chce pan zobaczyć się z pułkownikiem w kantynie czy woli zostawić sprawę otwartą?

– Hm – odpowiedział Giovanni – nie powinienem się chyba ukrywać, tym bardziej że mam pozostać cztery miesiące.

– Słusznie – rzekł major. – Poczuj się pan różnie. Mamy sympatycznych ludzi, pierwszorzędnych oficerów.

Major rozplynął się w uśmiechu i Drogo zrozumiał, że czas już odejść. Zapytał jednak jeszcze:

– Panie majorze – głosem na pozór spokojnym – czy wolno mi rzucić okiem na północ i zobaczyć, co jest za murami?

– Za murami? Nie wiedziałem, że interesują pana panoramy – odpowiedział major.

– Zaledwie rzut oka, panie majorze, ze zwykłej ciekawości. Słyszałem, że jest tam pustynia, a nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

– Nie warto, poruczniku. Monotonny pejzaż, doprawdy nic pięknego. Niech pan posłucha mojej rady i nawet o tym nie myśli!

– Nie nalegam, panie majorze – rzekł Drogo – myślałem jednak, że nie będzie żadnych trudności.

Major Matti złożył prawie błagalnym gestem końce swych tłustych palców.

– Prosi mnie pan – powiedział – właśnie o jedyną rzecz, na którą nie mogę się zgodzić. Na mury oraz w skład wart mogą wchodzić tylko wojskowi pełniący służbę. Trzeba też znać hasło.

– Ale nawet wyjątkowo, nawet oficerowi?

– Nawet oficerowi. Ja rozumiem, że wam, mieszczuchom, taka pedanteria wydaje się śmieszna. Dla was hasło nie jest wielką tajemnicą. Tu jednak jest zupełnie inaczej.

– Proszę wybaczyć, że nalegam, panie majorze...

– No słucham, poruczniku.

– Chciałem tylko zapytać: czy nie ma otworu strzelniczego w murze lub choćby jakiegoś okna, przez które można popatrzeć?

– Zaledwie jedno. W gabinecie pana pułkownika. Niestety, nikt nie pomyślał o zapewnieniu pięknych widoków ciekawskim. Gra jednak

niewarta świeczki, powtarzam, pejzaż zupełnie nieciekawym. Och, jeszcze się pana znudzi ta panorama, jeśli zdecyduje się pan pozostać.

– Dziękuję, panie majorze. Czy mogę odejść? – I stanął na baczność.

Matti wykonał przyjazny gest dłonią. – Do widzenia, poruczniku. Ale proszę już o tym nie myśleć; pejzaż nieciekawym, gwarantuję, pejzaż najgłupszy w świecie.

Jednak jeszcze tego samego wieczora porucznik Morel, kiedy ukończył służbę w czujce, cichaczem zaprowadził Droga na mury, aby ten mógł popatrzeć.

Bardzo długi korytarz oświetlony rzadkimi latarniami ciągnął się wzdłuż linii murów, od jednego do drugiego krańca przełączy. Co pewien czas mijali jakieś drzwi, magazyny, laboratoria, warty. Przeszli około stu pięćdziesięciu metrów, aż do wejścia do trzeciej reduity. Uzbrojony wartownik stał na progu. Morel zapytał, czy może mówić z porucznikiem Grotta dowodzącym strażą.

W ten sposób, wbrew regulaminowi, zdołali tam wejść. Giovanni znalazł się w maleńkim, przechodnim korytarzyku; na ścianie pod światłem wisiała tablica z nazwiskami żołnierzy pełniących służbę.

– Chodź, chodźże tutaj – powiedział Morel do Droga – lepiej się pospieszyć.

Drogo ruszył za nim po wąskich schodach rozszerzających się u góry i prowadzących na górny taras. Wartownikowi, którego minął na tym odcinku, porucznik Morel dał znak, jakby chcąc powiedzieć, że formalności są niepotrzebne.

Giovanni nagle znalazł się przy zewnętrznych blankach: przed nim, zalana światłem zachodzącego słońca, rozciągała się dolina, jego oczom zaś ukazały się tajemnice Północy.

Dziwna bladość okryła twarz Droga, który patrzył jak skamieniały. Nawet pobliski wartownik stanął w miejscu i wydawało się, że nieskończona cisza zstąpiła w aureoli zmierzchu. Po chwili, nie odrywając wzroku, Drogo zapytał:

– A dalej? Co jest za tymi skałami? Ciągłe to samo aż do końca?

– Nigdy nic tam nie widziałem – odpowiedział Morel. – Trzeba pójść do Nowej Reduty, o, tamtej, na szczycie owego stożka. Stamtąd widać całą równinę. Powiadają... – i nagle zamilkł,

– Powiadają?... co mówią? – spytał Drogo i niezwykle niepokój zadrżał w jego głosie.

– Powiadają, że cała jest pokryta kamieniami; coś w rodzaju pustyni, białe kamienie, powiadają, zupełnie jak śnieg.

– Same kamienie? I nic więcej?

– Tak mówią, a czasem jakieś mokradło.

– A w głębi? Od północy chyba coś widać?

– Nad horyzontem zazwyczaj wiszą mgły – rzekł Morel, który już stracił poprzednią wylewność. – Na północy są mgły i nie pozwalają dojrzeć.

– Mgły! – krzyknął Drogo z niedowierzaniem. – Przecież nie mogą ciągle wisieć, są chyba dni, kiedy horyzont jest czysty.

– Prawie nigdy nie jest czysty, nawet zimą. Są jednak tacy, którzy mówią, że widzieli.

– Mówią, że widzieli? Co takiego?

– Przyśniło im się. Czy można wierzyć żołnierzom? Jeden coś palnie, a drugi jeszcze dołoży. Niektórzy twierdzą, że widzieli białe wieże, lub mówią, że jest tam dymiący wulkan i że stamtąd przychodzą mgły. Również Ortiz, kapitan, zapewnia, że widział. Będzie już pięć lat od tego czasu. Według niego jest tam długa czarna plama. Chyba lasy.

Zamilkli. Gdzież to Drogo widział już ten świat? Może przeżył go podczas snu lub wyobraził sobie po lekturze jakiejś starożytnej legendy? Wydawało mu się, że go rozpoznaje: niskie i rozpadające się skały, kręta dolina pozbawiona zieleni roślin, ukośne przepaści i w końcu ten trójkąt opustoszałej równiny, której sterczące skały nie zdołały przesłonić. Przebudziły się więc najgłębsze echa jego duszy, a on nie potrafił ich zrozumieć.

Drogo wpatrywał się w świat Północy, w ową piaszczystą równinę, przez którą ludzie, jak mówiono, nigdy nie przechodzili. Nigdy stamtąd nie przyszedł nieprzyjaciel, nigdy nie walczono, nigdy nic się nie wydarzyło.

– No cóż – zapytał Morel siląc się na ton jowialny. – Cóż, podoba ci się?

– Hm!... – tylko tyle zdołał powiedzieć Drogo. Niejasne pragnienia kłębiły się w jego wnętrzu z bezsensownymi obawami.

Usłyszeli trąbkę, nikły dźwięk nie wiadomo skąd.

– Lepiej idź już sobie – poradził Morel. Ale Giovanni wydawał się nie słyszeć, jakby czegoś szukając we własnych myślach. Światło wieczorem stawało się coraz słabsze i wiatr, który zerwał się w ciemnościach, omiatał geometryczne bryły Fortecy. Aby się rozgrzać, wartownik znowu zaczął spacerować, od czasu do czasu spoglądając na Droga, którego jeszcze nie znał.

– Lepiej idź już sobie – powtórzył Morel, biorąc kolegę za ramię.

IV

Już nieraz zostawał sam: kilka razy jako dziecko zagubione na wsi, kiedy indziej w mieście, w zaułkach przywykłych do przestępstw; a choćby poprzednia noc przespana pod gołym niebem. Jednak teraz było zupełnie inaczej, teraz kiedy skończyło się podniecenie podróży, a jego nowi koledzy spali, Drogo zaś siedział w pokoju w świetle lampy, na brzegu łóżka, smutny i zagubiony. Dopiero teraz naprawdę rozumiał, czym była samotność (pokój niebrzydki, cały wyłożony boazerią, z wielkim łóżkiem, stołem, niewygodną leżanką, szafą). Wszyscy usiłowali być mili, w kantynie na jego cześć otwarto butelkę, ale teraz gwizdali sobie, zapomnieli o nim zupełnie (nad łóżkiem drewniany krucyfiks, z drugiej strony stary sztych z długim napisem zaczynającym się od słów: *Humanissimi Viri Francisci Angloisi Virtutibus*). Minie noc i nikt nie wejdzie, aby z nim pogawędzić; nikt o nim nie myśli. Nie tylko w Fortecy, prawdopodobnie na całym świecie nie było nikogo, kto by myślał o Drogu; każdy ma własne sprawy i ledwie mu starczy czasu dla siebie; nawet mama, być może, nawet ona w tej chwili nie miała dla niego głowy. Nie był jedynym synem. O Giovannim myślała cały dzień i teraz zajęła się wreszcie innymi. Bardzo słusznie, przyznawał Giovanni Drogo bez cienia wyrzutu, ale tymczasem siedział na brzegu łóżka, w pokoju Fortecy (dopiero teraz zauważył wrytą w boazerii, pomalowaną z niezwykłą cierpliwością szablę naturalnej wielkości, która na pierwszy rzut oka mogła się wydać prawdziwa; drobiazgowa praca któregoś z oficerów, wykonana kto wie ile lat temu), siedział więc na brzegu łóżka z głową nieco pochyloną do przodu.

Plecy zgarbione, spojrzenie wyblakłe i ciężkie, i czuł się samotny jak jeszcze nigdy w życiu.

Ale oto Drogo unosi się raptownym ruchem, otwiera okno i patrzy przed siebie. Okno wychodziło na dziedziniec i nic więcej nie było widać. Patrząc w stronę południową, Giovanni na próżno usiłował w nocy dostrzec góry, przez które przejeżdżał, aby dotrzeć do Fortecy; przesłonięte przeciwległym murem, teraz wydawały się niższe.

Zaledwie trzy okna pozostały oświetlone, ale w tej samej fasadzie co jego okno: w ten sposób wnętrza pokoi nie było widać, a ich świetlny poblask, podobnie jak poblask z pokoju Droga, odbijał się na przeciwległej ścianie w dużym powiększeniu; w jednym z nich poruszał się cień: chyba się rozbierał któryś z oficerów.

Zamknął okno, zdjął mundur, położył się do łóżka i próbował myśleć, wpatrując się w sufit również wyłożony boazerią. Zapomniał wziąć ze sobą coś do czytania, ale tego wieczora nie było to ważne, ponieważ bardzo chciało mu się spać. Zgasił lampę: w ciemności powoli zarysował się jasny prostokąt okna i Drogo ujrzał świecące gwiazdy.

Wydało mu się, że nagle odrętwienie szybko sprowadzi sen. Zachował jednak zbyt silną świadomość minionych przeżyć. Chmara obrazów, prawie sennych, defilowała przed nim. Zaczynały już nawet tworzyć jakąś fabułę, ale po chwili spostrzegł się, że jeszcze nie śpi.

Był czujniejszy niż przedtem, gdyż uderzyła go rozległość ciszy. Z dala (ale czy naprawdę) usłyszał odgłos kaszlu. Potem, tuż obok, rozlaźle „plum” wody, które odbiło się echem po murach. Mała zielona gwiazdeczka (spoglądał leżąc nieruchomo) w podróży nocnej zbliżała się do górnej granicy okna; za chwilę przepadnie na wieki. Zabłysła znów na moment tuż nad czarnym obrzeżeniem i potem rzeczywiście znikła. Drogo chciał ją jeszcze śledzić wzrokiem i uniósł nieco głowę. W tym jednak momencie usłyszał następne „plum”, jakby rzucono jakiś przedmiot do wody. Czy miało się jeszcze powtórzyć? Przyczajony czekał na ów dźwięk, na odgłos podziemi, mokradeł, martwych domów. Mijały bezgłośne minuty, cisza sprawiała wrażenie absolutnej: oto wreszcie niezaprzeczalna władczyni Fortecy. I znowu odczuł ciężar bezsensownych obrazów dalekiego życia.

„Plum!”, znowu nienawistny oddźwięk. Drogo Usiadł. Był to więc powtarzający się odgłos, ten ostatni zaś wcale nie należał do słabszych niż poprzednie, czyli że kapanie nieprędko się skończy. Jak można było zasnąć?

Drogo przypomniał sobie, że obok łóżka wisi sznur, zapewne od dzwonka. Pociągnął, sznur ustąpił i w odległym labiryncie gmachu odezwał się, prawie niedosłyszalny, krótki odgłos dzwonka. Co za głupota, pomyślał od razu Drogo, wołać ludzi z powodu podobnej nedorzeczności. I kto by w ogóle przyszedł?

Po chwili w korytarzu rozległy się kroki, które stawały się coraz bliższe, i ktoś zastukał do drzwi. – Wejść! – krzyknął Drogo. Pojawił się żołnierz z latarnią w ręku. – Co pan rozkaże, poruczniku?

– Tu nie można zasnąć, do licha! – rzekł Giovanni z chłodną irytacją. – Cóż to za wstrętny hałas! Jakaś cieknąca rura? Zrób z tym coś, absolutnie nie można zasnąć; czasem wystarczy podłożyć gałganek.

– To cysterna – odpowiedział natychmiast żołnierz, jakby był do tego przyzwyczajony. – Cysterna, panie poruczniku; nic się nie da zrobić.

– Cysterna?

– Tak jest – wyjaśnił żołnierz. – Z wodą, właśnie za tym murem. Wszyscy narzekają, ale nic nie można zrobić. Nie tylko pan ją słyszy. Również pan kapitan Fonzaso od czasu do czasu wyje z wściekłości, ale nic nie można zrobić.

– No to idź już, idź! – rzekł Drogo. Drzwi się zamknęły, kroki oddaliły, znów zapanowała cisza, a gwiazdy ponownie zaświeciły w oknie. Giovanni zaczął myśleć o wartownikach, którzy zaledwie kilka metrów od niego maszerowali jak automaty tam i nazad bez przerwy. Dziesiątki ludzi czuwało, podczas gdy on leżał w łóżku, a pozostali pogrążyli się we śnie. Dziesiątki, dziesiątki ludzi – myślał Drogo – ale dla kogo, w imię czego? Formalizm wojskowy niechybnie spłodził tę fortecę jako niezdrowe arcydzieło. Setki ludzi strzegących przełęczy, przez którą i tak nikt się nie przemknie. Wynieść się stąd jak najszybciej – myślał Giovanni – pójść dokądkolwiek, byle dalej od tej atmosfery mglistej tajemnicy. Och, jego pocziwy dom; mama na pewno już śpi i pogaszono światła, chyba że jeszcze przez chwilę myśli o nim, to nawet bardzo prawdopodobne, zna ją przecież dobrze. Z najdrobniejszego powodu wpada w niepokój i nocą wierci się w łóżku, nie znajdując spoczynku.

Jeszcze jedno pluśnięcie cysterny, jeszcze jedna gwiazda, która przekroczyła granicę czworoboku okna, choć jej światło nadal docierało na ziemię, na skarpy Fortecy, zaglądało w rozgorączkowane oczy wartowników,

ale już nie Giovanniego Drogo, oczekującego snu mimo dręczących go mrocznych myśli.

A gdyby finezje Mattiego były tylko komedią? Gdyby nawet po czterech miesiącach nie pozwolono mu odejść? Gdyby dzięki sofistycznym pretekstom regulaminowym zakazano mu powrotu do miasta? I jeśliby jeszcze lata całe musiał (w tym pokoju, samotny, w łóżku) marnować swą młodość? Co za absurdalne hipotezy, powtarzał Drogo, zdając sobie sprawę z całej ich nedorzeczności, a jednak nie potrafił ich odpędzić, już po chwili wracały, aby go zameczać, wspomagane nocną samotnością.

Wydawało mu się, że słyszy, jak wokół narasta zmowa mająca go zatrzymać. Prawdopodobnie nie chodziło nawet o Mattiego. Ani on, ani pułkownik, nawet żaden inny oficer wcale się nim nie interesował: zostanie lub odjedzie, na pewno było im to obojętne. A jednak jakaś nieznana siła działała przeciw powrotowi do miasta, może nawet rodziła się w jego duszy, a on tego nie dostrzegał.

Potem zobaczył korytarz, konia na białej drodze, wydało mu się, że wywołano jego nazwisko, i ogarnął go sen.

V

Upłynęły jeszcze dwa wieczory, zanim Giovanni Drogo po raz pierwszy pojechał służbowo do trzeciej reduty. O szóstej po południu na dziedzińcu, w szeregu, stanęło siedem straży: trzy do fortu, cztery do redut bocznych. Ósma, do Nowej Reduty, wyruszyła wcześniej, gdyż miała przed sobą niezły kawał drogi.

Starszy sierżant Tronk, wysłużone stworzenie forteczne, poprowadził dwudziestu ośmiu ludzi do trzeciej reduty. Z trębaczem było ich dwudziestu dziewięciu. Wszyscy z drugiej kompanii kapitana Ortiza, do której przydzielono Giovanniego. Drogo objął dowództwo i wy dobył szablę z pochwy.

Siedem odchodzących straży ustawiło się w szyku marszowym, z okna zaś, zgodnie z tradycją, obserwował je pułkownik-komendant Fortecy. Na żółtej ziemi dziedzińca tworzyły czarny rysunek: piękny widok.

Niebo zamiecione wiatrem lśniło nad murami przeciętymi poprzecznie ostatnimi promieniami słońca. Wrześniowy wieczór. Zastępca komendanta, podpułkownik Nicolosi, wyszedł z bramy Dowództwa, kulejąc z powodu starej rany i opierając się na szpadzie. Tego dnia służbę pełnił – na inspekcji – olbrzymi kapitan Monti; ochrypłym głosem wydał rozkaz i wszyscy żołnierze jednocześnie, absolutnie jednocześnie wykonali „prezentuj broń” z potężnym metalicznym łoskotem. Zapanowała zupełna cisza.

Wtedy trębacze siedmiu straży pojedynczo odegrali regulaminowe melodie. Były to słynne srebrne trąbki Fortecy Bastiani ze sznurami z czerwonego i złotego jedwabiu oraz wielkimi herbami. Ich czysty dźwięk popłynął w kierunku nieba wzmocniony wibrowaniem nieruchomego ogrodzenia z bagnetów oraz nieokreślonym oddźwiękiem dzwonu. Żołnierze nieruchomi jak posągi, ich twarze po wojskowemu zastygły. Nie, na pewno nie przygotowywali się do monotonnych obchodów wartowniczych, te bohaterskie spojrzenia, niewątpliwie – zdawało się – czekały na wroga.

Ostatni odgłos zawisł w powietrzu, odbijając się echem o dalekie mury. Bagnety znowu błysnęły na chwilę, jasne na tle rozległego nieba, potem wchłonęły je szeregi i od razu straciły cały blask. Pułkownik odszedł od okna. Zadudniły kroki siedmiu straży udających się do odpowiednich murów przez labirynty Fortecy.

W godzinę później Giovanni Drogo był już na górnym tarasie trzeciej reduty, w tym samym miejscu, w którym pierwszego wieczora spoglądał na północ. Wczoraj przyszedł z ciekawości jak przejezdny podróżny. Teraz już był panem: przez dwadzieścia cztery godziny reduta i sto metrów murów zależało tylko od niego. Czterech artylerzystów, tuż pod nim, we wnętrzu blokhauzu krzątało się przy armatach wycelowanych w głąb doliny; trzech wartowników podzieliło między sobą zewnętrzny taras reduty, podczas gdy czterech pozostałych rozstawiło się wzdłuż muru ciosowego, w kierunku na prawo, każdy w odstępach dwudziestu pięciu metrów.

Zmianę wart przeprowadzono z drobiazgową dokładnością pod okiem starszego sierżanta Tronka, specjalisty od regulaminów. Tronk był w Fortecy od dwudziestu dwóch lat i nie opuszczał jej nawet podczas urlopu. Nikt nie znał tak dobrze jak on każdego zakątka fortyfikacji, często oficerowie spotykali go nocą kręcącego się na inspekcji, w zupełnej ciemności, bez najmniejszego oświetlenia. Kiedy pełnił służbę, wartownicy nawet na chwilę nie odkładali karabinów, nie opierali się o mury i nawet się nie zatrzymywali, gdyż odpoczynek był dozwolony tylko w wyjątkowych przypadkach; Tronk

czuwał całą noc i cichym krokiem obchodził strażę, przyprawiając je o bicie serca. – Stój, kto idzie, kto idzie? – pytali wartownicy, chwytając za karabiny. – Grotta – odpowiadał starszy sierżant. – Gregorio – mówił wartownik.

Oficerowie i podoficerowie pełniący służbę wartowniczą poruszali się po tarasie podległych im murów bez żadnych formalności; żołnierze znali ich dobrze z widzenia, a uciekanie się do hasła i odzewu wydawało się śmieszne. Tylko wobec Tronka trzymali się ściśle litery regulaminu.

Był niewielki i chudy, z twarzą staruszką i ogoloną głową; odzywał się bardzo rzadko, nawet do kolegów, a w chwilach wolnych najchętniej pozostawał sam, ucząc się muzyki. Była to jego mania; kapelmistrz orkiestry, sierżant Espina, był zapewne jedynym jego przyjacielem, Tronk posiadał piękny akordeon, ale prawie nigdy na nim nie grał, chociaż krążyła legenda, że umiał doskonale; studiował harmonię i mawiano, że napisał parę marszów wojskowych. Nic pewnego jednak nie wiedziano.

Nie było obawy, gdy pełnił służbę, że zacznie pogwizdywać, jak to miał w zwyczaju, kiedy odpoczywał. Najczęściej kręcił się wzdłuż blanków, wpatrując się w szeroką dolinę północną i szukając Bóg wie czego. Teraz stał u boku Droga i pokazywał mu ścieżkę górską, która wzdłuż urwistych szczytów prowadziła do Nowej Reduty.

– Oto odchodząca warta – mówił Tronk, czyniąc znak wskazującym palcem prawej dłoni, lecz w półcieniu zmierzchu Drogo nie zdołał jej dostrzec. Starszy sierżant potrząsnął głową.

– Co znowu? – spytał Drogo.

– Na służbę wartowniczą tak się nie chodzi. Zawsze mówiłem. Chodzą jak wariaci – odpowiedział Tronk.

– Co się stało?

– Na służbę tak się nie chodzi – powtórzył Tronk. – Najpierw powinni byli zrobić zmianę warty w Nowej Reducie. Ale pan pułkownik nie chce.

Giovanni spojrzał zdziwiony: czy to możliwe, żeby Tronk pozwolił sobie krytykować pułkownika?

– Pan pułkownik – ciągnął starszy sierżant z głęboką powagą i przekonaniem, z pewnością nie po to, aby sprostować ostatnie słowo – niechybnie ma rację ze swego punktu widzenia. Nikt jednak nie wytłumaczył mu, jakie to niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – spytał Drogo; jakie niebezpieczeństwo mogło grozić przy przechodzeniu od Fortecy do Nowej Reduty, prostą ścieżką, w owym opustoszałym miejscu?

– Niebezpieczne – powtórzył Tronk. – Wcześniej czy później coś się przytrafi w tej ciemności.

– A co na to poradzić? – spytał uprzejmie Drogo; cała ta historia mało go interesowała.

– Niegdyś – rzekł starszy sierżant, ogromnie zadowolony, że może popisać się swoją kompetencją – niegdyś w Nowej Reducie zmieniano wartę o dwie godziny wcześniej niż w Fortecy. Zawsze dniem, również zimą, poza tym sprawa hasła wyglądała prościej. Potrzebne było jedno hasło, żeby wejść do Reduty, i drugie na cały dzień warty oraz powrót do Fortecy. Wystarczały więc dwa. Kiedy odchodząca straż wracała do Fortecy, nowa warta jeszcze tam nie zajęła stanowisk i hasło było dalej ważne.

– Tak, rozumiem – odparł Drogo, rezygnując z dalszego słuchania.

– Ale później – opowiadał Tronk – przestraszyli się. To nierozsądne, mówili, wypuszczać poza granicę tyłu żołnierzy znających hasło. Nigdy nie wiadomo, mówili, szybciej zdradzi jeden żołnierz na pięćdziesięciu niż jeden oficer.

– A no właśnie – przyznał Drogo.

– Wtedy pomyśleli: najlepiej, żeby tylko komendant straży znał hasło. Dlatego teraz wychodzi się z Fortecy na trzy kwadransy przed zmianą warty. Na przykład dzisiaj: ogólną zmianę wart zrobiono o szóstej. Straż udająca się do Nowej Reduty wyruszyła stąd o piątej z kwadransami i dotarła tam równo o szóstej. Aby wyjść z Fortecy, nie trzeba znać hasła, gdyż jest to oddział specjalnie przydzielony. Żeby wejść do Reduty, należy znać hasło wczorajsze; zna je tylko oficer. Po zmianie wart w Reducie zaczyna się hasło dzisiejsze, które również zna tylko oficer. I tak przez dwadzieścia cztery godziny, aż przyjdzie nowa straż i zmienią wartę. Z kolei nazajutrz wieczorem, kiedy żołnierze będą wracać (mogą przybyć o pół do siódmej, podczas powrotu droga jest mniej męcząca), w Fortecy hasło znowu będzie zmienione. W ten sposób staje się potrzebne trzecie hasło. Oficer musi znać trzy: to, które służy do objęcia warty, następne, używane podczas służby, i trzecie na powrót. Wszystkie komplikacje po to, aby żołnierze będąc w drodze nie znali hasła.

– I powiadam – ciągnął nie zwracając uwagi, czy Drogo go słucha – powiadam: jeśli hasło zna tylko oficer, a on, załóżmy, zasłabł w czasie marszu, to co uczynią żołnierze? Przecież nie zmuszą go, żeby mówił. A nie mogą też wrócić, skąd wyszli, ponieważ tymczasem i tam zmieniono hasło; czy o tym nie pomyśleli? Poza tym ci, którzy pragną zachowania tajemnicy, nie dostrzegają, że w ten sposób potrzebne są trzy hasła zamiast dwóch i że trzecie, potrzebne na powrót następnego dnia do Fortecy, zostaje wprowadzone w obieg ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej? Gdyby coś się przydarzyło, wówczas byłiby zmuszeni do utrzymania hasła, bo jeśli nie, to straż nie mogłaby wrócić.

– Ale – zaproponował Drogo – chyba w bramie rozpoznaliby ich, prawda? Zauważyliby przecież, że to powracająca straż!

Tronk spojrział na porucznika z wyrazem wyższości: – Niemożliwe, panie poruczniku. Taki jest regulamin Fortecy. Od strony północy bez znajomości hasła nikt nie może wejść, bez względu na to, kto to będzie.

– Jednak wówczas... – rzekł Drogo zirytowany absurdalnym rygorem – czy wówczas nie byłoby prościej ustalić specjalnego hasła dla Nowej Reduty? Zmiany wart dokonają wcześniej, a hasło powrotne zostanie przekazane tylko oficerowi. W ten sposób żołnierze nic nie będą wiedzieć.

– Wiadomo – odparł podoficer, prawie triumfalnie, jakby czatował na owo zastrzeżenie, – Może i byłoby to najlepszym rozwiązaniem. Ale należałoby zmienić regulamin, potrzebne byłoby jakieś nowe prawo. A regulamin mówi (tu zaczął cytować tonem wyjaśnienia): „Hasło jest ważne przez dwadzieścia cztery godziny, od jednej zmiany warty do następnej; tylko jedno hasło obowiązuje w Fortecy i podległych jej placówkach”. Właśnie tak: „i podległych jej placówkach”. Stwierdza jasno, nie zostawia miejsca na żadne sztuczki.

– Ale kiedyś – rzekł Drogo, który już przestał słuchać – najpierw robiono zmianę warty w Nowej Reducie?

– Oczywiście! – wykrzyknął Tronk, a potem się poprawił: – Tak jest! Cała ta historia trwa dopiero dwa lata. Przedtem było dużo lepiej.

Podoficer zamilkł, a Drogo spoglądał na niego przerażony. Po dwudziestu dwóch latach służby w Fortecy co zostało z tego żołnierza? Czy Tronk pamięta jeszcze, że w innych stronach świata istnieją ludzie podobni do niego i nienoszący munduru? że poruszają się swobodnie po mieście, a

nocą mogą według upodobania położyć się do łóżka, pójść do gospody lub teatru? Nie (widać to było doskonale), o innych ludziach Tronk zdążył zapomnieć: dla niego istniała tylko Forteca wraz z obmierzłymi regulaminami. Tronk nie pamięta! już brzmienia słodkich głosów dziewcząt ani wyglądu ogrodów, rzek, ani drzew, jeśli nie liczyć rzadkich krzaków rozrzuconych w okolicach Fortecy. Tronk spoglądał, owszem, w kierunku północy, ale nie oczami Droga; śledził wzrokiem ścieżkę prowadzącą do Nowej Reduty, fosę i przeciwskarpę, wypatrując możliwych dróg dojścia, ale nie dostrzegał dzikich skał ani owego trójkąta tajemniczej równiny, ani nawet białych obłoków żeglujących po niebie już prawie nocnym.

W ten sposób ze zbliżającą się ciemnością Droga znowu opanowało pragnienie ucieczki. Czemu natychmiast nie odszedł? – wyrzucał sobie. Dlaczego ustąpił miódopłynnej dyplomacji Mattiego? A teraz musiał czekać, aż upłyną cztery miesiące, sto dwadzieścia bardzo długich dni, z których połowę zabierze mu służba wartownicza na murach. Poczul, że znajduje się wśród ludzi innej rasy, na obcej ziemi, w świecie twardym i odpychającym. Rozejrzał się wokół i rozpoznał Tronka, który, nieruchomy, obserwował wartowników.

VI

Zapadła zupełna noc. Drogo siedział w pustym pokoju reduty, dokąd kazał przynieść sobie papier, atrament i pióro.

Droga mamo, zaczął pisać i natychmiast poczuł się małym dzieckiem. Samotny, przy świetle latarki, niewidoczny dla innych, w sercu nieznanego mu Fortecy, daleko od domu, od wszystkiego, co bliskie i dobre, cieszył się możliwością pełnego otwarcia serca.

Oczywiście wobec innych, wobec kolegów oficerów, musiał zachowywać się jak mężczyzna, śmiać się wraz z nimi i opowiadać wulgarne historyjki o wojskowych i kobietkach. Komu innemu, jeśli nie mamie, mógł powiedzieć całą prawdę? Ale ta prawda owego wieczora nie była prawdą dzielnego wojaka, prawdopodobnie była niegodna surowej Fortecy: koledzy zapewne śmialiby się z niej. Prawdą było zmęczenie po podróży, przygnębienie z powodu pośpynych ścian i to, że czuł się całkowicie samotny. *Dojechałem wyczerpany po dwóch dniach drogi, tak pragnął napisać do niej, i kiedy*

przybyłem, dowiedziałem się, że jeśli chcę, to mogę wrócić do miasta. Forteca jest melancholijna, w pobliżu nie ma żadnych miejscowości, nie ma rozrywek i wcale nie jest wesoło. Tak by do niej napisał.

Ale Drogo przypomniał sobie matkę, która o tej godzinie myśli właśnie o nim i pociesza się sądząc, że jej syn spędza przyjemnie czas z sympatycznymi przyjaciółmi, może nawet, kto wie, w towarzystwie kobiet. Z pewnością wierzyła, że jest zadowolony i pogodny.

Droga mamó – napisała jego dłoń. – Dojechałem przedwczoraj po szczęśliwej podróży. Forteca jest cudowna... Och, wytłumaczyć jej nędzę tych murów, tchnących nieokreśloną atmosferą kary i wygnania, wizerunek ludzi obcych i absurdalnych. Zamiast tego napisał: Oficerowie przyjęli mnie serdecznie. Nawet pierwszy adiutant batalionu był bardzo uprzejmy i zostawił mi możliwość powrotu do miasta, gdybym tylko zechciał. Jednak ja...

Może w tej chwili mama kręci się po opuszczonym przez niego pokoju, otwierając jakąś szufladę, porządkując stare ubrania, książki i biurko; tyle razy już doprowadzała je do porządku, ale dzięki temu wydaje się jej, że znów odnajduje jego żywą obecność, jakby miał codziennym zwyczajem wrócić do domu na obiad. Zdawało mu się, że słyszy znany odgłos drobnych, niespokojnych kroków, rzec by można, że zawsze się dla kogoś krząta. Jakże by śmiał napełnić ją goryczą? Gdyby się znalazł blisko niej, w tym samym pokoju, w przytulnym świetle lampy, wówczas Giovanni powiedziałby wszystko, a jej brakłoby czasu na smutek, bo oto on jest przy niej, a złe już minęło. Ale na odległość, listownie? Siedząc z nią przy kominku, w uspokajającej ciszy starego domu, opowiedziałby o majorze Mattim i jego podstępnych pochlebstwach, o manii Tronka; powiedziałby jej, jak głupio zgodził się pozostać jeszcze cztery miesiące, i prawdopodobnie oboje śmialiby się z tego. Ale na odległość jak to zrobić?

„Jednak ja – pisał Drogo – postanowiłem, że będzie lepiej dla mnie i mojej kariery, jeśli trochę jeszcze pozostanę... Zresztą towarzystwo jest bardzo sympatyczne, służba łatwa i nie męcząca”. A jego pokój, ciekająca cysterna, spotkanie z kapitanem Ortizem i opustoszała ziemia Północy? Czy nie objaśni jej żelaznych regulaminów wartowniczych, nie opíše gołych ścian reduty, w której się znajdował? Nie, nawet z mamą nie mógł być szczery, nawet jej nie mógł wyznać tajonych obaw, które nie dawały mu spokoju.

W jego domu w mieście zegary po kolei i każdy inaczej wybijały dziesiątą, aż od ich odgłosu zadźwięczały lekko kieliszki w kredensach. Z kuchni docierało echo śmiechu, a po drugiej stronie ulicy ktoś grał na pianinie. Przez bardzo wąskie, niczym otwór strzelniczy, okienko, z miejsca, gdzie siedział, Drogo mógł spoglądać w kierunku doliny północnej, owej smutnej ziemi; ale teraz widać było tylko ciemność. Pióro nieco skrzypiało. Chociaż panowała noc, a wiatr zaczynał dmuchać między blankami, przynosząc nieznane wieści, mimo że we wnętrzu reduty gromadziły się gęste ciemności, powietrze zaś było wilgotne i odpychające, Giovanni Drogo pisał: *...w sumie jestem bardzo zadowolony i czuję się dobrze.*

Od dziewiątej wieczorem do świtu co pół godziny rozlegał się dzwon w czwartej reducie, na prawym krańcu przełęczy, tam gdzie kończyły się mury. Na odgłos tego małego dzwonu natychmiast ostatni wartownik wołał do najbliższego sąsiada; od niego do następnego żołnierza i tak dalej, aż do przeciwległego krańca murów, od reduty do reduty, w poprzek fortu i jeszcze wzdłuż bastionów biegło nocą wezwanie: – Czuj duch, czuj duch! – W okrzyku wartowników nie czuło się entuzjazmu, powtarzali go mechanicznie, z dziwnym brzmieniem głosu.

Wyciągnięty na pryczy, nie zdjawszy ubrania, Giovanni Drogo, ogarnięty narastającym odrętwieniem, słyszał ów krzyk docierający z daleka i z przerwami. – U-uu... U-uu – tyle tylko dochodziło do niego. Stawał się coraz głośniejszy, przechodził nad nim z największym nasileniem i oddalał się w drugą stronę, słabnąc powoli aż do nicości. Po dwóch minutach pojawiał się znowu, odesłany jako kontrwezwanie przez pierwszy blokhauz z lewej. Drogo słyszał, jak okrzyk zbliża się wolnymi i równymi krokami, u-uu..., u-uu..., u-uu...

Jedynie wtedy kiedy przechodził nad nim, powtarzany przez jego oddział, mógł odróżnić słowa. Lecz wkrótce „czuj duch!” zaczęło się przekształcać w rodzaj lamentu, który wreszcie ginał na wysokości ostatniego wartownika, u podnóża skał. Giovanni usłyszał owo wezwanie cztery razy i cztery razy biegło ono wzdłuż murów aż do miejsca, skąd wyszło. Za piątym do świadomości Droga dotarł tylko niejasny oddźwięk, przyprawiając go o krótkie drżenie. Przyszło mu do głowy, że nie wypadało, aby oficer straży spał; co prawda regulamin zezwalał na to pod warunkiem, żeby się nie rozbierać, ale było ambicją prawie wszystkich młodych oficerów Fortecy, by – elegancko i wyniośle – czuwać całą noc, czytając, paląc cygara, a nawet bezprawnie odwiedzając jeden drugiego i grając w karty. Tronk,

którego najpierw Giovanni poprosił o instrukcje, dał mu do zrozumienia, że wypadało czuwać.

Wyciągnięty na pryczy, poza kręgiem światła lampy naftowej, w chwili zadumy nad własnym życiem, Giovanni Drogo nieoczekiwanie zasnął. A tymczasem właśnie tej nocy – och, gdyby o tym wiedział, zapewne nie chciałoby mu się spać – właśnie tej nocy zaczęła się dla niego nieodwracalna ucieczka czasu.

Dotychczas szedł przez beztroskie lata pierwszej młodości drogą, która dzieciom wydaje się nieskończona, na której lata biegają powoli i lekkim krokiem, tak że nikt nie dostrzega ich upływu. Można iść spokojnie, z ciekawością spoglądać wkoło, nie ma potrzeby się spieszyć, nikt z tyłu nie popędza i nikt nie czeka. Nawet koledzy maszerują niewiele myśląc i często się zatrzymują, żeby pożartować. Z domów, przy drzwiach, starsi witają życzliwie i ukazują horyzont z porozumiewawczym uśmiechem; wtedy serce bić zaczyna dla pragnień bohaterskich i tkliwych, czuje się przedsmak cudownych rzeczy oczekujących nieco dalej; jeszcze ich nie widać, nie, ale to pewne, absolutnie pewne, że któregoś dnia tam dotrzemy.

Czy daleko jeszcze? Nie, wystarczy przekroczyć ową rzekę, tam w głębi, i wyjść poza zielone wzgórza. A może już dotarliśmy? Czy nie szukaliśmy właśnie tych drzew, tych łąk, tego białego domu? Przez chwilę wydaje się, że tak, i chcielibyśmy się za trzymać. Później słyszymy, że najlepsze jest nieco dalej, i bez trudu wznawiamy marsz.

I tak kroczymy ową drogą w pełnym ufności oczekiwaniu, dni są długie i spokojne, a słońce świeci wysoko na niebie i, rzekłbyś, nie ma wcale ochoty zachodzić.

Ale w pewnym miejscu, prawie instynktownie, odwracamy się za siebie i widzimy, że za naszymi plecami zaryglowano jakąś furtkę zamykającą drogę powrotną. Wtedy czujemy, że coś się zmieniło: słońce nie sprawia wrażenia tak nieruchomego jak przedtem, lecz przesuwa się błyskawicznie, co więcej, nie ma kiedy mu się przyjrzeć, bo oto już zapada nad linią horyzontu, i dostrzegamy, że chmury nie zatrzymują się w błękitnych zatokach nieba, ale uciekają nakładając się na siebie; i zaczynamy rozumieć, że czas przemija, a droga któregoś dnia będzie musiała dobiec końca.

W pewnym momencie za naszymi plecami zamyka się ciężka brama, której zamki zatrząskują się z błyskawiczną szybkością, i za późno już, by

wrócić. Ale Giovanni Drogo w tej chwili śpi nieświadomy, uśmiechając się podczas snu jak dziecko.

Upłynie wiele dni, zanim Drogo zrozumie, co się stało. Poczuje się wówczas jak obudzony. Rozejrzy się wokół z niedowierzaniem; usłyszy odgłos kroków rozlegający się za jego plecami, dojrzy ludzi przebudzonych wcześniej od niego, biegnących z wysiłkiem i mijających go, byle dotrzeć przed innymi. Odczuje pulsowanie czasu chciwie odmierzające godziny jego życia. W oknach nie zauważy śmiejących się postaci, twarze będą nieruchome i obojętne. A jeśli zapyta, ile drogi jeszcze pozostało, oni, owszem, wskażą na horyzont, ale bez życzliwości i radości. Tymczasem straci z oczu kolegów, ktoś wyczerpany zostanie z tyłu, inny wyrwie się do przodu i zostanie po nim tylko maleńki punkt na horyzoncie.

Za tą rzeką – powiedzą ludzie – jeszcze dziesięć kilometrów i jesteś u celu. Tymczasem wcale nie widać końca, dni stają się coraz krótsze, towarzysze podróży rzadsi, u okien dojrzysz apatyczne, blade postaci potrząsające głową.

Aż wreszcie Drogo zostanie zupełnie sam, a na horyzoncie ukaże się pasmo bezgranicznego, nieruchomego morza koloru ołowiu. Odtąd będzie zmęczony, wzdłuż drogi prawie wszystkie domy będą miały zamknięte okna, a nieliczne dostrzeżone osoby odpowiedzą mu bezradnym gestem: to, co dobre, zostało z tyłu, daleko za nim, a on przeszedł obok, nic o tym nie wiedząc. Och, za późno już, aby wrócić, za nim rośnie zgiełk tłumy idącego jego śladem, wiedzionego tym samym złudzeniem, ale niewidocznego jeszcze na białej, opustoszałej drodze.

Giovanni Drogo właśnie śpi w obrębie murów trzeciej reduty. Śni i uśmiecha się. Po raz ostatni nocą nawiedzają go słodkie obrazy świata w pełni szczęśliwego. Biada mu, gdyby mógł siebie zobaczyć tego dnia, kiedy droga się skończy: nieruchomy nad brzegiem ołowianego morza, pod niebem szarym i jednostajnym, a wokół ani domu, ani ludzi, ani drzew, nawet źdźbła trawy, i wszystko tak od niepamiętnych czasów.

VII

Nareszcie dotarł z miasta kufer z odzieżą porucznika Droga. Między innymi był w nim nowiutki płaszcz, nadzwyczaj elegancki. Drogo włożył go i obejrzał się dokładnie w maleńkim lustrze swego pokoju. Wydał mu się żywym pośrednikiem z jego dawnym światem i z zadowoleniem pomyślał, że wszyscy będą go podziwiać, tak wspaniały był materiał układający się w wytworne fałdy.

Pomyślał, że nie wolno mu zniszczyć go w służbie fortecznej, podczas straży nocnej, wśród wilgotnych murów. Byłoby nawet rzeczą fatalną wkładać go tutaj po raz pierwszy, jakby przypuszczając, że nie będzie miał lepszych okazji. Jednak nie czułby się zadowolony, gdyby go nikomu nie pokazał, i chociaż nie było zimno, chciał go włożyć, choćby po to, żeby pójść do regimentowego krawca, od którego kupi inny, zwyczajny.

Opuścił przeto pokój i zaczął schodzić po schodach, przyglądając się tam, gdzie światło na to pozwalało, elegancji swego cienia. Wszelako, w miarę jak schodził do centralnej części Fortecy, zdawało mu się, że płaszcz w jakiś sposób tracił swój wcześniejszy blask. Drogo nawet spostrzegł, że nie umie nosić go swobodnie; zdawał mu się jakiś dziwny, nadmiernie rzucający się w oczy.

Z przyjemnością więc zauważył, że schody i korytarze były prawie puste. Jakiś kapitan, na którego w końcu się natknął, odpowiedział na jego salut, nie patrząc nań dłużej, niż to było potrzebne. Nawet nieliczni żołnierze nie zwracali na niego uwagi.

Zszedł wąskimi krętymi schodami, wyciosanymi w korpusie muru obronnego, a jego kroki odbijały się takim echem z góry i z dołu, jakby prócz niego szli jeszcze inni. Kunsztowne fałdy płaszcza obijały się o białą pleśń murów.

W ten sposób Drogo dotarł do podziemi. Pracownia krawca Prosdocimo mieściła się właśnie w jakiejś piwnicy. W pogodne dni promyk światła dochodził przez maleńkie okienko położone tuż nad ziemią, lecz tego wieczora zapalono już światła.

– Dobry wieczór, panie poruczniku – rzekł Prosdocimo, krawiec regimentowy, zaledwie go ujrzał. W tej wielkiej norze tylko pewne miejsca były oświetlone: stół, przy którym pisał staruszek, i kantor, przy którym pracowali trzej młodzi pomocnicy. Wokół wisiały w ponurym opuszczeniu, niczym rząd wisielców, dziesiątki mundurów, peleryn i płaszczy.

– Dobry wieczór – odparł Drogo. – Chciałbym zamówić jakiś płaszcz, niezbyt kosztowny, wystarczy, jeśli przetrzyma cztery miesiące.

– Niech mi pan pokaże – rzekł krawiec z uśmiechem wyrażającym nieufną ciekawość, chwytając połą płaszcza Droga i ciągnąc go do światła; był w stopniu sierżanta, lecz stanowisko krawca dawało mu niejako prawo do pewnej ironicznej zażyłości z przełożonymi. – Piękny materiał, piękny... kosztował majątek, wyobrażam sobie, miejski szyk, ho, ho... – to mówiąc rzucił fachowym okiem na całość i potrząsnął głową, aż drgnęły policzki pełne i krwiste – szkoda tylko...

– Szkoda, że co?

– Szkoda, że kołnierz jest tak nisko wszyty, to mało wojskowe.

– Tak się teraz nosi – odparł Drogo z uczuciem wyższości.

– Moda zaleca niskie kołnierze – rzekł krawiec – ale dla nas, wojskowych, moda się nie liczy. Modą winien być regulamin, a regulamin powiada: „Kołnierz płaszcza przylega do szyi, a jego wysokość wynosi siedem centymetrów”. Może pan porucznik uważa, że jestem marnym krawczyną, widząc mnie w tej dziurze.

– Dlaczego? – zapytał Drogo. – Wprost przeciwnie.

– Pan prawdopodobnie uważa, że jestem marnym krawczyną. Tymczasem wielu oficerów mnie ceni, również z miasta. Wielkie oficerskie szychy. Zostałem tutaj ab-so-lu-tnie tym-cza-so-wo – skandował ostatnie dwa słowa niczym przesłankę o wielkim znaczeniu.

Drogo nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Lada dzień spodziewam się wyjechać – ciągnął Prosdocimo.

– Gdyby nie pan pułkownik, który nie chce mnie wypuścić... Ale z czego wy tam się śmiejecie?

W półmroku faktycznie słyhać było tłumiony śmiech trzech pomocników; natychmiast pochylili głowy, przesadnie pochłonięci pracą. Staruszek nadal pisał, do niczego się nie wtrącając.

– Co w tym śmiesznego? – powtórzył Prosdocimo. – Nie bądźcie tacy przemądrzali. Przyjdzie czas, że sami się przekonacie,

– Właśnie – rzekł Drogo – co w tym śmiesznego?

– To durnie – rzekł krawiec. – Lepiej nie zwracać uwagi.

W tym momencie usłyszeli odgłos kroków na schodach i ukazał się jakiś żołnierz. Prosdocima wzywano na górę do sierżanta z magazynu odzieżowego.

– Przepraszam, panie poruczniku – rzekł krawiec. – To sprawa służbowa. Za dwie minuty wrócę. – I ruszył w ślad za żołnierzem.

Drogo usiadł, licząc się z tym, że przyjdzie mu poczekać. Trzej pomocnicy natychmiast po odejściu szefa przerwali pracę. Staruszek wreszcie podniósł wzrok znad papieru, stanął na nogi i kuśtykając zbliżył się do Giovanniego.

– Słyszał pan? – spytał z dziwnym akcentem, wskazując na krawca, który wyszedł. – Słyszał pan? Czy pan porucznik wie, od ilu już lat jest w Fortecy?

– Ba, nie mam pojęcia.

– Od piętnastu lat, panie poruczniku, piętnastu cholernych lat, i powtarza w kółko tę samą śpiewkę: zostałem tutaj absolutnie tymczasowo, z dnia na dzień spodziewam się...

Ktoś zbulgotał przy stole pomocników. Zapewne był to dla nich zwyczajowy powód do śmiechu. Staruszek nawet nie zwrócił uwagi.

– I wprost przeciwnie, nigdy stąd się nie ruszy – rzekł. – On i pan pułkownik-komendant, i wielu innych pozostanie tu aż do śmierci, to rodzaj choroby, i niech pan uważa, bo pan porucznik nowy, pan dopiero przyjechał i niech pan uważa, póki czas...

– Na co uważać?

– Żeby stąd się wynieść jak najprędzej i nie ulec ich manii.

Drogo rzekł: – Przyjechałem tylko na cztery miesiące, nie mam najmniejszego zamiaru pozostać.

Staruszek rzekł: – Niech pan mimo wszystko uważa, poruczniku. Zaczęło się od pułkownika Filimore. Zbliżają się wielkie wydarzenia, mówił, przypominam sobie wyśmienicie, już osiemnaście lat temu. Właśnie tak mówił: „wydarzenia”. Jego zwrot. Wbił sobie do głowy, że Forteca jest najważniejsza, dużo ważniejsza od wszystkich innych, i że w mieście niczego nie rozumieją.

Mówił wolno, z przerwami, między jednym słowem a drugim zalegała cisza.

– Wbił sobie do głowy, że Forteca jest najważniejsza, że coś musi się wydarzyć.

Drogo uśmiechnął się. – Co się ma wydarzyć? Chce pan powiedzieć, że wojna?

– Kto to wie, być może wojna.

– Wojna od strony pustyni?

– Od strony pustyni prawdopodobnie – potwierdził staruszek.

– Ale kto, kto by miał przekroczyć granicę?

– A skąd ja mogę o tym wiedzieć? Nikt nie przekroczy, wiadomo. Ale pan pułkownik-komendant badał mapy i powiada, że jeszcze są Tatarzy, powiada, że to pozostałość dawnej armii, która grasuje po okolicy.

W półmroku rozległ się idiotyczny chichot trzech pomocników.

– I dotąd czekają – ciągnął staruszek. – Proszę zwrócić uwagę na pana pułkownika, pana kapitana Stizionego, pana kapitana Ortiza, pana podpułkownika, każdego roku coś ma się wydarzyć, i tak będzie w kółko, aż ich odeślą na emeryturę. – Przerwał przekrzywiwszy głowę, jakby nasłuchując.

– Zdawało mi się, że słyszę kroki – rzekł. Nikogo jednak nie było słychać.

– Nic nie słyszę – powiedział Drogo.

– Tak samo Prosdocimo – mówił staruszek. – Zwyczajny sierżant, krawiec regimentowy, ale zgadał się z nimi. Też czeka od piętnastu lat... Ale

nie przekonałem pana, poruczniku, jak widzę, milczy pan i myśli, że to tylko dyrdymały. Proszę uważać – dodał prawie błagalnie – bo inaczej ulegnie pan sugestii i w końcu też zostanie. Wystarczy popatrzeć w pańskie oczy.

Drogo milczał, wydało mu się niegodnym oficera wchodzić w zbytnią zażyłość z tak biednym człowiekiem.

– A pan – spytał – cóż więc pan tu robi?

– Ja? – odparł staruszek. – Jestem jego bratem i z nim pracuję.

– Bratem? Starszym bratem?

– Właśnie – staruszek się uśmiechnął – starszym bratem. Kiedyś byłem wojskowym, potem złamałem nogę i tylko tyle mi pozostało.

W ciszy podziemi Drogo usłyszał uderzenia swego serca, które zaczęło mocno bić. A więc również staruszek przesiadujący w piwnicy nad rachunkami, również owo ponure i uniżone stworzenie czekało na bohaterskie przeznaczenie? Giovanni patrzył mu prosto w oczy, a tamten lekko potrząsnął głową z gorzkim smutkiem, jakby oznaczającym, że tak, że nie było na to lekarstwa: tacy już jesteśmy – zdawał się mówić – i nigdy się z tego nie wyleczymy.

Z którejś strony schodów otwarto pewnie drzwi, gdyż słyszało się teraz, precedzone przez mury, odległe głosy ludzkie nieokreślonego pochodzenia; czasem zanikały, pozostawiając pustkę, po chwili nasilały się i znów milkły niczym wolny oddech Fortecy.

Drogo nareszcie zrozumiał. Wpatrywał się w zwielokrotnione cienie powieszonych mundurów, które chwiały się w migotliwym świetle, i pomyślał, że dokładnie w tym momencie pułkownik skrył się w swej kancelarii i otworzył okno wychodzące na północ. Na pewno w godzinie tak smutnej jak ta, z powodu ciemności i jesieni, komendant Fortecy spoglądał na północ, w stronę mrocznych głębin kotliny.

Z pustyni północnej miał nadejść ich dobry los, przygoda, cudowna chwila, która przynajmniej raz spotyka każdego. Dla owej nieokreślonej możliwości, zdającej się coraz mniej pewną wraz z upływem czasu, dojrzali ludzie zużywali najlepszą część życia.

Nie dostosowali się do pospolitej egzystencji, do radości ludzi zwyczajnych, do przeznaczenia średniego formatu; ramię przy ramieniu żyli jednakową nadzieją, nigdy o tym nie mówiąc, ponieważ nie zdawali sobie

sprawy lub, po prostu, ponieważ byli żołnierzami z całą zazdrosną wstydlivością swej duszy.

Również Tronk prawdopodobnie. Tronk chciał sprostać artykułom regulaminu, matematycznej dyscyplinie i szczyć się skrupulatnością, ludząc się, że to wystarczy. Gdyby mu powiedziano: zawsze będzie tak samo, jak długo będziesz żył, wszystko pozostanie jednakowe – wówczas zapewne by się przebudził. To niemożliwe, rzekłby. Musi się przecież zdarzyć coś zupełnie innego, coś naprawdę ważnego, tak żeby można było sobie powiedzieć: już się skończyło, ale dobre i to.

Drogo zrozumiał tę prostą tajemnicę i z ulgą pomyślał, że jego to nie dotyczy: widz niepokalany. Za cztery miesiące, chwała Bogu, opuści ich na zawsze. Mroczne uroki starej twierdzy śmiesznie szybko wyparowały. Tak sądził. Ale dlaczego staruszek nadal wpatrywał się w niego z owym dwuznacznym wyrazem twarzy? Dlaczego Drogo miał ochotę trochę pogwizdać, napić się wina, wyjść na powietrze? Czy dlatego, żeby sobie udowodnić, że jest naprawdę wolny i spokojny?

VIII

Oto nowi przyjaciele Droga: porucznicy Carlo Morel, Pietro Angustina, Francesco Grotta, Max Lagorio. Siedzą z nim w kantynie o tej późnej porze. Został tylko jeden kuchcik wsparty o futrynę odległych drzwi, a portrety dawnych pułkowników wiszące w szeregu na ścianach, wokoło, pograżyły się w półmroku. Na stole nieuprzątniętym po kolacji widnieje na tle obrusa osiem ciemnych butelek.

Wszyscy są czymś podnieceni: trochę winem, trochę nocą, a kiedy ich głosy milkną, słysząc, jak pada deszcz.

Świętują na cześć hrabiego Maksa Lagorio, który nazajutrz wyjeżdża po dwóch latach pobytu w Fortecy.

Lagorio rzekł: – Angustina, jeśli zdecydujesz się wyjechać, to poczekam na ciebie. – Rzekł zwykłym, żartobliwym tonem, ale zrozumieli, że powiedział serio.

Również Angustina ukończył dwa lata służby, lecz nie chciał wyjeżdżać. Angustina był blady i siedział z obojętnym wyrazem twarzy, jakby się wcale nimi nie interesował i był tam zupełnie przypadkowo.

– Angustina – powtórzył Lagorio prawie krzycząc, na pograniczu upojenia alkoholem. – Jeśli postanowisz wyjechać, to poczekam, gotów jestem czekać trzy dni.

Porucznik Angustina nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się lekko, cierpliwie i wyrozumiale. Jego błękitny mundur, wyblakły od słońca, uwydatniał się na tle reszty jakąś nieokreśloną, niedbałą elegancją.

Lagorio zwrócił się do pozostałych, do Morela, Grotty i Droga: – Powtórzcie mu to jeszcze – i położył prawicę na ramieniu Angustiny.

– Dobrze by mu to zrobiło, gdyby stąd wyjechał.

– Dobrze by mi zrobiło? – spytał Angustina jakby zaciekawiony.

– W mieście czułbyś się lepiej, ot co. Wszyscy zresztą, jak sądzę.

– Czuję się świetnie – oschle odparł Angustina. – Nie potrzebuję opieki.

– Nie powiedziałem, że potrzebujesz opieki. Mówiłem, że zrobiłoby ci dobrze.

– Tak – rzekł Lagorio, i znów było słyhać z dziedzińca, że pada deszcz. Angustina przyglądał sobie wąsiki dwoma palcami, wyraźnie znudzony.

Lagorio nie ustępował: – O mamie, o swoich bliskich nie myślisz... Pomyśl, kiedy twoja mama...

– Mama się z tym pogodzi – odparł Angustina nie bez goryczy.

Lagorio zrozumiał i zmienił temat: – Angustina, powiedz, czy przyszło ci do głowy, że pojutrze mógłbyś zobaczyć Claudinę? Już od dwóch lat ciebie nie widziała...

– Claudina... – rzekł Angustina niechętnie. – Ale która Claudina? Nie przypominam sobie.

– Akurat, nie pamiętasz! Z tobą nie można dzisiaj o niczym rozmawiać, ot co. To chyba żadna tajemnica, prawda? Ciagle widywano was razem.

– Aha – rzekł Angustina, aby okazać uprzejmość – teraz sobie przypominam. Tak, Claudina. Czy myślisz, że ona w ogóle pamięta o moim istnieniu?

– Ech, coś podobnego, dobrze wiemy, że wszystkie za tobą szaleją. Nie udawaj nagle skromnego! – wykrzyknął Grotta, Angustina zaś wpatrywał się w niego nie zmrużywszy oka, dotknięty, widać, jego prostactwem.

Zamilkli. Na dworze, pośród nocy, w strugach jesiennego deszczu krążyli wartownicy. Woda szumiała na tarasach, bulgotała w rynnach i spływała w dół po murach. Na dworze panowała głęboka noc, a Angustina lekko zakaszała. Sprawiało dziwne wrażenie, że tak subtelny młodzieniec mógł wydać dźwięk równie nieprzyjemny. Ale on kaszlał z mądrym umiarem, za każdym razem spuszczał głowę, jakby dając do zrozumienia, że nie mógł temu przeszkodzić, że w gruncie rzeczy nie była to jego sprawa, lecz nienaganność nakazywała mu ją znosić. W ten sposób przemieniał kaszel w coś wdzięcznego i kapryśnego, nieomal godnego naśladowania.

Powstało jednak przykre milczenie i Drogo odczuł potrzebę przełamania go.

– Słuchaj, Lagorio – spytał – o której jutro odjeżdżasz?

– Około dziesiątej, jak sędzę. Chciałem wyjechać wcześniej, ale muszę się jeszcze pożegnać z pułkownikiem.

– Pułkownik wstaje o piątej, latem i zimą o piątej, na pewno nie zabierze ci dużo czasu.

Lagorio się roześmiał. – Ale ja nie wstaję o piątej. Przynajmniej ostatniego ranka chciałbym się nie krępować, nikt mnie nie popędza.

– Więc pojutrze już będziesz na miejscu – zauważył Morel z zazdrością.

Lagorio rzekł: – Wydaje mi się to niemożliwe, przysięgam.

– Co niemożliwe?

– Że będę w mieście za dwa dni – (przerwa) – i że na zawsze.

Angustina był blady, już nie przyglądał wąsików, tylko utkwiał wzrok w półcieniu przed sobą. Odtąd w sali zapanował nastrój nocy, kiedy to strachy wylażą ze starych murów, kiedy szczęście staje się słodkie, a dusza unosi się dumnie na skrzydłach nad uśpioną ludzkością. Szklane oczy pułkowników z wielkich portretów wyrażały bohaterские przecucia. Na dworze ciągle deszcz.

– Czy wyobrażasz sobie? – rzekł bezlitośnie Lagorio do Angustiny. – Pojutrze wieczorem o tej porze może będę u Consalviego. Wielki świat, muzyka, ładne kobiety – mówił, powtarzając swą starą piosenkę.

– To w twoim guście – odparł z pogardą Angustina.

– Albo też – ciągnął Lagorio w najlepszym zamiarze, jedynie po to, aby przekonać przyjaciela – właśnie, może tak lepiej, pójdę do Tronów, twoich wujostwa, tam są ludzie sympatyczni i „odgrywają panów”, jak powiedziałby Giacomo.

– Jeszcze lepiej – rzekł Angustina.

– Obojętne co i jak – powiedział Lagorio – pojutrze będę się bawić, a ty pełnić służbę. Będę spacerował po mieście (i uśmiechnął się do tej myśli), a do ciebie przyjdzie kapitan z inspekcji. „Nic nowego, wartownik Martini nie czuje się dobrze”. O drugiej obudzi ciebie sierżant: „Panie poruczniku, już pora na inspekcję”, obudzi o drugiej, na to możesz przysiąc, a o tej samej, identycznej godzinie ja oczywiście będę w łóżku z Rosarią...

Były to głupie, nieświadome okrucieństwa Lagoria, do których wszyscy się przyzwyczaili. Ale zza jego słów towarzyszom ukazał się obraz dalekiego miasta z pałacami i ogromnymi kościołami, kopułami wiszącymi w powietrzu i romantycznymi alejami ciągnącymi się wzdłuż rzeki. O tej porze, myśleli, musi tam być delikatna mgła, a latarnie rzucają nikiel, żółtawe światło; ledwie widoczne pary w odosobnionych uliczkach, nawoływanie dorożkarzy przy oszklonym wejściu do opery, echa skrzypiec i śmiechu, głosy kobiet (z ciemnych portali bogatych domów), okna oświetlone na niewiarygodnych wysokościach wśród labiryntu dachów; fascynujące miasto związane z ich młodzięcymi marzeniami i nieznanymi jeszcze przygodami.

Wszyscy patrzyli teraz, nie dając tego po sobie poznać, w twarz Angustiny naznaczoną niewypowiedzianym zmęczeniem; nie zebrali się – już to zrozumieli – żeby świętować wyjazd Lagoria, w gruncie rzeczy fetowali Angustinę, ponieważ on tu pozostanie. Jeden po drugim po kolei odejda wszyscy jak Lagorio: Grotta, Morel i wcześniej jeszcze Giovanni Drogo, który miał odsłużyć zaledwie cztery miesiące. Natomiast Angustina pozostanie, nie mogli zrozumieć dlaczego, ale byli tego pewni. I chociaż niejasno czuli, że również tym razem pozostawał posłuszny swemu ambitnemu stylowi życia, nie potrafili już mu zazdrościć: w gruncie rzeczy była to absurdalna mania.

Dlaczego jednak Angustina, przeklęty snob, jeszcze się uśmiecha? Dlaczego, będąc przecież chory, nie biegnie, żeby się spakować i nie przygotowuje się do odjazdu? Czemu zamiast tego wpatruje się w znajdujący się przed nim półmrok? O czym myśli? Jaka tajemna duma zatrzymuje go w Fortecy? Więc jego również? Spójrz na niego, Lagorio, który mu jesteś

przyjacielem, przyjrzyj mu się dobrze, póki czas, abyś jego twarz zachował w pamięci taką, jaką była tego wieczora: delikatny nos, spojrzenie bez wyrazu, odpychający uśmiech, może któregoś dnia zrozumiesz, dlaczego nie chciał pójść, i pojmiesz to, co ukryło się za jego nieruchomym czołem.

Lagorio odjechał nazajutrz z rana. Dwa konie czekały na niego wraz z ordynansem przed bramą Fortecy. Niebo było zachmurzone, ale nie padało.

Lagorio miał zadowoloną twarz. Wyszedł z pokoju, nawet nie rzuciwszy nań okiem, nawet się nie odwrócił, kiedy był już pod gołym niebem, żeby spojrzeć na Fortecę. Mury obronne ciągnęły się nad nim posępne i nieprzyjazne, wartownik przy bramie stał nieruchomy, ani żywej duszy na szerokiej esplanadzie. Z budki przylegającej do fortu dobiegały rytmiczne uderzenia młota.

Angustina wyszedł, żeby pożegnać towarzysza. Popieścił konia. – Jest piękny jak zawsze – rzekł. Lagorio wyjeżdża do miasta, do życia łatwego i wesołego. Tymczasem on pozostaje, spogląda nieprzeniknionym wzrokiem na towarzysza krzątającego się wokół koni; usiłuje się uśmiechać.

– Wydaje mi się wręcz nieprawdopodobne, że wyjeżdżam – mówił Lagorio. – Forteca stała się dla mnie obsesją.

– Pozdrów moją rodzinę, jak przyjedziesz – powiedział Angustina, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Powiedz mamie, że czuję się dobrze.

– Bądź spokojny – odparł Lagorio. A po chwili dodał: – Przykro mi za wczorajszy wieczór, wiesz? Różnimy się i w gruncie rzeczy nigdy ciebie nie rozumiałem. Wydajesz się dziwakiem, chociaż nie wiem, może właśnie ty masz rację.

– Ależ niczego nie pamiętam – rzekł Angustina, opierając prawicę o bok konia i spoglądając w ziemię. – Wcale się nie gniewałem.

Byli dwoma różnymi ludźmi, lubili odmienne rzeczy, a także pod względem inteligencji i kultury byli zupełnie inni. Dziwiono się, widząc ich zawsze razem, tak wyraźna była wyższość Angustiny. Jednak byli przyjaciółmi; spośród wszystkich jedynie Lagorio instynktownie go rozumiał, tylko jemu było przykro z powodu towarzysza i prawie się wstydził, że wyjeżdża na jego oczach, jakby się wstrętne popisując; i nie mógł się zdecydować.

– Jeśli zobaczysz Claudinę – rzekł jeszcze Angustina głosem bezbarwnym – pozdrów ją... albo nie, lepiej nic nie mów.

– Och, na pewno mnie o ciebie zapyta, jeśli ją zobacze. Wie doskonale, że jesteś tutaj.

Angustina milczał.

– No cóż – rzekł Lagorio, który skończył pakować przy pomocy ordynansa torbę podróżną – może lepiej, żebym już pojechał, bo jeszcze się spóźnię. Zegnaj. – Uścisnął dłoń przyjaciela, potem eleganckim ruchem wskoczył na siodło.

– Zegnaj, Lagorio – krzyknął Angustina. – Szczęśliwej podróży!

Wyprostowany w siodle, Lagorio patrzył na niego: nie był bardzo inteligentny, ale niejasny głos mu mówił, że może się już nie zobaczyć.

Uderzenie ostrogą i koń ruszył. Wtedy Angustina lekko podniósł prawą rękę, jakby dawał znak, wzywający towarzysza, żeby się jeszcze na chwilę zatrzymał, bo miał mu po raz ostatni coś powiedzieć. Lagorio dojrzał ów gest kącikiem oka i zatrzymał się w odległości jakichś dwudziestu metrów. – Co takiego? – spytał. – Chciałeś coś jeszcze?

Ale Angustina opuścił rękę, znów przyjmując wcześniejszą, obojętną pozę. – Nic, nic – odparł. – Dlaczego?

– Wydawało mi się... – rzekł Lagorio zakłopotany i oddalił się w poprzek esplanady, kołysząc się w siodle.

IX

Tarasy Fortecy były białe, podobnie jak dolina od strony południowej i pustynia od północy. Śnieg pokrył całkowicie skarpy, położył delikatne ramy wzdłuż blanków, spadał głucho z rynny, oderwał się od czasu do czasu od urwisk i ni stąd, ni zowąd potworne masy dudniły po stokach dymiąc.

Nie był to pierwszy śnieg, lecz trzeci lub czwarty, który wyraźnie przypominał, że sporo już dni minęło. – Wydaje mi się, że dopiero wczoraj przyjechałem do Fortecy – mówił Drogo, i rzeczywiście tak było. Zdawało się, że wczoraj, chociaż czas przemijał równym rytmem, identycznym dla

wszystkich ludzi, ani wolniejszym dla szczęśliwych, ani szybszym dla nieszczęśliwych. Ni wolno, ni szybko upłynęły trzy kolejne miesiące. Boże Narodzenie rozplynęło się w oddali, minał również Nowy Rok, na chwilę przynosząc ludziom dziwne nadzieje. Giovanni Drogo przygotowywał się już do odjazdu. Potrzebna była tylko formalna wizyta lekarska, jak przyrzekł major Matti, i potem będzie mógł odejść. Powtarzał sobie ciągle, że to radosne wydarzenie, że w mieście czeka na niego życie łatwe, zajmujące i chyba szczęśliwe, a jednak nie był zadowolony.

Rankiem 10 stycznia wszedł do gabinetu doktora na ostatnim piętrze Fortecy. Lekarz nazywał się Fernando Rovina, miał przeszło pięćdziesiąt lat, twarz zwiędłą i inteligentną, pełną znużonej rezygnacji i nie nosił mundurowej bluzy, lecz długą, ciemną marynarkę magistracką. Siedział przy stole, na którym leżały – z przodu – różne książki i papiery; ale Drogo, wchodząc prawie znienacka, od razu zrozumiał, że tamten nic nie robił; siedział nieruchomo, myśląc Bóg wie o czym.

Okno wychodziło na dziedziniec, skąd dochodził odgłos rytmicznych kroków, gdyż nadszedł już wieczór i zaczynała się zmiana wart. Z okna widać było kawałek przeciwległego muru i nadzwyczaj pogodne niebo. Przywitali się i Drogo szybko się spostrzegł, że lekarz doskonale zna jego sprawę.

– Kruki zakładają gniazda, a jaskółki odlatują – zażartował Rovina i z którejś szufladki wyciągnął urzędowy formularz.

– Chyba pan wie, doktorze, że przyjechałem tutaj przez pomyłkę? – spytał Drogo.

– Wszyscy, moje dziecko, przyjechali tutaj przez pomyłkę – rzekł lekarz z patetyczną aluzją. – Większą czy mniejszą. Nawet ci, którzy zostali.

Drogo niezbyt dobrze zrozumiał i tylko uśmiechnął się.

– Nie robię panu wyrzutów! Wy, młodzi, macie rację, że nie chcecie tu pleśnieć – ciągnął Rovina – tam w mieście jest tyle innych możliwości. Też czasem myślę, że gdybym mógł...

– Ale dlaczego? – spytał Drogo. – Czy nie może pan się przenieść?

Doktor potrząsnął dłońmi, jakby usłyszał coś oburzającego. – Przenieść się? – szczerze się roześmiał – po dwudziestu pięciu latach? Za późno, syneczku, należało wcześniej pomyśleć.

Może nawet i pragnął, żeby Drogo zaprzeczył, ale skoro porucznik milczał, przeszedł do istoty rzeczy: poprosił Giovanniego, żeby usiadł, podał swe nazwisko i imię, które natychmiast zapisał w odpowiednich rubrykach regulaminowego kwestionariusza.

– W porządku – stwierdził. – Cierpi pan na zaburzenia układu krążenia, prawda? Pański organizm nie wytrzymuje tej wysokości, prawda? Czy tak sformułować?

– Można i tak – przyznał Drogo. – Pan jest najlepszym znawcą w tych sprawach.

– Udzielimy również zwolnienia na rekonwalescencję, jeśli już o tym mówimy? – spytał porozumiewawczo lekarz.

– Dziękuję panu – rzekł Drogo – ale nie chciałbym przesadzić.

– Jak pan chce. Bez zwolnienia. Ja w pańskim wieku nie miałem podobnych skrupułów.

Giovanni, zamiast usiąść, zbliżył się do okna i od czasu do czasu zerkał w dół na żołnierzy stojących w szeregu na białym śniegu. Słońce dopiero co zaszło, między murami rozlał się błękitny półmrok.

– Przeszło połowa takich jak pan po dwóch, trzech miesiącach chce odejść – powiedział z pewnym smutkiem doktor, również spowity w cień, aż trudno było pojąć, jak w ogóle może pisać. – Ja także, gdyby mogły wrócić tamte lata, postąpiłbym jak wy... A mimo wszystko byłoby szkoda.

Drogo słuchał bez zainteresowania, uważnie patrząc przez okno. I wtedy wydało mu się, że żółtawe ściany dziedzińca bardzo wysoko wznoszą się ku kryształowemu niebu, a ponad nimi, po tamtej stronie, jeszcze wyżej, znajdowały się samotne wieże, ukośne ciosowe mury ukoronowane śniegiem, powietrzne skarpy i blokhauzy, których wcześniej nie dostrzegł. Jasne światło z zachodu jeszcze je otaczało blaskiem, i w ten sposób tajemniczo promieniały nieprzeniknionym życiem. Nigdy przedtem Drogo nie zauważył, że Forteca była tak skomplikowana i ogromna. Dojrzał okno (a może otwór strzelniczy?) otwarte od strony doliny na prawie niewiarygodnej wysokości. Zapewne byli tam jacyś nieznani mu jeszcze ludzie, a z nimi może jakiś oficer, z którym mógłby się zaprzyjaźnić. Dojrzał geometryczne cienie przepaści wśród baszt, wąskie mosty wiszące między dachami, dziwne bramy zaryglowane jedna za drugą w murach obronnych, zatkane otwory do miotania kamieni, długie krawężniki skrzywione od ciężaru lat.

Dojrzał między latarniami i pochodniami, w sienie głębi dziedzińca, wysokie i dumne sylwetki żołnierzy dobywających bagnety. Na bieli śniegu tworzyli czarne i nieruchome szeregi, jakby wykuci z żelaza. Byli przepiękni i stanęli jak skamieniali, gdy zaczęła grać trąbka. Żywe i olśniewające dźwięki rozchodziły się w powietrzu, przenikały prosto do serca.

– Jeden po drugim odejście stąd wszyscy – mrucał Rovina w półmroku. – W końcu zostaniemy tylko my, starzy. W tym roku...

Trąbka grała na dziedzińcu czystym dźwiękiem ludzkiego głosu i metalu. Zadrzała wojenną werwą. Milknąc, pozostawiła niewysłowiony urok nawet w gabinecie lekarskim. Powstała taka cisza, że można było usłyszeć skrzypienie kroków na zamarzłym śniegu. Pułkownik zszedł, żeby osobiście odprawić straż. Jeszcze trzy dźwięki nadzwyczajnej piękności rozcięły niebo.

– Kto z was zostaje? – skarżył się nadal doktor. – Porucznik Angustina, jedyny. Idę o zakład, że również Morel w tym roku będzie musiał udać się na kurację do miasta. On też na pewno w końcu się rozchoruje...

– Morel? – podchwycił Drogo, chcąc okazać, że słucha. – Chory? – spytał, zrozumiałwszy tylko ostatnie słowa.

– Och, nie – rzekł doktor. – To rodzaj metafory.

Nawet przez zamknięte okno słyhać było skrzypiące kroki pułkownika. Rozstawione w szeregu bagnety wyglądały w zmierzchu jak srebrne smugi. Z nieprawdopodobnej odległości docierały echa trąbki, której dźwięki odbijały się teraz o niezliczone załamania murów.

Doktor milczał. Potem wstał i rzekł: – Oto zaświadczenie. Pójdę do pana komendanta, żeby je podpisał. – Poskładał arkusz i wsunął do teczki, z wieszaka zdjął płaszcz wojskowy i duży skórzany beret. – Czy pan też pójdzie, poruczniku? – spytał. – W co się pan wpatruje?

Straże opuściły broń i jedna po drugiej ruszyły w stronę różnych części Fortecy. Na śniegu rytm ich kroków wywoływał głuchy oddźwięk, ale nad nim unosiła się muzyka fanfar. Potem, chociaż może się to wydać nieprawdopodobne, mury, już obleczone ciemnością nocy, uniosły się wolno aż do zenitu, a od ich najwyższej granicy, obramowanej wstęgą śniegu, zaczęły się odrywać białe chmury w kształcie czapli żeglujących w przestrzeniach gwiazdnych.

W umyśle Drogo przemknęło wspomnienie jego miasta, błądzący obraz hałaśliwych uliczek w deszczu, gipsowych posągów, wilgoci koszar, posępnych dzwonów, twarzy zmęczonych i niespokojnych, niekończących się popołudni, brudnych, pokrytych kurzem sufitów.

Tu natomiast rozwijała się wielka noc pośród gór, z chmurami uciekającymi nad Fortecą i cudownymi przecuciami. A z Północy, niewidocznej zza murów Północy, Drogo słyszał ciężący nad nim zew przeznaczenia.

Doktor był już w progu.

– Doktorze, doktorze – rzekł Drogo, niemal bełkocąc. – Czuję się dobrze.

– Wiem o tym – odparł lekarz. – A co pan myślał?

– Czuję się dobrze – powtórzył Drogo, prawie nie poznając własnego głosu. – Czuję się dobrze i chcę zostać.

– Zostać w Fortecy? Już pan nie chce odejść? Co się stało?

– Nie wiem – rzekł Giovanni. – Ale nie mogę odjechać.

– O! – krzyknął Rovina zbliżając się. – Jeśli pan nie żartuje, to słowo daję, że bardzo się cieszę.

– Nie żartuję, nie – rzekł Drogo czując, jak egzaltacja przekształca się w dziwny ból, bliski szczęściu. – Doktorze, wyrzuć pan ten papier.

X

Musiałoby się tak stać i może było to już od dawna postanowione, to znaczy od owego odległego dnia, kiedy Drogo pojawił się po raz pierwszy z Ortizem na brzegu płaskowyżu i Forteca objawiła się w uciążliwym, południowym blasku.

Drogo postanowił pozostać, przeniknięty jakimś nieokreślonym pragnieniem i czymś więcej: sama myśl o bohaterstwie zapewne by nie wystarczyła. Na razie sądzi, że postąpił szlachetnie, i w dobrej wierze tym się zachwyca, znajdując siebie lepszym, niż przypuszczał.

Dopiero po upływie wielu miesięcy, cofając się myślą wstecz, przeniknie marność powodów, dla których związał się z Fortecą.

Nawet gdyby grały trąby i grzmiały wojenne pieśni, a z Północy nadciągały niepokojące orędzia, jeśliby tylko o to chodziło, Drogo wyjechałby, ale w nim tkwiła już drętwość przyzwyczajenia, próżność wojskowa, rodzinne przywiązanie do swojskich murów. W monotonnym rytmie służby cztery miesiące wystarczyły, żeby go złapać na ten lep.

Przyzwyczajeniem stała się służba wartownicza, która początkowo wydawała się ciężarem nie do wytrzymania; stopniowo i coraz lepiej opanowywał reguły, sposoby mówienia, znał dziwactwa przełożonych, topografię redut, miejsca wartowników, zakątki, w których nie było wiatru, język trąbek. Z opanowania tajników służby wynikała specjalna przyjemność związana ze wzrastającym szacunkiem żołnierzy i podoficerów; nawet Tronk dostrzegł, jak bardzo Drogo był poważny i skrupulatny: prawie go polubił.

Przyzwyczajeniem stali się koledzy; odtąd znał ich tak dobrze, że potrafił uchwycić w rozmowie nawet najsubtelniejsze podteksty. Wieczorami długo gawędzili o miejskich sprawach, które z racji oddalenia darzone były nadmiernym zainteresowaniem. Przyzwyczajeniem była wygoda apetycznie nakrytego stołu, przytulny kominek w klubie oficerskim, gdzie dniem i nocą trzaskał ogień; gorliwość adiutanta, poczciwego Geronima, który pomaha nauczył się odgadywać jego życzenia.

Przyzwyczajeniem przejażdżki odbywane od czasu do czasu z Morelem do najbliższej miejscowości: dwie godziny z hakiem konno na przełaj wąską, na pamięć znaną już kotliną, i gospoda, w której wreszcie można było zobaczyć jakąś nową twarz, zamówić wspaniałą kolację i gdzie rozbrzmiewał dźwięczny śmiech dziewcząt, z którymi można było się kochać.

Przyzwyczajeniem szalone gonitwy konne po esplanadzie za Fortecą w brawurowych wyścigach z towarzyszami w wolne popołudnia i cierpliwe partyjki szachów wieczorem przy gorącym aplauzie, często zwycięskie dla Droga (ale kapitan Ortiz powiedział mu: zawsze tak jest, nowo przybywający zawsze wygrywają. Wszyscy na początku łudzą się, że są naprawdę świetni, gdy tymczasem to tylko sprawa nowości, inni w końcu poznają nasz system i pewnego dnia do niczego się już nie dochodzi).

Przyzwyczajeniem dla Droga stał się jego pokój, spokojne nocne lektury, rysa w suficie nad łóżkiem, podobna do głowy Turka, ciekająca cysterna, którą z czasem szczerze polubił, wgłębienie wyrobione w materacu

pod ciężarem ciała, koce początkowo tak niegościnnie, a teraz posłusznie uległe, ruch, już instynktownie wykonywany i najdokładniej wymierzony, żeby zgasić lampę naftową lub położyć książkę na stoliku. Wiedział już, gdzie stanąć rano, kiedy golił się przed lustrem, żeby światło padało na twarz pod właściwym kątem, jak przelewać wodę z dzbana do miednicy, żeby nie rozlać ani kropli, jak otworzyć oporny zamek szuflady, trzymając klucz nieco przechylony do dołu.

Przyzwyczajeniem skrzywienie drzwi podczas deszczowej pory, miejsce, na które zwykł padać przez okno promień księżyca, przemieszczając się wolno z upływem godzin, poruszenie w pokoju pod nim każdej nocy, dokładnie o pół do drugiej, kiedy w sposób niepojęty stara rana w prawej nodze podpułkownika Nicolosiego budziła się, przerywając mu sen.

Wszystkie owe sprawy odtąd stały się jego własnymi i porzucenie ich sprawiłoby mu ból. Drogo jednak o tym nie wiedział i nie podejrzewał, że odjazd sporo by go kosztował ani że życie w Fortecy pochłonie dni, jedne po drugich i wszystkie do siebie podobne, z tak zdumiewającą prędkością. Wczoraj i przedwczoraj było takie samo, nie umiałby znaleźć różnicy; zdarzenie sprzed trzech dni lub dwudziestu w końcu wydawało mu się równie odległe. W ten sposób, bez jego wiedzy, dokonywała się ucieczka czasu.

Ale tymczasem, śmiały i beztroski, znajduje się na tarasie czwartej reduty wśród nocy czystej i mroźnej. Ze względu na zimno wartownicy spacerują bez wytchnienia, a ich kroki skrzypią na zamarzłym śniegu. Księżyc wielki i bardzo biały rozjaśnia świat. Fort, skały i kamienista dolina północna zatopione są w cudownym świetle, błyszczą nawet firana mgieł wiszących na dalekiej północy.

Niżej, w pokoju oficera dyżurnego wewnątrz reduty, zostawił zapaloną lampę; jej płomień lekko drga, a cienie kołyszą się na ścianach. Drogo właśnie zabrał się do pisania listu: musiał odpowiedzieć Marii, siostrze jego przyjaciela Vescoviego, która może pewnego dnia zostanie jego żoną. Ale po dwóch liniijkach przerwał, nie wiedząc nawet dlaczego, i wyszedł na górę, żeby popatrzeć.

Był to najniższy odcinek fortyfikacji odpowiadający największemu wgłębieniu przełęczy. W tym miejscu muru obronnego znajdowała się brama łącząca oba Państwa. Jej masywnych skrzydeł opancerzonych żelazem nie otwierano od niepamiętnych czasów. A straż Nowej Reduty wychodziła i

wchodziła codziennie małymi bocznymi drzwiami, w których człowiek ledwie się mieścił, pilnował ich zaś jeden wartownik.

Po raz pierwszy Drogo pełnił służbę w czwartej reducie. Za ledwie wyszedł na powietrze, ogarnął wzrokiem wznoszące się groźnie po prawej stronie skały, całe pokryte lodem i błyszczące w świetle księżyca.

Podmuchy wiatru zaczęły gnać po niebie małe, białe chmury i powiewały płaszczem Droga, nowym płaszczem, który dla niego tyle znaczył.

Nieporuszony wpatrywał się w przeciwległe urwiska skalne, w nieprzeniknione krańce północy, a poły płaszcza gwałtownie łopotwały na wietrze jak sztandar. Drogo czuł się tej nocy dumny i po żołniersku piękny, gdy tak stał na szczycie murów, mając na sobie wspaniały płaszcz tańczący na wietrze. Blisko niego Tronk, okutany w szeroki szynel, wręcz nie wyglądał na żołnierza.

– Niech mi pan powie, Tronk – zapytał Giovanni, udając zaniepokojenie.
– Czy tylko mi się wydaje, czy rzeczywiście tej nocy księżyc jest znacznie większy niż zwykle?

– Nie sędzę, panie poruczniku – rzekł Tronk. – Tutaj w Fortecy zawsze odnosi się takie wrażenie.

Głosy odbijały się szerokim echem, jakby powietrze było ze szkła. Tronk, widząc, że porucznik nic więcej nie miał mu do powiedzenia, odszedł wzdłuż tarasu, kierowany odwieczną potrzebą kontrolowania służby.

Drogo został sam i prawdę mówiąc poczuł się szczęśliwy. Z dumą rozkoszował się podjętą decyzją, gorzkim smakiem porzucenia drobnych, nazbyt pewnych radości dla jakiejś wielkiej, ale odległej i nie wiadomo, czy osiągalnej wartości (a może pod tym wszystkim kryta się pocieszająca myśl, że odjechać zawsze jeszcze zdąży).

Przecucie – czy tylko nadzieja? – przeżyć szlachetnych i wielkich zatrzymała go, ale mogło to być tylko odroczenie, w gruncie rzeczy nic nie zostało przecież przesądzone. Tyle czasu miał jeszcze przed sobą. Wszystko, co najlepsze w życiu, było przed nim. Czy musiał się śpieszyć? Nawet od kobiet, istot miłych i obcych mu, oczekiwał niewątpliwego szczęścia, przyobiecane mu normalnym porządkiem rzeczy.

Ile czasu przed nim! Bardzo długi wydawał się nawet rok, a najlepsze lata dopiero się zaczęły; zdawały się tworzyć niekończący się szereg, którego

końca nie mógł dostrzec, skarb jeszcze dziewiczy i tak wielki, że i znudzić się zdąży.

Nie było nikogo, kto by mu powiedział: uważaj, Giovanni Drogo! Życie wydawało się niewyczerpanym, upartym złudzeniem, chociaż jego młodość zaczynała już przekwitać. Ale Drogo nie znał czasu. Nawet gdyby czekała go młodość trwająca setki lat, jaką mają bogowie, i to by na nic się zdało. A on rozporządzał jedynie zwykłym i normalnym życiem, małą, ludzką młodością, skąpym darem, który przeliczyć mogły palce obu rąk. Darem, który się rozwieje, zanim zdąży go poznać.

Ile czasu przede mną, myślał. A jednak istnieją ludzie – jak słyszał – (aż dziwne się wydaje), którzy w pewnym momencie zaczynają czekać na śmierć, na ową znaną i absurdalną chwilę, która nie mogła go dotyczyć. Drogo uśmiechnął się w zamyśleniu, a po chwili, przynaglony zimnem, rozpoczął przechadzkę.

W tym miejscu mury ciągnęły się w poprzek przełęczy, tworząc skomplikowany szereg tarasów i balustrad. Niżej w świetle księżyca Drogo widział czarne na tle śniegu sylwetki wartowników, a ich miarowe kroki skrzypiały na zamrożonej powierzchni.

Najbliżej, na tarasie tuż pod nim, w odległości jakichś dziesięciu metrów, strażnik – pewnie mniejszy zmarzlak od pozostałych – stał nieruchomo, plecy oparł mur i rzec by można, że zasnął. A jednak Drogo słyszał, jak głębokim głosem nucił jakąś smutną pieśń.

Była ona ciągiem słów (których Drogo nie zdołał odróżnić) powiązanych z sobą melodią monotonna i niemającą końca. Rozmowy, a zwłaszcza śpiew, podczas służby były surowo zakazane, Giovanni powinien by go ukarać, ale zrobiło mu się go żal, kiedy pomyślał o zimnie i samotności owej nocy. Zaczął tedy zstępować po krótkich schodach prowadzących na taras i lekko zakaszłał, aby ostrzec żołnierza.

Wartownik odwrócił głowę, a widząc oficera, wyprostował się, ale pieśni nie przerwał. Droga ogarnął gniew: czy ci żołnierze myślą, że mogą mu uragać? Już on go nauczy moresu.

Wartownik od razu dostrzegł groźną postawę Droga i chociaż skutkiem niemego i bardzo starego zwyczaju żołnierze nie pytali o hasło dowódcę straży, ten poczuł raptem nadmiar skrupułów. Ujawszy karabin zapytał z akcentem nader szczególnym, stosowanym w Fortecy: – Kto idzie? Kto idzie?

Drogo nagle się zatrzymał zdezorientowany. Z odległości mniejszej chyba niż pięć metrów, w przezroczystym świetle księżyca doskonale widział twarz wojskowego, którego usta były zamknięte. Ale żalosną pieśń słychać było nadal. Skąd więc mógł dochodzić głos?

Myśląc o tej dziwnej sprawie, Giovanni, jako że żołnierz nadal stał oczekując, mechanicznie wypowiedział hasło: – Cud. – Nędza – odparł wartownik i odłożył broń do nogi.

Nastąpiła niezmierna cisza, w której wyraźniej niż przedtem unosił się szmer słów i śpiewu.

Wreszcie Drogo zrozumiał i lekki dreszcz przeszedł mu po plecach. To daleki wodospad szumiący na szczytach pobliskich skał. Wiatr powodujący falowanie bardzo długiego strumienia, tajemnicza gra echa, dźwięczne pluskanie wody o kamienie tworzyły ludzki głos, który mówił bez przerwy: były to słowa dotyczące naszego życia i zdawało się, że ucho już, już łowi ich sens, ale nadaremnie.

A więc to nie żołnierz podśpiewywał, nie człowiek wrażliwy na zimno, kary i miłość, ale złowroga góra. Co za smutna omyłka, pomyślał Drogo, może tak jest ze wszystkim, wierzymy, że wokół są istoty podobne do nas, a tymczasem istnieje tylko mróz i kamienie mówiące obcym językiem; chcemy pozdrowić przyjaciela, ale ramię opada bezwładnie, uśmiech wygasa, ponieważ dostrzegamy, że jesteśmy całkowicie samotni.

Wiatr targa wspaniałym płaszczem oficera i nawet błękitny cień na śniegu powiewa jak sztandar. Wartownik stoi nieruchomo. Księżyc płynie powoli, ale bez ustanku, niecierpliwie wyglądając świtu. Pik, pik, bije serce w piersi Giovanniego Droga.

XI

Prawie dwa lata później Giovanni Drogo spał nocą w swym pokoju w Fortecy. Minęły dwadzieścia dwa miesiące, które nie przyniosły nic nowego, ale stanowczo trwał w oczekiwaniu, jakby życie miało mu okazać specjalną pobłażliwość.

A przecież dwadzieścia dwa miesiące to długo i wydarzyć się może mnóstwo rzeczy: to wystarczająca ilość czasu, żeby powstały nowe rodziny, urodziły się dzieci, a nawet zaczęły mówić, żeby stanął wielki dom, tam gdzie była jedynie łąka, żeby piękna kobieta zdażyła się zestarzeć i nikt już jej nie pożałował, żeby choroba, nawet bardzo długa, załęgła się (podczas gdy człowiek żyje sobie jeszcze beztrąsko), zaczęła powoli trawić ciało, wycofując się na okres krótkotrwałych polepszeń, a potem tym silniej chwytając od środka, wysssała ostatnie nadzieje; pozostanie jeszcze czasu, żeby zmarłego pogrzebać i zapomnieć o nim i żeby syn znowu nauczył się śmiać, a wieczorem, nieświadom, prowadził dziewczęta alejami, wzdłuż ogrodzeń cmentarza.

Natomiast egzystencja Droga jakby się zatrzymała. Ten sam dzień, z identycznymi sprawami, powtarzał się setki razy, nie posuwając się ani o krok. Rzeka czasu przepływała nad Fortecą, niszcząc mury, ciągnąc za sobą piach i odłamki skał, ścierając stopnie schodów i ogniwa łańcuchów, ale nad Drogą przepływała na próżno; jeszcze nie potrafił pochwycić jej nieprzerwanego biegu.

Również i ta noc upłynęłaby jak wszystkie inne, gdyby Drogowi się coś nie przyśniło. Znowu był dzieckiem i nocą znalazł się przed parapetem jakiegoś okna.

Spoza obszernego wgłębienia domu widział fasadę bardzo bogatego pałacu stojącego w blasku księżyca. Uwagę Droga-dziecka całkowicie zajęło wysokie, wąskie okno z marmurowym baldachimem. Księżyc poprzez szyby zalewał światłem stół nakryty kilimem, na którym znajdował się wazon i parę statuetek z kości słoniowej. Tych kilka zaledwie widocznych przedmiotów pozwalało wyobrazić sobie, że w ciemności kryje się wnętrze rozległego salonu (pierwszego z całej serii następnych), pełne kosztownych rzeczy, a cały pałac pogrążył się we śnie, w owym śnie głębokim i wyzywającym, znanym siedzibom ludzi bogatych i szczęśliwych. Co za radość – pomyślał Drogo – móc mieszkać w takich salonach i krążyć godzinami, ciągle odkrywając nowe skarby.

Między oknem, do którego przywarł, a cudownym pałacem – odstęp rzędu jakichś dwudziestu metrów – zaczęły się snuć ulotne zjawy, może podobne do wróżek, które ciągnęły za sobą muślinowe treny lśniące w świetle księżyca.

Podczas snu obecność istot, jakich nigdy nie widział w świecie rzeczywistym, nie zdumiewała Giovanniego. Pływały w powietrzu, zataczając powolne kręgi i uporczywie ocierając się o wąskie okno.

Z natury rzeczy zdawały się logicznymi tworamii pałacu, ale fakt, że wcale nie zważały na Droga i nie zbliżały się nawet do jego domu, zasmucał go. A więc również wróżki uciekały od zwykłych dzieci i troszczyły się tylko o ludzi szczęśliwych, którzy nawet nie patrzyli na nie, lecz obojętnie spali pod jedwabnymi baldachimami?

– Pst... pst... – szepnął Drogo dwa lub trzy razy, nieśmiało, chcąc zwrócić na siebie uwagę zjaw, chociaż w głębi serca dobrze wiedział, że okaże się to daremne. Faktycznie, żadna nie usłyszała, żadna nie zbliżyła się nawet o metr do jego parapetu.

Ale oto jedno z owych magicznych stworzeń uchwyciło się ramy przeciwległego okna czymś w rodzaju ręki i zapukało dyskretnie w szybę, jakby kogoś wzywając.

Upłynęło zaledwie kilka chwil, a już drobna postać, och, jaka mała w porównaniu z monumentalnym oknem, ukazała się za szybą i Drogo rozpoznał Angustinę, również jako małego chłopca. Angustina, pokryty przejmującą bladością, miał na sobie aksamitny garnitur z koronkowym, białym kołnierzem i wcale nie sprawiał wrażenia zadowolonego z tej milczącej serenady.

Drogo pomyślał, że towarzysz, choćby przez grzeczność, zaprosi go do zabawy ze zjawami. Tak jednak się nie stało. Angustina wydawał się nie dostrzegać przyjaciela i nawet kiedy Giovanni zawołał: – Angustina! Angustina! – nie odwrócił wzroku.

Przeciwnie, zmęczonym gestem przyjaciel otworzył okno i pochylił się ku duchowi wiszącemu u parapetu, jakby był z nim w zażyłości i chciał mu coś powiedzieć. Duch uczynił znak i, spoglądając w kierunku jego gestu, Drogo obrócił wzrok na wielki plac, absolutnie pusty, ciągnący się przed domami. Nad owym placem, około dziesięć metrów nad ziemią, sunął w powietrzu mały orszak reszty duchów niosących lektykę.

Lektyka, zbudowana jakby z tej samej co one substancji, pełna była welonów i pióropuszy. Angustina, zachowując charakterystyczny dla siebie wyraz dystansu i znudzenia, patrzył, jak się zbliżała; było oczywiste, że przyjechała po niego.

Niesprawiedliwość raniła serce Droga. Dla Angustiny wszystko, a dla niego nic? Gdyby jeszcze ktoś inny, ale właśnie Angustina, zawsze taki dumny i arogancki. Drogo spojrział na pozostałe okna, żeby zobaczyć, czy był ktoś, kto mógłby ewentualnie stanąć po jego stronie, ale nie udało mu się nikogo dostrzec.

W końcu lektyka stanęła kołysząc się tuż przed oknem i wszystkie zjawy jednym susem zbiegły się wokół tworząc falującą koronę; wszystkie przechyliły się w stronę Angustiny, już nie usługowe, lecz pełne chciwej i prawie złośliwej ciekawości. Lektyka pozostawiona sobie samej utrzymywała się w powietrzu, jakby zawieszona na niewidocznych niciach.

Nagle Drogo pozbył się wszelkiej zawiści, gdyż zrozumiał, co miało się wydarzyć. Widział Angustinę wyprostowanego przy parapecie okna i jego oczy wpatrzone w lektykę. Tak, do niego przyszedli wysłannicy wieszczek owej nocy, ale z jakim poselstwem! Długiej podróży służyć więc miała lektyka i nie wróci przed świtem ani nawet po upływie dwóch czy trzech nocy: nigdy. Salony pałacu na próżno czekać będą na panicza, kobiece dłonie zamkną ostrożnie okno, które pozostało otwarte po zniknięciu uciekiniera, wszystkie inne również zostaną zaryglowane i pośród ciemności skrywać będą łzy i rozpacz.

Zjawy, teraz już łagodne, nie przybyły więc, żeby igrać z promieniami księżyca, ani nie wyszły – niewinne stworzenia – z pachnących ogrodów, lecz pochodziły z otchłani.

Inne dziecko zapewne płakałoby, wzywając matkę, ale Angustina nie znał uczucia strachu i spokojnie gawędził z duchami, jakby chcąc ustalić pewne formalności wymagające uściślenia. Zgromadzone wokół okna, podobne do kłębiącej się piany, cisnęły się ku dziecku, ono zaś kiwało głową, że tak, jakby mówiąc: no dobrze, dobrze, wszystko w porządku. W końcu duch, który jako pierwszy uczeplił się parapetu, może dowódca, wykonał drobny rozkazujący gest. Angustina, ciągle zachowując znudzoną minę, zeskoczył z parapetu (wydawał się już lekki jak zjawy) i usiadł w lektyce niczym pan, zakładając nogę na nogę. Grono zjaw rozpierzchnęło się wśród falujących welonów, a zaczarowany pojazd łagodnie drgnął i ruszył z miejsca.

Utworzył się orszak, widma wykonały półkolistą ewolucję między domami i uniosły się do nieba w kierunku księżyca. Zakreślając półkole,

lektyka również przeleciała o kilka metrów od okna Droga, który machając rękoma próbował krzyknąć: Angustina! Angustina! – ostatnie pozdrowienie.

Zmarły przyjaciel wtedy wreszcie odwrócił głowę ku Giovanniemu i patrzył na niego przez chwilę, a Drogowi wydało się, że odczytał z niej powagę absolutnie nadmierną dla małego dziecka. Ale twarz Angustiny powoli rozjaśnił uśmiech współwiny, jakby Drogo i on rozumieli wiele spraw nieznanych zjawom; jakaś nieprzeparta chęć zażartowania, ostatnia okazja, żeby pokazać, iż on, Angustina, nie potrzebował niczyjej litości: ot, zwyczajna rzecz, zdawał się mówić, byłoby głupio dziwić się z tego powodu.

Lektyka unosiła go w dal i Angustina oderwał wzrok od Droga. Odwrócił głowę do przodu, w kierunku orszaku, z czymś w rodzaju ciekawości rozbawionej i nieufnej. Wydawało się, że po raz pierwszy wypróbował zabawkę, na której wcale mu nie zależało, ale uprzejmość nie pozwalała mu jej odrzucić.

I tak oddalał się pośród nocy z godnością prawie niehumaną. Nawet nie rzucił okiem na pałac ani na pobliski plac czy domy, ani na miasto, w którym żył. Orszak przesunął się po niebie w powolnych zygzakach, ciągle wyżej, stając się niewyraźną smugą, potem leciutką mgielką, wreszcie niczym.

Okno pozostało otwarte, promienie księżyca jeszcze oświetlały stół, wazon, statuetki z kości słoniowej nadal były pograżone we śnie. W innym pokoju, w drżącym świetle wielkich świec, może znajdowało się wyciągnięte na łóżku drobne ciało ludzkie pozbawione życia, a twarz przypominała Angustinę; ubrane było w aksamitny garnitur, wielki, koronkowy kołnierz, a na bladych wargach zastygł uśmiech.

XII

Następnego dnia Giovanni Drogo dowodził strażą w Nowej Reducie. Był to mały fort oddalony o około trzy kwadransy drogi od Fortecy, leżący na szczycie skalistego stożka górującego nad Równiną Tatarów. Najważniejszy garnizon, całkowicie odosobniony, który miał bić na alarm, gdyby zbliżało się niebezpieczeństwo.

Drogo opuścił wieczorem Fortecę na czele siedemdziesięciu ludzi: trzeba było tylu żołnierzy, ponieważ należało obsadzić dziesięć posterunków wartowniczych, nie licząc dwóch strzelnic w murze. Po raz pierwszy wychodził na drugą stronę przełęczy, czyli w gruncie rzeczy poza granicę.

Giovanni myślał o odpowiedzialności związanej ze służbą, ale przede wszystkim medytował nad snem o Angustinie. Sen ów nieustannie powracał mu na myśl. Wydawało mu się, że jest on niejasno powiązany z rzeczami przyszłymi, chociaż nie był specjalnie przesądny.

Weszli do Nowej Reduty, wykonano zmianę wart, potem odchodząca straż wyruszyła i ze skraju tarasu Drogo obserwował ją, jak się oddala przez piargi.

Stamtąd Forteca wyglądała jak bardzo długi mur, zwykły mur, za którym nie ma nic. Wartowników nie było widać, ponieważ byli zbyt daleko, Tylko od czasu do czasu powiewał na wietrze sztandar.

Przez dwadzieścia cztery godziny wyłącznym dowódcą samotnej reduty będzie Drogo. Gdyby się coś przytrafiło, to nie mógłby prosić o posiłki. Nawet jeśliby nadciągnął nieprzyjaciel, mały fort musiałby sam się bronić. Wśród tych murów przez dwadzieścia cztery godziny Król we własnej osobie mniej się liczył od Droga.

Czekając, aż nadejdzie noc, Giovanni spoglądał na równinę północną. Z Fortecy można było dostrzec tylko mały trójkąt z powodu przesłaniających ją gór. Teraz natomiast widział ją w całości aż do krańców horyzontu, gdzie zazwyczaj wisiała firana mgieł. Była czymś w rodzaju pustyni wybrukowanej głazami; tu i ówdzie plamy niskich, zakurzonych krzaków. Po prawej, daleko, daleko, ciemna smuga mogła być lasem. Po bokach surowy łańcuch gór. Niektóre z nich były przepiękne, z ogromnymi, pionowymi skałami i obielonymi szczytami po pierwszym, jesiennym śniegu. Jednak nikt na nie nie spoglądał; wszyscy, Drogo i żołnierze, instynktownie patrzyli na północ, na opustoszałą równinę pozbawioną sensu i tajemniczą.

Może sprawiła to myśl, że zupełnie sam musi dowodzić owym małym fortem, lub widok bezludnej, piaszczystej równiny, czy wreszcie wspomnienie snu o Angustinie, w każdym razie Drogo czuł, jak w nim narasta, wraz z zapadającą nocą, głuchy niepokój.

Był październikowy nieco pochmurny wieczór, z plamkami czerwonego światła rozsianymi tu i ówdzie po ziemi, pochodzącymi nie wiadomo skąd, stopniowo wchłanianymi przez zmierzch o barwie ołowiu.

Jak zazwyczaj o zachodzie słońca Droga ogarniało coś w rodzaju poetyckiego ożywienia. Była to godzina nadziei. A on powracał do swoich bohaterskich fantazji tworzonych podczas długich służb wartowniczych i każdego dnia uzupełnianych nowymi szczegółami. Na ogół myślał o desperackiej bitwie, do której rzucił się z garstką ludzi przeciw niezliczonym siłom nieprzyjaciela, jakby owej nocy Nowa Reduta została obleżona przez tysiące Tatarów. Przez długie dni stawiał opór, prawie wszyscy towarzysze byli zabici lub ranni; pocisk trafił również w niego, ciężka rana, chociaż pozwalała mu jeszcze dowodzić. Ale oto naboje już się kończą: próbuje więc zrobić wypad na czele garstki żołnierzy, bandażem owiązał czoło; wtedy wreszcie przychodzi posiłki, nieprzyjaciel rozproszył się i uciekł, on pada wyczerpany, ściskając zakrwawioną szablę. Ktoś jednak go woła: – Poruczniku Drogo, poruczniku Drogo – woła, potrząsając nim i przywracając do życia. Drogo wolno otwiera oczy: Król, Król we własnej osobie pochyła się i mówi mu: brawo.

Była to godzina nadziei, a on marzył o bohaterskich wyczynach, które prawdopodobnie nigdy się nie ziszcza, ale jednak przydawały się dla dodania otuchy w życiu. Niekiedy zadowalał się dużo skromniejszym marzeniem, rezygnował z odegrania roli jedyne go bohatera, rezygnował z rany, a nawet z Króla mówiącego mu brawo. W gruncie rzeczy wystarczyłaby bitwa, jedna zwykła bitwa, ale na serio, szarżować w paradnym mundurze i umieć z uśmiechem na ustach pędzić na nieprzyjaciela o zagadkowym obliczu. Jedna bitwa, a potem może byłby już zadowolony przez całe życie.

Ale tego wieczora nie było łatwo czuć się bohaterem. Ciemności ogarnęły już świat, równina północna straciła całkowicie swe zabarwienie, ale jeszcze nie usnęła, jakby rodziło się w niej coś smutnego.

Była już ósma wieczorem i całe niebo pokryło się chmurami, kiedy Drogo odniósł wrażenie, że dostrzegł na równinie, trochę bardziej w prawo, akurat pod redutą, małą, czarną i poruszającą się plamę. „Mam zmęczone oczy”, pomyślał. „Za długo wypatruję, bołą mnie oczy i dlatego widzę plamy”. Już kiedyś przytrafiło mu się to samo, gdy był jeszcze chłopcem i siedział w nocy, i się uczył.

Na krótką chwilę zamknął powieki, potem zwrócił spojrzenie ku przedmiotom znajdującym się dookoła: na wiadro służące do zmywania tarasu oraz żelazny haczyk w murze i stołek, który oficer pełniący przed nim służbę zapewne kazał sobie przynieść, żeby móc na nim siedzieć. Dopiero po kilku minutach znów spojrzął w dół, tam gdzie trochę wcześniej wydało mu się, że dostrzegł czarną plamę. Nadal była widoczna, chociaż wolno się przesuwała.

– Tronk! – krzyknął Giovanni wzburzonym tonem.

– Co pan rozkaże, poruczniku? – natychmiast odpowiedział jakiś głos tak blisko, że Giovanni aż zadrżał.

– Ach, więc pan jest tutaj? – spytał chwytając oddech. – Tronk, nie chciałbym popełnić błędu, ale mi się zdaje... zdaje mi się, że coś widzę i to coś się rusza tam w dole.

– Tak jest – odparł Tronk regulaminowym głosem. – Już od kilku minut się przyglądam.

– Co takiego? – spytał Drogo. – Pan też zobaczył? Co pan widzi?

– Coś, co się porusza, panie poruczniku.

Drogo czuł, że krew uderza mu do głowy. Nie ma co, pomyślał, zapominając zupełnie o wojowniczych fantazjach, właśnie mnie musiało to spotkać, teraz przytrafi się niezły ambaras.

– Ach, pan też zobaczył? – spytał ponownie z absurdalną nadzieją, że tamten zaprzeczy.

– Tak jest – odparł Tronk. – Dziesięć minut temu. Zszedłem, żeby sprawdzić, czy armaty są czyste, potem przyszedłem na górę i dopiero tutaj zobaczyłem.

Obaj zamilkli, również dla Tronka musiał to być fakt dziwny i niepokojący.

– Jak pan myśli, Tronk, co to jest?

– Nie mogę pojąć. Porusza się zbyt wolno.

– Zbyt wolno?

– Tak, myślałem, że to kłęby waty trzcinowej.

– Waty? Jakiej waty?

– Tam w głębi rosną trzciny – gestem wskazał na prawo, ale niepotrzebnie, gdyż w ciemności nic nie było widać. – O tej porze roku pokrywają się takim czarnym puchem. Niekiedy wiatr go odrywa, a ponieważ jest lekki, ulatuje i tworzy coś w rodzaju kłębow dymu... Ale nie może być – dodał po przerwie – poruszałyby się żywiej.

– Cóż to więc może być?

– Nie rozumiem – odparł Tronk. – Nie sądzę, żeby to byli ludzie. Przyszliby z innej strony. Zresztą nadal się porusza. Nie do wiary.

– Do broni! Do broni! – krzyknął w tym momencie najbliższy wartownik, potem kolejny, potem jeszcze inny. Oni również dostrzegli czarną plamę. Z głębi reduty natychmiast przybiegli pozostali żołnierze niepełniący warty. Zgrupowali się przy parapecie, zaciekawieni i trochę przestraszeni.

– Nie widzisz? – mówił któryś. – Ależ tak, o tu nisko. Teraz się zatrzymało.

– To mgła – mówił inny. — Czasem we mgle są dziury i poprzez nie widać to, co jest z tyłu. Zdaje się, że tam ktoś się rusza, a tymczasem to dziury we mgle.

– Tak, tak, teraz widzę – słysząc było zewsząd. – Ale to zawsze tam było, to po prostu czarny kamień.

– Jaki znów kamień! Nie widzisz, że przecież się rusza? Jesteś ślepy?

– Ale mówię ci, że kamień. Zawsze go widziałem, czarny kamień podobny do mniszki.

Ktoś się roześmiał. – Odejdźcie stąd, szybko wracajcie do środka – wtrącił się Tronk, uprzedzając porucznika, który słysząc prowadzone rozmowy, poczuł wzrastające podniecenie. Żołnierze niechętnie wycofali się do wnętrza i znowu zrobiła się cisza.

– Tronk – spytał nagle Drogo nie mogąc się zdecydować. – Czy pan by ogłosił alarm?

– Alarm dla Fortecy? Myśli pan, żeby wystrzelić, panie poruczniku?

– Hm, sam nie wiem. Czy sądzi pan, że należałoby ogłosić alarm? Tronk potrząsnął głową:

– Raczej czekałbym, żeby lepiej się przyjrzeć. Jeśli wystrzelimy, w Fortecy nastąpi poruszenie. A jeśli to nic takiego?

– Właśnie – przyznał Drogo.

– A ponadto – dodał Tronk – byłoby też niezgodnie z regulaminem. Regulamin mówi, że należy ogłosić alarm tylko w razie zagrożenia, tak właśnie mówi: „...w razie zagrożenia, ukazania się uzbrojonych oddziałów oraz zawsze, ilekroć osoby podejrzane zbliżą się co najmniej na odległość stu metrów od granicy murów”, tak mówi regulamin.

– No właśnie – przyznał Giovanni – a tutaj mamy więcej niż sto metrów, prawda?

– Też tak mówię – potwierdził Tronk. – Zresztą, czy można twierdzić, że to człowiek?

– A cóż by mogło być? Może duch? – odparł Drogo dziwnie podrażniony.

Tronk nie odpowiedział.

Oddani niepewności wśród nieskończonej nocy, Drogo i Tronk stali oparci o parapet, utkwivszy oczy w dali, tam gdzie zaczynała się Równina Tatarów. Zagadkowa plama znieruchomiała, jakby zasnęła, i Giovanni znów zaczął przypuszczać, że to naprawdę nic takiego nie było, jedynie ciemny głaz podobny do mniszki, a jego oczom coś się przywidziało. Trochę ze zmęczenia, bo cóż innego, ot, głupia halucynacja. Odczuwał teraz nawet cień smętnej goryczy, jak zawsze, kiedy dziejowe przeznaczenie przechodzi obok, nie dotykając nas, a odgłos jego kroków gubi się w oddali, podczas gdy pozostajemy sami wśród wirów zwiędłych liści, aby opłakiwać straszną, lecz wielką i straconą okazję.

Ale później, od strony mrocznej doliny, wraz z upływem nocy znów powracało na górę tchnienie strachu. Wraz z upływem nocy Drogo poczuł się mały i samotny, gdyż Tronk za bardzo od niego się różnił, by mógł mu zastąpić przyjaciela. Och, gdyby miał obok siebie kolegów, choćby jednego, od razu byłoby inaczej. Drogo by nawet odnalazł ochotę do żartów, a czekanie na świt nie byłoby tak ciężkie.

Tymczasem mgła rozchodziła się, tworząc wśród równiny błądy archipelag nad czarnym oceanem. Rozwinęła się także u podnóża reduty, przesłaniając tajemniczy przedmiot. Powietrze zrobiło się wilgotne, a płaszcz na plecach Droga wisiał ciężko i bez wdzięku.

Jaka długa noc. Drogo stracił już nadzieję, że kiedykolwiek się skończy, gdy niebo zaczęło blednąć, mroźne powiewy zaś oznajmiały, że zbliża się

świt. Wtedy właśnie zaskoczył go sen. Stał oparty o parapet muru, a głowa dwa razy mu opadła; dwa razy gwałtownie ją wyprostował, ale w końcu osunęła się bezwładnie i powieki ustąpiły znużone. Rodził się nowy dzień.

Obudził się, ponieważ ktoś dotknął jego ramienia. Powoli otrząsał się ze snu. Jakiś głos, głos Tronka mówił: – Panie poruczniku, to koń.

Powracał do życia, do Fortecy, Nowej Reduty i zagadkowej czarnej plamy. Spojrzał szybko w dół, chcąc raz jeszcze sprawdzić, i tchórzliwie pragnął ujrzeć tylko kamienie i krzaki oraz równinę taką, jaka była zawsze: samotną i pustą.

Głos jednak powtarzał: – Panie poruczniku, to koń. – I Drogo – rzecz nieprawdopodobna – zobaczył go stojącego u podnóża skały.

Był to koń, nieduży, niski i tłustawy, osobliwie piękny ze względu na delikatne nogi i falującą grzywę. Dziwnej był budowy, ale przede wszystkim cudowną miał maść: czarną, błyszczącą, która wyglądała jak plama na tle pejzażu.

Skąd przybył? Do kogo należał? Żadne stworzenie od bardzo wielu lat – może tylko z wyjątkiem jakiegoś kruka lub węża – nie zapędziło się nigdy w te strony. Teraz natomiast ukazał się koń i od razu zobaczyli, że nie było to dzikie zwierzę, ale doborowa sztuka; prawdziwy wojskowy koń (może tylko nogi miał nazbyt delikatne).

Sprawa była wyjątkowa i niepokojąca. Drogo, Tronk, wartownicy – nawet pozostali żołnierze przy strzelnicach w murze na niższej kondygnacji – nie potrafili od niego oderwać wzroku. Ów koń urągał regulaminowi, przywodził wspomnienie starych legend Północy, Tatarów i bitew i wypełniał swą absurdalną obecnością całą pustynię.

Sam w sobie nie był groźny, ale rzecz jasna w ślad za nim musiało się coś przydarzyć. Siodło miał w idealnym porządku, jakby dopiero przed chwilą ktoś go dosiadał. A więc kryła się za nim jakaś historia i to, co aż do wczoraj wyglądało na absurd i śmieszny przesąd, mogło wręcz okazać się prawdą. Drogo miał wrażenie, że słyszy owych tajemniczych nieprzyjaciół, Tatarów, schowanych pośród krzaków i w szczelinach skał, nieruchomych i niemych, z zaciśniętymi zębami. Czekali na zapadnięcie zmroku, żeby zaatakować. Reszta tymczasem nadciągała: groźne mrowie powoli wyłaniające się z mgieł północy. Przybywali bez muzyki i pieśni, bez

błyszczących szpad, bez pięknych chorągwi. Mieli matową broń, żeby nie lśniła w słońcu, oraz konie przyuczone do tego, by nie rżały.

Ale konik – tak właśnie natychmiast pomyślano w Nowej Reducie – konik uciekł nieprzyjaciółom i pobiegł przed siebie, zdradzając ich. Prawdopodobnie nic nie zauważyli, ponieważ zwierzę zbiegło z obozowiska podczas nocy.

W ten sposób koń stał się cennym zwiastunem. Jak bardzo jednak wyprzedził siły nieprzyjaciela? Przed zapadnięciem zmierzchu Drogo nie miał okazji poinformować Dowództwa Fortecy, a tymczasem Tatarzy mogli już nadciągnąć.

Uderzyć na alarm? Tronk mówił, że nie: w gruncie rzeczy chodziło o zwykłego konia; fakt, że dotarł do podnóża reduty, mógł oznaczać, że się zabłąkał. Może jego pan był myśliwym polującym w pojedynkę, który lekkomyślnie zapędził się na pustynię i nagle umarł lub zachorował; opuszczony koń ruszył szukać ratunku, poczuł obecność ludzi od strony Fortecy i teraz czekał, aż mu przyniosą owsa.

Przypuszczenie to rodziło poważne wątpliwości, czy naprawdę zbliżała się jakaś armia. Czym przecież mogło kierować się zwierzę, żeby uciekać z obozu do ziemi tak niegościnniej? Ponadto, mówił Tronk, wiadomo, że prawie wszystkie konie Tatarów są jasnej maści; również na starym malowidle zawieszonym w którejś z sal Fortecy widać Tatarów pędzących na jasnych rumakach, podczas gdy ten – zupełnie odwrotnie – czarny jak węgiel.

W ten sposób Drogo, po licznych wahaniach, postanowił czekać do wieczora. Tymczasem niebo się przejaśniło, a słońce zaświeciło nad okolicą i rozgrzało serca żołnierzy. Również Giovanni poczuł się pokrzepiony jasnym światłem; rojenia o Tatarach utraciły poprzednią spoistość, wszystko powróciło do normalnych proporcji, koń był tylko zwykłym koniem, a jego obecność dawała się rozmaicie tłumaczyć bez potrzeby uciekania się do napadu nieprzyjaciela. Wówczas, zapominając o nocnych obawach, poczuł się nagle gotów na jakąkolwiek przygodę, a radością wypełniało go przeczucie, że przeznaczenie stało u drzwi; szczęśliwy los, który by go wyniósł ponad innych ludzi.

Potem osobiście doglądał najdrobniejszych formalności służby wartowniczej, jakby chcąc pokazać Tronkowi i żołnierzom, że pojawienie się konia, chociaż dziwne i niepokojące, bynajmniej nie wprowadziło go w zakłopotanie; wszystko to uważał za normalne w życiu wojskowym.

Ale żołnierze, prawdę mówiąc, wcale się nie bali: konia przyjęli ze śmiechem; ogromnie by im się spodobało, gdyby mogli go schwytać i odprowadzić do Fortecy jako trofeum. Jeden z nich prosił nawet starszego sierżanta o pozwolenie, ale ten ograniczył się do pełnego wyrzutu spojrzenia, jakby chcąc powiedzieć, że sprawy służbowe nie nadają się do żartów.

Natomiast na niższej kondygnacji, gdzie umieszczono dwie armaty, jakiś artylerzysta ogromnie się poruszył na widok konia. Nazywał się Giuseppe Lazzari i niedawno wstąpił na służbę. Utrzymawał, że to jego koń; rozpoznawał doskonale, mylić się nie mógł, z pewnością uciekł, kiedy zwierzęta wyszły z Fortecy do wodopoju.

– To Fiocco, mój koń! – krzyczał, jakby rzeczywiście był jego własnością i został mu ukradziony.

Tronk zszedł na dół i uciszył te krzyki. Oschle wykazał Lazzariemu, iż było rzeczą niemożliwą, aby jego koń zdołał uciec; żeby dotrzeć do doliny północnej musiałby przedostać się przez mury fortecy lub przeskoczyć góry.

Lazzari odparł, że istnieje przejście – tak słyszał – wygodne przejście między skałami; stara opuszczona droga, o której nikt już nie pamiętał. W Fortecy istotnie, wśród wielu innych, zachowała się ta osobliwa legenda. Ale musiała być bujda: nigdy nie znaleziono nawet śladu owego tajemniczego przejścia. Po prawej i lewej stronie Fortecy kilometrami wznosiły się dzikie góry, których nigdy nikt nie przekroczył.

Ale żołnierz nie był przekonany i zgrzytał zębami na myśl, że musi pozostać w reducie i nie może odebrać konia, kiedy zaledwie pół godziny by wystarczyło, żeby pójść i wrócić.

Tymczasem upływały godziny, słońce kontynuowało podróż ku zachodowi, zmiany wart wykonywano o właściwym czasie, pustynia jaśniała samotniej niż kiedykolwiek, konik stał w poprzednim miejscu, zupełnie nieruchomy, jakby spał lub szukał źdźbła trawy. Drogo wypatrywał czegoś w oddali, ale nie zauważył nic nowego; ciągle te same skaliste płyty, krzaki, mgły odległej północy, które stopniowo zmieniały barwę, w miarę jak zbliżał się wieczór.

Nadeszła nowa straż, aby dokonać zmiany warty. Drogo i żołnierze opuścili redutę i skierowawszy się na ukos przez piargi, powrócili do Fortecy wśród fioletowych cieni. Kiedy dotarli do murów, Drogo wypowiedział hasło za siebie i ludzi, brama się otworzyła, stara straż ustawiła się na czymś w

rodzaju małego dziedzińca, a Tronk rozpoczął apel. Tymczasem Drogo się oddalił, żeby ostrzec Dowództwo przed tajemniczym koniem..

Zgodnie z przepisami Drogo najpierw zjawił się u kapitana dyżurnego, a potem ruszyli razem, szukając pułkownika; zazwyczaj w sprawie nowin wystarczało zwrócić się do pierwszego adiutanta batalionu, ale tym razem mogła to być poważna sprawa i nie można było tracić czasu.

Tymczasem pogłoska w błyskawicznym tempie obiegła całą Fortecę. Ktoś z najdalszych straży mówił już o całych szwadronach tatarskich zgrupowanych u stóp skał. Pułkownik, kiedy się dowiedział, powiedział tylko tyle: – Należałoby próbować go schwycić; jeśli ma siodło, to być może uda się stwierdzić, skąd przybył.

Ale stało się to niepotrzebne, gdyż szeregowiec Giuseppe Lazzari, kiedy odchodząca straż wracała do Fortecy, zdołał się ukryć za wielkim kamieniem i nikt tego nie zauważył; potem sam zszedł po piargach, złapał konia i teraz prowadził go w kierunku Fortecy. Stwierdził ze zdumieniem, że nie był to jego koń, ale co można było zrobić.

Dopiero kiedy wchodzili do Fortecy, któryś z towarzyszy zorientował się, że tamten zniknął. Gdyby Tronk się dowiedział, to Lazzari przesiedziałby w więzieniu co najmniej parę miesięcy. Trzeba go było ratować. Dlatego, kiedy starszy sierżant rozpoczął apel i doszli do nazwiska Lazzari, ktoś za niego odpowiedział „obecny”.

Kilka minut potem, kiedy żołnierze już rozeszli się, ktoś sobie przypomniał, że Lazzari nie zna hasła; nie chodziło już o więzienie, ale o życie; biada, jeśli zjawi się pod murami, bo zaczną do niego strzelać. Dwóch czy trzech towarzyszy zaczęło więc szukać Tronka, żeby znalazł jakieś wyjście.

Za późno. Trzymając za uzdę czarnego konia, Lazzari był już blisko murów. Tymczasem Tronk obchodził strażę, jakby wiedziony niejasnym przeczuciem; od razu po odbyciu apelu starszego sierżanta ogarnął niepokój; nie udało mu się ustalić przyczyny, ale czuł, że coś jest nie w porządku. Raz jeszcze analizując fakty z całego dnia, doszedł do chwili powrotu do Fortecy, nie odkrywając niczego niezwykłego; potem jakby coś go tknęło: tak, podczas apelu musiała powstać jakaś nieprawidłowość, której w pierwszej chwili, co często przytrafia się w takich przypadkach, nie zauważył.

Któryś z wartowników pełnił straż właśnie nad bramą wejściową. W półmroku dostrzegł na tle żwiru dwie ciemne, zbliżające się sylwetki. Oddalone były o jakieś dwieście metrów. Nie zwrócił uwagi, pomyślał, że to halucynacja; częstokroć, jeśli ktoś długo stoi na samotnym posterunku, to w końcu zaczyna mu się wydawać, nawet w świetle dnia, że zza krzaków i skał wyłaniają się jacyś ludzie, że ktoś szpieguje, a potem okazuje się, że nikogo nie ma.

Wartownik – aby dać odpocząć wzrokowi – rozejrzał się dookoła, pozdrowił dłonią towarzysza pełniącego wartę trzydzieści metrów dalej na prawo, poprawił ciężką furażerkę uciskającą czoło, później spojrzął w lewo i ujrzał starszego sierżanta Tronka, który stał nieruchomo i surowo wpatrywał się w niego.

Wartownik otrząsnął się, raz jeszcze spojrzął przed siebie, zobaczył, że owe dwie sylwetki nie były snem, znajdowały się już blisko, oddalone zaledwie o jakieś siedemdziesiąt metrów: akurat żołnierz i koń. Wówczas pochwycił karabin, przygotował kurek do strzału, zastygł w geście powtarzanym setki razy podczas szkolenia. Następnie krzyknął: – Stój, kto idzie, kto idzie?

Lazzari dopiero od niedawna był żołnierzem i nawet mu do głowy nie przyszło, że bez hasła nie będzie mógł wrócić. Co najwyżej obawiał się kary za to, że oddalił się bez pozwolenia; ale kto wie, może pułkownik przebaczyłby mu ze względu na odzyskanego konia; zwierzę było prześliczne: generalski koń.

Zostało im jeszcze jakieś czterdzieści metrów. Kopyta czworonoga uderzały dźwięcznie o kamienie, już prawie zapadła noc, z daleka słychać było dźwięk trąbki. – Stój, kto idzie, kto idzie? – powtórzył wartownik. Jeszcze tylko raz i potem będzie musiał strzelać.

Lazzari poczuł się nieswojo, kiedy usłyszał pierwsze wezwanie wartownika. Wydawało mu się dziwne (teraz, kiedy tak stał pośrodku), że w ten sposób nawołuje go kompan, ale uspokoił się przy drugim „stój, kto idzie?”, ponieważ rozpoznał głos przyjaciela, akurat z tej samej kompanii, na którego poufale mówiono Moretto.

– To ja, Lazzari! – krzyknął. – Przyślij dowódcę placówki, żeby mi otworzył! Złapałem konia! I nie zwracaj na siebie uwagi, bo mnie zamkną!

Wartownik nawet się nie poruszył. Trzymając karabin, stał nieruchomo, próbując jak najbardziej opóźnić trzecie „stój, kto idzie?” Być może Lazzari sam zorientuje się w groźącym mu niebezpieczeństwie i zawróci, ewentualnie by się dołączył następnego dnia do straży z Nowej Reduty. Ale o kilka metrów obok znajdował się Tronk, który surowo patrzył na niego.

Tronk nie powiedział ani słowa. Spoglądał to na wartownika, to na Lazzariego; z powodu tego ostatniego prawdopodobnie zostanie ukarany. Co miało wyrażać jego spojrzenie?

Żołnierz i koń znajdowali się w odległości nie większej niż trzydzieści metrów i czekać dłużej byłoby już nierozsądnie. Im bliżej podchodził Lazzari, tym łatwiej zostałyby trafiony.

– Stój, kto idzie, kto idzie? – po raz trzeci krzyknął wartownik, a w jego głosie brzmiało jakby prywatne i nieregulaminowe ostrzeżenie. Chciał powiedzieć: wracaj z powrotem, póki jeszcze czas; czy chcesz, żebym cię zabił?

Wreszcie Lazzari zrozumiał, w mgnieniu oka przypomniał sobie twarde prawa Fortecy, poczuł, że jest zgubiony. Ale zamiast uciekać – któż wie dlaczego – wypuścił uzdę z rąk i zbliżył się w pojedynkę, wołając przenikliwym głosem:

– To ja, Lazzari! Czy mnie nie widzisz? Moretto, hej, Moretto! To ja! Co wyrabiasz z tym karabinem? Moretto, zwariowałeś?

Ale wartownikiem nie był już Moretto, lecz po prostu żołnierz z surową twarzą, który powoli unosił karabin, patrząc na przyjaciela. Oparł strzelbę o ramię i kącikiem oka zerknął na starszego sierżanta w nadziei, iż ten skinie, żeby dać spokój. Tymczasem Tronk nadal stał nieporuszony i surowo wpatrywał się w niego.

Lazzari, nie odwracając się, wykonał kilka kroków do tyłu potykając się o kamienie. – To ja, Lazzari! – krzyczał. – Nie widzisz, że to ja! Nie strzelaj, Moretto!

Ale wartownikiem nie był już ten Moretto, z którym wszyscy kamraci chętnie żartowali; został tylko wartownik z Fortecy w mundurze z ciemnobłękitnego sukna, z pasem rzemiennym, regulaminowym, całkowicie identycznym jak wszystkie inne owej nocy, ot, anonimowy wartownik, który wycelował, a teraz naciskał spust. W uszach mu szumiało i wydawało się, że

słyszcy ochryply głos Tronka: – Dokładnie celuj! – chociaż Tronk nawet nie pisnął.

Karabin na moment lekko zabłysnął, potem ukazał się maleńki obłoczek dymu, chociaż wystrzał w pierwszej chwili nie sprawiał wrażenia silnego, ale potem uległ zwielokrotnieniu pod wpływem echa odbijającego się o mury obronne, a następnie zawisł dłużej w powietrzu, niknąc w oddali jak odgłos grzmotu.

Teraz, kiedy obowiązek został spełniony, wartownik postawił karabin na ziemię, wychylił się poza parapet i spojrzał w dół, mając nadzieję, że może nie trafił. W ciemności rzeczywiście mu się wydało, że Lazzan nie upadł.

Nie, Lazzari jeszcze się trzymał na nogach, a koń zbliżył się do, niego. Potem w ciszy, jaka zapanowała po wystrzale, rozległ się wyraźnie jego głos, ale jak rozpaczliwy: – Och, Moretto, zabiłeś mnie!

Tak powiedział Lazzari i słaniając się upadł do przodu, Tronk z nieprzeniknioną twarzą jeszcze stał w miejscu, gdy wojowniczy rozgardiasz zaczął się szerzyć wśród labiryntów Fortecy.

XIII

Tak zaczęła się owa pamiętna noc pełna wiatru wśród kołyszących się latarni, niezwykłego odgłosu trąbek, kroków na długich korytarzach, pełna chmur, które pędziły z północy na złamanie karku, zakrywały skaliste szczyty, zostawiając po sobie tu i ówdzie białe strzępy i mknęły dalej, nie zatrzymując się, jakby podążały na czyjeś pilne wezwanie.

Wystarczył jeden strzał, zwykły wystrzał karabinowy, żeby Forteca się przebudziła. Od lat trwała cisza – choć oni ciągle nadstawiali uszu, aby złowić odgłos nadciągającej wojny – zbyt długa cisza. I oto odezwał się karabin – naładowany regulaminowym ładunkiem prochu i trzydziestodwugramową kulą – a ludzie spoglądali na siebie, jakby to właśnie był sygnał.

Oczywiście również tego wieczora nikt, może wyjąwszy jakiegoś żołnierza, nie wymówi słowa, które wszyscy noszą w sercu. Oficerowie wola je przemilczeć, gdyż ono jest właśnie ich nadzieją. Z powodu Tatarów wzniesli mury Fortecy i spędzają tu spory szmat życia; z powodu Tatarów

wartownicy kroczą dzień i noc jak automaty. Jedni ową nadzieję co rano syca nową wiarą, inni ją przechowują ukrytą w głębi serca, jeszcze inni są jej nieświadomi i sądzą, że już ją utracili. Ale nikt nie ma odwagi o niej mówić; przede wszystkim mogłoby się ściągnąć pecha takie głośne wyznanie najdroższych pragnień, a poza tym żołnierze tego się wstydzą.

Na razie jest tylko martwy żołnierz i koń nieznanego pochodzenia. Wśród straży przy bramie wychodzącej na północ, gdzie przydarzyło się nieszczęście, powstał wielki tumult i chociaż nie jest to zgodne z regulaminem, znalazł się tam również Tronk, który nieustannie myśli o czekającej go karze; odpowiedzialność spada na niego: to on właśnie powinien był przeszkodzić Lazzariemu w ucieczce, a także szybko się zorientować po powrocie, że ten akurat żołnierz nie odezwał się podczas apelu.

Ale oto ukazuje się major Matti, któremu zależy na okazaniu swojej władzy i kompetencji. Ma dziwny, niepojęty wyraz twarzy, sprawia nieomal wrażenie, że się uśmiecha. Oczywiście jest doskonale poinformowany o wszystkim, a porucznikowi Mentanie, pełniącemu służbę w tej reducie, wydaje rozkaz, żeby uprzątnąć zwłoki żołnierza.

Mentana jest oficerem bezbarwnym, najstarszym porucznikiem w Fortecy; gdyby nie miał pierścienia z dużym diamentem i nie grał dobrze w szachy, nikt by nie dostrzegł jego istnienia; szlachetny kamień na jego serdecznym palcu jest olbrzymi, a nieliczni są ci, którym udaje się pobić go na szachownicy, ale przed majorem Mattim dosłownie drży i traci głowę w sprawie tak prostej, jak wysłanie kogoś po ciało.

Na jego szczęście major Matti dostrzegł stojącego w rogu starszego sierżanta Tronka i zawołał:

– Tronk, widzę, że nie ma tu pan nic do roboty, więc proszę objąć dowództwo nad wyprawą!

Powiedział to z największą prostotą, jakby Tronk był pierwszym lepszym podoficerem, niemającym żadnego osobistego związku z owym wypadkiem; ponieważ Matti nie potrafi nikomu udzielić po prostu nagany, staje się zielony z wściekłości i nie odnajduje właściwych słów; wybiera zatem dużo surowszą metodę śledztwa, z flegmatycznym przesłuchaniem i dokumentacją opracowaną na piśmie, co wywołuje potworne wyolbrzymienie najłżejszych przewinień, a tym samym – prawie zawsze – kary służbowe.

Tronk nawet nie mrugnął, odpowiedział „tak jest” i oto widzimy, jak wychodzi z reduity na mały dziedziniec. Mała grupka ludzi w świetle latarni po chwili opuszcza fortecę: Tronk na czele, za nim czterech żołnierzy z noszami, dalej kolejna czwórka żołnierzy na wszelki wypadek uzbrojona, jako ostatni major Matti we własnej osobie, owinięty w wypłowiałą pelerynę, z szablą uderzającą o kamienie.

Odnajdują Lazzarięgo w pozycji, w jakiej zginął, z twarzą przywartą do ziemi i rękami wyciągniętymi do przodu. Karabin przewieszony przez ramię utknął podczas upadku między dwoma kamieniami i teraz stoi prosto, kolba do góry, aż dziw bierze, kiedy na to patrzeć. Żołnierz, padając, zranił się w rękę i zanim jego ciało ostygło, zdążyło już wypłynąć trochę krwi, tworząc plamę na białym kamieniu. Tajemniczy koń zniknął.

Tronk pochyla się nad zmarłym i chce go chwycić za ramiona, ale nagle się cofa, jakby spostrzegł, że postępuje niezgodnie z regulaminem.

– Odwróćcie go twarzą do góry – rozkazuje żołnierzom niskim i złym głosem. – Ale najpierw zabierzcie mu karabin.

Któryś z żołnierzy schyla się, żeby odpiąć pas, i kładzie latarnię na kamieniach, tuż obok zmarłego. Lazzari nie zdążył zupełnie zamknąć powiek i w szparach oczu lekko odbija się płomień.

– Tronk – woła major Matti całkowicie pograżony w cieniu.

– Rozkaz, panie majorze – odpowiada Tronk, stając na baczność; żołnierze również się zatrzymują.

– Gdzie to się wydarzyło? W którym miejscu uciekł? – pyta major, cedząc słowa, jakby mówił znudzony własną ciekawością. – Czy to było przy źródle? Tam gdzie są głązy?

– Tak jest, przy głązach – odpowiada Tronk, nie dodając ani słowa.

– I nikt go nie widział, kiedy się wymknął?

– Nikt, panie majorze – mówi Tronk.

– Przy źródle, co? I było ciemno?

– Tak jest, dosyć ciemno.

Tronk czeka jeszcze chwilę na baczność, a potem, ponieważ Matti milczy, daje znak żołnierzom, żeby kontynuować. Jeden z nich próbuje odpiąć pas od karabinu, ale sprzączka trzyma mocno, więc się mozoli.

Ciągnąc za pas, żołnierz czuje ciężar zwłok, niewspółmiernie wielki, jakby były z ołowiu.

Po zabraniu karabinu dwaj żołnierze delikatnie odwracają trupa głową do góry. Teraz widać całkowicie jego twarz. Usta ma zamknięte i pozbawione wyrazu, jedynie oczy do połowy otwarte i nieruchome naznaczone są śmiercią.

– W czoło? – pyta głos Mattiego; major od razu dostrzegł coś w rodzaju maleńkiego wklęsnięcia, tuż nad nosem.

– Rozkaz? – pyta Tronk nie rozumiejąc.

– Pytam, czy został trafiony w czoło? – mówi Matti niezadowolony, że musi powtórzyć.

Tronk unosi latarnię, oświetla całą twarz Lazzariego, również i on dostrzega małe wklęsnięcie i instynktownie przybliży palec, jakby chciał dotknąć. Szybko jednak cofa go, zmieszany.

– Myślę, że tak, panie majorze, dokładnie w środek czoła. – (Ale dlaczego nie przyjdzie sam obejrzyć zmarłego, jeśli go to tak interesuje? Po co te wszystkie głupie pytania?).

Żołnierze, dostrzegając zakłopotanie Tronka, biorą się do roboty; dwóch unosi trupa za ramiona, dwóch za nogi. Głowa, niepodtrzymywana przez nikogo, potwornie opada do tyłu. Usta, chociaż zmrożone śmiercią, znów niemal się otwierają.

– A kto strzelał? – pyta jeszcze Matti, nadal nieruchomy i w ciemności.

W tym momencie Tronk nie zwraca na niego uwagi. Zajmuje się tylko zmarłym. – Podnieście mu głowę – rozkazuje pełen gniewu, jakby sam był owym zmarłym. Potem spostrzega się, że Matti coś mówił, i raz jeszcze trzeba trzaskać obcasami na baczność.

– Proszę wybaczyć, panie majorze, właśnie...

– Powiedziałem – powtarza major Matti i skanduje słowa, dając do zrozumienia, że jeżeli nie traci cierpliwości, to tylko dzięki zmarłemu – powiedziałem: kto strzelał?

– Czy wiecie, jak on się nazywał? – szeptem spytał Tronk żołnierzy.

– Martelli – mówi któryś – Giovanni Martelli.

– Giovanni Martelli – odpowiada głośno Tronk.

– Martelli – powtarza major pod nosem. (Nazwisko nie jest dla niego nowe, to pewnie jeden z nagrodzonych podczas zawodów strzeleckich. Szkołę strzelecką prowadzi właśnie Matti, a najlepszych pamięta z nazwiska). – Czy może wołają na niego Moretto?

– Tak jest – odpowiada Tronk nieruchomy, na baczność. – Sądzę, że wołają na niego Moretto. Wśród kompanów.

Mówi tak, prawie jakby chciał go usprawiedliwić, jakby chciał wykazać, że Martelli nie ponosi żadnej odpowiedzialności, bo jeśli wołają na niego Moretto, to nie z jego winy, i że nie ma powodu go karać.

Ale major wcale nie myśli go karać, wcale mu to nie przyszło do głowy. – Ach, Moretto! – wykrzykuje, nie ukrywając pewnego zadowolenia.

Starszy sierżant wpatruje się w niego surowo i już rozumie. „Ależ tak, oczywiście – myśli – daj mu nagrodę, ścierwo, bo celnie zabił. Trafił w dziesiątkę, czy nie?”

Trafił w dziesiątkę. Właśnie o tym duma sobie Matti. (I pomyśleć, że kiedy Moretto strzelał, było ciemno. Jacy jednak zdolni są jego strzelcy).

Tronk nienawidzi go w tej chwili. „Proszę bardzo, powiedz głośno, że się cieszysz – myśl – co cię to obchodzi, że Lazzari nie żyje. Powiedz brawo twemu Moretto, daj mu uroczystą pochwałę!”

I rzeczywiście: major, całkowicie spokojny, głośno wyraża swoje zadowolenie: – Ech, tak, Moretto nie chybia – wykrzykuje, jakby chciał powiedzieć: szczywany Lazzari sądził, że Moretto nie trafi, że ujdzie mu to płazem, i w ten sposób dowiedział się, jakim rasowym tamten był strzelcem. A Tronk? Również i on może miał nadzieję, że Moretto chybi (wszystko wtedy dałoby się uładzić kilkoma dniami aresztu?). – Tak, tak – powtarza jeszcze major, zapominając już całkowicie, że przed nim leży trup. – Wyborowy strzelec z tego Moretta!

W końcu jednak milknie i starszy sierżant może się odwrócić i spojrzeć, jak żołnierze ułożyli trupa na noszach. Jest już starannie ułożony, na twarz narzucili mu koc polowy, tylko ręce ma obnażone: dwie wielkie, chłopskie ręce, i wydaje się, że jeszcze czerwienieją życiem i ciepłem krwi.

Tronk kiwa głową. Żołnierze unieśli nosze. – Czy można odejść, panie majorze? – pyta.

– A na kogo chcesz czekać? – odpowiada ostro Matti; dopiero teraz, szczerze zdumiony, poczuł nienawiść Tronka i chce odplacić mu z nawiązką, a ponadto akcentuje swoją najwyższą pogardę przełożonego.

– Naprzód – rozkazuje Tronk. „Naprzód marsz” powinien by powiedzieć, ale wydaje mu się, że byłaby to profanacja. Dopiero teraz spogląda na mury Fortecy i wartownika na tarasie, niewyraźnie oświetlonego odbłaskiem latarni. Za owymi murami, w sypialni, jest prycza Lazzariego, jego szufladka z rzeczami, które przyniósł z domu: święty obrazek, dwie kolby kukurydzy, krzesiwo, kolorowe chusteczki, cztery srebrne guziki od odświętnego ubrania, które należały do dziadka, a w Fortecy do niczego nie mogły się przydać.

Być może poduszka nosi jeszcze ślad jego głowy, jaki dwa dni temu pozostawił, przebudziwszy się. Poza tym prawdopodobnie jest tam również kałamarz z atramentem – dodaje w duchu Tronk, skrupulatny także w samotnej zadumie – kałamarz z atramentem i pióro. Wszystko to zostanie zapakowane w niedużą paczkę i wysłane do domu wraz z listem od pana pułkownika. Pozostałe przedmioty, otrzymane od rządu, oczywiście przejdą na innego żołnierza, wraz z koszulą wkładaną na zmianę. Ale wyjściowy mundur – nie, ani karabin: karabin i mundur zostaną pogrzebane razem z nim, ponieważ taka jest stara reguła Fortecy.

XIV

O świcie z Nowej Reduty zauważono na równinie północnej małą czarną smugę. Delikatny, poruszający się znak, który nie mógł być halucynacją. Pierwszy zobaczył ją wartownik Andronico, potem wartownik Pietri, potem sierżant Batta, który zrazu zaczął się śmiać, potem również porucznik Maderna, dowódca reduty. Mała czarna smuga nadciągała z północy przez pustynne obszary i cud wydawał się absurdem, chociaż już w ciągu nocy jakieś przecucia zaczęły krążyć po Fortecy. Około szóstej wartownik Andronico jako pierwszy zakrzyknął na alarm. Coś zbliżało się od północy, coś takiego, czego, jak sięgnąć pamięcią, nikt nigdy jeszcze nie widział. Było coraz jaśniej i na białym tle pustyni wyraźnie widać było gromadę zbliżających się ludzi.

Kilka minut później, jak zwykł czynić rankiem od niepamiętnych czasów (najpierw była to niezmacona nadzieja, potem tylko gorliwość, teraz prawie wyłącznie przyzwyczajenie), główny krawiec Prosdocimo wyszedł na dach Fortecy, żeby rzucić okiem na okolice. Taki już był zwyczaj, że straż nie broniła mu wstępu, a on pojawiał się na drodze patrolu nocnego, trochę pogawędził z sierżantem pełniącym służbę i potem schodził do swej sutereny.

Owego ranka zjawiał się tam, spojrzał w stronę widocznego trójkąta pustyni i odniósł wrażenie, że jest martwy. Nie pomyślał, że to może być sen. Sen ma zawsze coś absurdalnego i niejasnego, nie można się nigdy uwolnić od niewyraźnego uczucia, że wszystko jest fałszywe, że za chwilę będziemy musieli się obudzić. We śnie przedmioty nigdy nie są tak wyraziste ani materialne jak owa nieszczęsna równina, skąd zbliżały się zastępy nieznanymi ludźmi.

Tymczasem widok był tak dziwny, tak identyczny z niektórymi fantazjami z okresu młodości, że Prosdocimo nawet nie przypuszczał, żeby mógł być prawdziwy, i sądził, że umarł.

Sądził, że umarł i że Bóg mu przebaczył. Pomyślał, iż jest na tamtym świecie, pozornie identycznym z naszym, tyle tylko, że piękne marzenia sprawdzają się zgodnie ze słusznymi pragnieniami, a kiedy już się sprawdzają, dusza człowieka osiąga pełny spokój, nie jak na tym padole, gdzie zawsze jest coś, co zatruwa nawet najlepsze dni.

Prosdocimo sądził, że umarł, i w ogóle się nie poruszał, przypuszczając, że jako nieboszczykowi nie wypada mu się poruszać, ale że obudzi go czyjaś tajemnicza interwencja. Zamiast tego zjawiał się starszy sierżant, który z szacunkiem dotknął jego ramienia. – Sierżancie – powiedział. – Co panu jest? Złe się pan czuje?

Dopiero wtedy Prosdocimo zaczął rozumieć.

Prawie jak w snach, ale piękniej, z Królestwa Północy zstępował tajemniczy lud. Czas błyskawicznie mijał, powieki już nie mrugały nawet przy wpatrywaniu się w tajemniczy obraz, słońce błyszczało na czerwonym krańcu horyzontu i cudzoziemcy zbliżali się, choć z największą powolnością. Ktoś mówił, że są i piesi, i konni, że zbliżają się gęsiego, że jest nawet sztandar. Jeden tak mówił, a innym wydawało się, że widzą; wszyscy zaczęli twierdzić, że dostrzegają piechurów i kawalerzystów, sukno chorągwi, ludzi

idących gęsiego, chociaż w rzeczywistości dojrzeć mogli tylko maleńką czarną smugę, która powoli się poruszała.

– Tatarzy – ośmielił się powiedzieć wartownik Andronico, jakby ryzykując zuchwały żart, a jego twarz stała się blada jak śmierć. Po upływie pół godziny porucznik Maderna w Nowej Reducie wydał rozkaz wystrzału armatniego salwą, wystrzał ostrzegawczy, zgodnie z przepisami, w wypadku, gdyby było widać uzbrojone oddziały cudzoziemców.

Od wielu lat nie słyszano już armat. Mury lekko zadrżały. Wystrzał zamienił się w powolny ryk, złowieszczy dźwięk niszczenia, dudniący wśród skał. A oczy porucznika Maderny zwróciły się ku płaskim konturom Fortecy w oczekiwaniu znaków poruszenia. Tymczasem kanonada nie wywołała zdumienia, gdyż cudzoziemcy znajdowali się właśnie w obszarze owego trójkąta równiny widocznej z fortu centralnego i wszyscy już byli poinformowani. Nawet w najodleglejszym korytarzyku podziemnym, po lewej stronie, tam gdzie mury twierdzy wspierają się o skały, strażnik pilnujący magazynu z latarniami i sprzętem murarskim, on, który niczego nie mógł zobaczyć, zamknięty w ciemnej piwnicy, też znał wiadomość.

Czas mu się dłużył i pilno mu było zakończyć wartę, żeby i on mógł pobiec na mury i chwilę popatrzeć.

Wszystko toczyło się jak przedtem, wartownicy pozostali na miejscu, przemierzając tam i z powrotem przepisową odległość, pisarze przepisywali raporty, aż skrzypiały pióra, i maczali je w kałamarzu w tym samym co niegdyś rytmie, a od północy nadciągali nieznani ludzie, których można było śmiało uważać za nieprzyjaciół. W stajniach ludzie czyścili zgrzeblę zwierzęta; komin kuchenny dymił flegmatycznie, trzech żołnierzy zamiatało dziedziniec, ale ludzi ogarniał nastrój wzruszenia i powagi, olbrzymie napięcie ducha, jakby nadeszła wielka godzina i nic jej nie mogło zatrzymać.

Oficerowie i żołnierze głęboko wdychali powietrze poranka, aby poczuć w sobie młode życie. Artylerzyści zaczęli przygotowywać armaty i żartując krzatali się wokół nich jak wokół zwierząt, które trzeba sobie udobruchać, i spoglądali na nie z pewną obawą: może po tak długim czasie działa nie były już zdolne do strzału, może w przeszłości nie dbano dostatecznie o czystość, w pewnym sensie trzeba było zapobiec niepożądanym skutkom, ponieważ za chwilę wszystko mogło się rozstrzygnąć.

Nigdy jeszcze gońcy nie biegali tak szybko po schodach, nigdy mundury nie były w lepszym porządku, bagnety tak lśniące, nigdy dźwięki trąbek nie

brzmiały tak wojskowo. A więc nie czekali na próżno, nie zmarnowali owych lat, starą Forteca w końcu do czegoś się przysłuży.

Czekano tylko na specjalny dźwięk trąbki na sygnał „wielkiego alarmu”, którego żołnierze jeszcze nigdy nie mieli okazji usłyszeć. W trakcie ćwiczeń odbywanych na zewnątrz Fortecy, gdzieś w odległej dolinie – aby dźwięk nie dotarł do fortu i nie spowodował nieporozumień – trębacze podczas spokojnych letnich godzin popołudniowych zrobili próbę słynnego sygnału, ale jedynie z powodu nadmiernej gorliwości (z pewnością nikt nie myślał, że mógłby się przydać). A teraz biadali, że ćwiczyli za mało; było to bardzo długie *arpeggio* kończące się na najwyższych nutach i możliwe, że nie potrafią zagrać go czysto.

Tylko komendant Fortecy mógł wydać rozkaz odegrania sygnału i wszyscy o nim myśleli: żołnierze już czekali, żeby przyszedł obejrzeć mury, już widzieli go, jak nadchodzi z dumnym uśmiechem, uważnie patrząc wszystkim w oczy. Na pewno był to dla niego dobry dzień; czy nie spędził życia, czekając właśnie na tę okazję?

Tymczasem pan pułkownik Filimore pozostawaj w gabinecie i patrzył przez okno na północ, na mały trójkąt opustoszałej równiny, której nie przesłaniały góry, i widział smugę czarnych punkcików poruszających się niczym mrówki w kierunku niego i Fortecy, i wydawało się, że to naprawdę są żołnierze.

Od czasu do czasu wchodził któryś z oficerów, bądź podpułkownik Nicolosi, bądź kapitan dyżurny, bądź oficerowie pełniący służbę. Wchodzili pod różnymi pretekstami, niecierpliwie czekając na rozkazy, oznajmiając mu mało istotne nowiny: że z miasta dotarł nowy furgon z żywnością, że tego ranka rozpoczęły się prace naprawcze przy piecu, że dziesięciu żołnierzom kończy się dziś urlop, że na tarasie centralnego fortu przygotowano lornetę, gdyby tylko pan pułkownik zechciał skorzystać.

Przekazywali owe wiadomości, salutowali bijąc obcasami i nie rozumieli, dlaczego pułkownik zachowywał milczenie, nie wydawał rozkazów, które wszyscy uważali za nieodzowne. Jeszcze nie wzmocnił straży ani nie podwoił indywidualnych zapasów amunicji, ani nie zarządził sygnału na „wielki alarm”.

Ogarnięty prawie tajemniczą niemocą, chłodno obserwował nadejście cudzoziemców, ani smutny, ani wesoły, jakby to wszystko go nie dotyczyło.

W dodatku mieli wspaniały dzień październikowy, słońce jasne, powietrze lekkie, pogodę wymarzoną do bitwy. Wiatr poruszał sztandarem umieszczonym na dachu fortu, żółtawa ziemia dziedzińca lśniła, żołnierze zaś przechodząc tamtędy rzucali głębokie cienie. Piękny poranek, panie pułkowniku.

Ale komendant wyraźnie dawał do zrozumienia, że woli zostać sam, i kiedy nikogo już nie było w gabinecie, kroczył od biurka do okna, od okna do biurka, nie mogąc się zdecydować, bez powodu gładził szare wąsy, z jego piersi wydobywały się długie westchnienia, czysto mechaniczne, typowe dla starców.

Czarnej smugi obcokrajowców nie można już było z okna dostrzec na małym trójkącie widocznej równiny – znak, że znaleźli się niżej, coraz bliżej granicy. Za trzy, cztery godziny może będą u stóp gór.

Ale pan pułkownik nadal czyścił chusteczką, bez powodu, szkła okularów, przeglądał raporty zgromadzone na stole; zatwierdzenie porządku dnia, prośba o zwolnienie, kwestionariusz dzienny oficera-lekarza, świadectwo o stanie siodeł.

Na co pan czeka, panie pułkowniku? Słońce już jest wysoko, nawet major Matti, który dopiero co wszedł, nie ukrywa pewnej obawy, nawet on, który nigdy w nic nie wierzy. Niech przynajmniej zobaczą cię wartownicy, zrób maleńki obchód po murach. Wśród obcokrajowców, powiedział kapitan Forze, który poszedł skontrolować Nową Redutę, można już rozpoznać pojedyncze sylwetki i widać, że są uzbrojeni, na plecach niosą karabiny; nie ma czasu do stracenia.

Ale Filimore woli poczekać. Że ci obcokrajowcy to żołnierze, tego on nie neguje, ale ilu ich jest? Ktoś mówił, że dwustu, inny że dwustu pięćdziesięciu; uświadomił sobie też, że jeśli to tylko przednie straże, wówczas siły główne wynosiłyby co najmniej dwa tysiące ludzi. Ale sił głównych jeszcze nikt nie widział, może wcale ich nie ma.

Sił głównych armii jeszcze nikt nie dojrzał, panie pułkowniku, wyłącznie z powodu mgieł na północy. Owego ranka wyraźnie się przesunęły, a wiatr północny spędził je na dół, aż przesłoniły szeroki pas równiny. Wysłanie dwustu ludzi nie miałyby żadnego sensu, gdyby w ślad za nimi nie podążała silna armia. Przed południem na pewno ukażą się również i inni. Jeden z wartowników nawet mówi, że przed chwilą widział, jak coś się poruszało na granicy mgieł.

Ale komendant chodzi tam i z powrotem, od okna do biurka i od biurka do okna, niechętnie przeglądając raporty. Dlaczego cudzoziemcy mieliby napaść na Fortecę? – myśli. Może to są normalne manewry, żeby sprawdzić trudności pustyni? Czasy Tatarów przeminęły, pozostała po nich tylko dawna legenda. Ale któż inny chciałby brać szturmem granicę? W tej całej sprawie jest coś, co nie przekonuje.

To nie Tatarzy, nie, panie pułkowniku, ale na pewno żołnierze. Od kilku dobrych lat mamy z Królestwem Północy głębokie zatargi, dla nikogo nie jest to tajemnicą, parę razy mówiono już o wojnie. Na pewno żołnierze. Kawalerzyści i piechota, prawdopodobnie przybędzie również artyleria. Przed zapadnięciem zmierzchu, bez żadnej przesady, mogą w najlepsze zaatakować, mury Fortecy zaś są stare, stare są karabiny, stare armaty, wszystko całkowicie przestarzałe z wyjątkiem serc żołnierzy. Nie dowierzaj zbyt, panie pułkowniku.

Nie dowierzać! Och, tak bardzo chciałby nie dowierzać, właśnie na tym spędził życie, mało już lat mu zostało, ale jeśli jeszcze tym razem się zawiedzie, to już przypuszczalnie wszystko przepadło. Nie strach go powstrzymuje ani myśl, że mógłby umrzeć. Nawet mu to nie przychodzi do głowy.

Faktem jest, że pod koniec życia Filimore niespodzianie ujrzał, jak zbliża się fortuna w srebrnym opancerzeniu i ze szpadą umazaną krwią; on, który prawie przestał o niej myśleć, widział, jak dziwnie zmierza do niego z przyjacielskim wyrazem twarzy. A Filimore, prawdę mówiąc, nie śmiał do niej podejść ani odpowiedzieć na uśmiech; zbyt często dał się zwieść i już więcej się nie da.

Pozostali oficerowie Fortecy zaś natychmiast wybiegli jej naprzeciw, z radosnym powitaniem, W odróżnieniu od niego, byli ufni i z góry już się rozkoszowali – jakby go niegdyś poznali – cierpkim i mocnym zapachem bitwy. Pułkownik, przeciwnie, czekał. Dopóki piękna zjawa nie dotknie go ręką, on się nie poruszy, jakby był zabobonny. Może niewiele trzeba: zwykły gest pozdrowienia, dopuścić do głosu swe pragnienia, żeby obraz rozplątał się w nicości.

Dlatego potrzasał tylko głową, że nie, że fortuna musiała się omylić. I nie dowierzając, rozglądał się wokół, za siebie, gdzie przypuszczalnie znajdowali się ci, których fortuna szukała. Tymczasem nie dostrzegał nikogo

innego, nie mogło być omyłki co do osoby, musiał przyznać, że właśnie jemu został przeznaczony los godny zazdrości.

Był taki moment w bladym świetle jutrzeńki, kiedy na bieli pustyni ukazała się tajemnicza czarna smuga, moment, w którym serce podskoczyło mu z radości. Potem obraz srebrnego pancerza i zakrwawionej szpady stał się nieco mniej wyraźny, kroczył jeszcze w jego stronę, ale w rzeczywistości nie potrafił się przybliżyć ani skrócić małej, chociaż nieskończonej odległości.

Filimore czekał zbyt długo, a w pewnym wieku nadzieja przychodzi z trudem; nie odnajduje się już wiary, jaką się miało w dwudziestym roku życia. Zbyt długo czekał na próżno, jego oczy przeczytały za dużo rozkazów dziennych, zbyt wiele ranków upłynęło mu na spoglądaniu na ową przekłętą równinę, wiecznie bezludną. A teraz, kiedy ukazali się cudzoziemcy, odnosi nieomyślne wrażenie, że to musi być pomyłka (zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe), jakaś ogromna pomyłka.

Tymczasem zegar z wahadłem, naprzeciw biurka, nadal miedlił życie, a chude palce pułkownika, wysuszone upływem lat, z uporem czyściły za pomocą chusteczki szkła okularów, chociaż wcale nie było potrzeby. Wskazówki zegara zbliżały się do pół do jedenastej i wtedy do sali wszedł major Matti, aby przypomnieć komendantowi, że oficerowie gotowi są do raportu. Filimore zapomniał o tym i poczuł się nieprzyjemnie zaskoczony: będzie musiał mówić o cudzoziemcach, którzy ukazali się na równinie. Nie sposób już odroczyć decyzji, musiał ich oficjalnie uznać za wrogów albo obrócić wszystko w żart, albo wybrać drogę pośrednią: zarządzić środki bezpieczeństwa, a jednocześnie okazać się sceptykiem, jakby nie było powodu do zawracania sobie głowy. Jakaś jednak decyzję należało podjąć i to mu się nie podobało. Wolałby nadal czekać w całkowitym bezruchu, prawie prowokując przeznaczenie do gwałtownej interwencji.

Major Matti powiedział z tym swoim dwuznacznym uśmiechem: – Zdaje się, że tym razem to jest pewne!

Pułkownik Filimore nie odpowiedział. Major rzekł: – Coraz nowi nadchodzą. Trzy szeregi, nawet stąd można zobaczyć. – Pułkownik spojrzał mu w oczy i na chwilę prawie go polubił.

– Mówi pan, że przybywają jeszcze następni?

– Nawet stąd można zobaczyć, panie pułkowniku, jest ich dosyć dużo.

Podeszli do okna i na widocznym trójkącie północnej równiny dostrzegli nowe, czarne, poruszające się smugi, już nie jedną tylko, jak rankiem, lecz trzy, a końca nie było widać.

Wojna, wojna, pomyślał pułkownik i na próżno usiłował odpędzić od siebie tę myśl, jakby była zakazanym pragnieniem. Słowa Mattiego znów obudziły w nim nadzieję i teraz wypełniało go uczucie rozkoszy. Myśli wirowały mu w głowie, gdy tymczasem znalazł się w sali zebrania przed oficerami ustawionymi w szereg (z wyjątkiem pełniących służbę wartowniczą). Ponad błękitną plamą mundurów lśniły bladej twarzy pojedyncze twarze, które z trudem rozpoznawał; młode czy pomarszczone, wszystkie mówiły mu to samo, a oczy rozpalone gorączką chciwie domagały się formalnego obwieszczenia, że nadciągał nieprzyjaciel. Wyprostowani na baczność, wszyscy wpatrywali się w niego, jakby domagając się, żeby ich nie oszukano.

W wielkiej ciszy, jaka zaległa na sali, słychać było tylko głęboki oddech oficerów. Pułkownik zrozumiał, że musi coś powiedzieć. Waśnie w tej chwili poczuł, że ogarnia go nowe i niepohamowane wzruszenie. Ku własnemu zdziwieniu, nie dostrzegając przyczyn, Filimore nagle uzyskał przekonanie, że obcokrajowcy naprawdę byli nieprzyjaciółmi zdecydowanymi na branie szturmem granicy. Nie rozumiał, jak to się stało, on, który jeszcze przed chwilą umiał przezwyciężyć pokusę i nie uwierzyć. Czuł, jak go porywa wspólne napięcie serc, rozumiał, że będzie mówić bez ogródek. „Panowie oficerowie – powie – oto nareszcie nadeszła godzina, której wyczekujemy do wielu lat”. Tak powie lub coś podobnego, a oficerowie słuchać będą z wdzięcznością jego słów, miarodajnego przyrzeczenia sławy.

Tak mniej więcej zamierzał mówić, ale jeszcze w głębi ducha upierał się głos przeciwny. Niemożliwe, pułkowniku, mówił ów głos, bądź czujny, póki jeszcze czas, to pomyłka (zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe), bądź czujny, gdyż kryje się tu ogromna pomyłka.

W podnieceniu, które go ogarnęło, dochodził do niego od czasu do czasu ów nieprzyjazny głos. Ale było późno, a zwłoka zaczynała stawać się kłopotliwa.

I pułkownik zrobił krok do przodu, podniósł głowę jak zwykle, kiedy zaczynał mówić, a oficerowie zobaczyli, że twarz nagle mu poczerwieniała:

tak, pan pułkownik zarumienił się jak dziecko, ponieważ miał wyjawić zazdrośnie ukrywaną tajemnicę swego życia.

Zarumienił się delikatnie jak dziecko, a wargi miały już wydać pierwszy dźwięk, kiedy wrogi głos obudził się w głębi jego serca, Filimore zaś zadrżał z niepewności. Wydało mu się, wtedy, że słyszy pospieszny krok kogoś biegnącego po schodach i zbliżającego się do sali, w której się zebrali. Nikt z oficerów, jak jeden mąż wyprężonych w stronę komendanta, tego nie dosłyszał, ale uszy Filimora przez tyle lat nauczyły się już odróżniać najmniejsze odgłosy w Fortecy.

Kroki się przybliżały, nie było wątpliwości, z niezwykle pośpiechem. Dźwięczały obco i ponuro, jak kroki administracyjnej inspekcji; można by rzec, że zmierzają tu bezpośrednio z doliny. Odgłos ich docierał teraz wyraźnie również do pozostałych oficerów i swą pospolitością ranił ich serca, chociaż nie mogliby powiedzieć dlaczego. W końcu otworzyły się drzwi i ukazał się nieznany oficer dragonów, ciężko dysząc ze zmęczenia, pokryty kurzem.

Stanął na baczność. – Porucznik Fernandez – rzekł – z siódmego dragonów. Przynoszę wiadomość z miasta od Jego Ekscelencji szefa Sztabu Generalnego. – Przytrzymując elegancko długi beret lewym ramieniem zgiętym w łuk, zbliżył się do pułkownika i wręczył mu zapieczętowaną kopertę.

Filimore uściskał jego dłoń. – Dziękuję, poruczniku – powiedział – pędził pan bez wytchnienia, jak sędzę. Kolega Santi pokaże panu, gdzie można się odświeżyć i posilić. – Nie okazując nawet cienia niepokoju, pułkownik dał znak porucznikowi Santi, pierwszemu, na którym zatrzymał się jego wzrok, prosząc go o pełnienie honorów domu. Obaj oficerowie wyszli, a drzwi znów się zamknęły. – Pozwolicie, nieprawdaż? – spytał Filimore, łagodnie się uśmiechając, i ukazał kopertę, dając do zrozumienia, że chce przeczytać natychmiast. Dłonie rozerwały delikatnie pieczęcie, wyszarpane krawędź dokumentu i uchwyciły podwójny arkusz całkowicie pokryty pismem.

Oficerowie wpatrywali się w niego, jak czytał, próbując po wyrazie twarzy czegoś się domyślić. Ale nic z tego. Jakby przeglądał gazetę po kolacji, siedząc przy kominku w zimowy senny wieczór. Tylko rumieńce zniknęły z wychudzonej twarzy komendanta.

Kiedy skończył czytać, pułkownik złożył podwójny arkusz, znowu umieścił go w kopercie, włożył kopertę do kieszeni i podniósł głowę, dając znak, że zamierza mówić. Czuło się nieomal w powietrzu, że coś się stało, że czar panujący jeszcze przed chwilą nagle prysł.

– Panowie oficerowie – powiedział z dużym wysiłkiem. – Tego ranka wśród żołnierzy, jeśli się nie mylę, powstało niejaki poruszenie, a również wśród was, jeśli się nie mylę, z powodu oddziałów dostrzeżonych na tak zwanej Równinie Tatarów.

Jego słowa z trudem torowały sobie drogę w panującym głębokim milczeniu. Jakaś mucha latała tu i tam po sali.– Chodzi tu – kontynuował – chodzi o oddziały Państwa Północy, którym powierzono wytyczenie linii granicznej, tak jak my to uczyniliśmy wiele lat temu. Dlatego nie podejda od strony Fortecy, prawdopodobnie rozsypią się w grupy i porozstawiają w górach. Powyższe komunikuje mi oficjalnie w swym liście Jego Ekscelencja szef Sztabu Generalnego.

Filimore mówiąc, wydawał długie westchnienia; nie z niecierpliwości czy bólu, ale westchnienia czysto mechaniczne, typowe dla starców; i podobny do głosu starca wydał się jego własny głos, który nagle przybrał odcień głębokiego znużenia, a nawet jego spojrzenie stało się żółtawe i matowe.

Pułkownik Filimore przeczuwał to od początku. Nie mógł to być nieprzyjaciel, dobrze o tym wiedział: nie urodził się dla sławy, już tyle razy głupio się rozczarował. Dlaczego – pytał sam siebie z wściekłością – dlaczego pozwolił się oszukać? Od początku do końca czuł, że tak się stanie.

– Jak panom wiadomo – kontynuował z akcentem tak apatycznym, że zabrzmiał on nad wyraz gorzko – słupy graniczne i inne znaki demarkacyjne zostały przez nas ustawione już wiele lat temu. Pozostaje jednak, jak informuje mnie Jego Ekscelencja, odcinek jeszcze niewytyczony. Aby uzupełnić ową lukę, wyślę pewną liczbę ludzi pod dowództwem kapitana i niższego stopniem oficera. Jest to strefa górzysta z dwoma lub trzema łańcuchami równoległymi. Zbyteczne dodawać, że warto byłoby dostać się tak daleko, jak tylko będzie to możliwe, by dotrzeć do grzbietu północnego. Nie dlatego, że strategicznie jest niezbędny, jeśli panowie dobrze mnie rozumieją, gdyż nie można tam rozwinąć działań wojennych ani manewrować... – przerwał na moment, gubiąc się w jakiejś myśli. – Ani manewrować... na czym więc stanąłem?

– Mówił pan, że trzeba dotrzeć w miarę możliwości jak najdalej... – podsunął major Matti z podejrzaną skruchą.

– A właśnie: mówiłem, że trzeba dotrzeć tak daleko, jak tylko potrafimy. Niestety, sprawa niełatwa: jesteśmy opóźnieni wobec tych z Północy. W każdym razie... Zresztą pomówimy o tym później – zakończył, zwracając się do podpułkownika Nicolosi.

Zamilkł i wydawał się zmęczony. Widział, jak twarze oficerów, w miarę jak mówił, pokrywały się mgłą rozczarowania; widział, jak wojownicy marzący o walce znów stawali się bezbarwnymi oficerami garnizonowymi. Ale oni są młodzi, pomyślał, mają jeszcze dużo czasu.

– No cóż – ciągnął pułkownik – przykro mi, że teraz zrobić muszę uwagę, która dotyczy kilku z was. Nieraz już zauważyłem, że podczas zmiany warty niektóre plutony zjawiają się na dziedzińcu bez swoich oficerów. Oficerowie oczywiście uważają, że wolno im przybyć nieco później...

Mucha latała tu i tam po sali, sztandar na dachu fortu zwisał bezwładnie, pułkownik mówił o dyscyplinie i regulaminach, po równinie północnej kroczyły zbrojne szeregi, już nie nieprzyjacielskie i żadne bitwy, ale nieszkodliwi żołnierze jak oni, nie rzuceni na wyniszczenie, ale wysłani na coś w rodzaju operacji katastralnej; ich karabiny były nienabite, sztylety przytępione. Po równinie północnej rozlewa się ów nieszkodliwy pozór armii, a w Fortecy znowu wszystko wraca do rytmu zwykłych dni.

XV

Ekspedycja mająca wytyczyć granicę w miejscu jeszcze nieoznaczonym wyruszyła następnego dnia rankiem. Dowodził nią gigantyczny kapitan Monti, któremu towarzyszył porucznik Angustina i starszy sierżant. Każdemu z owej trójki powierzono hasło tego dnia oraz czterech następnych. Było oczywiście nieprawdopodobne, żeby wszyscy trzej mogli zginąć; na wszelki wypadek najstarszemu z żołnierzy pozostałych przy życiu wolno byłoby rozpiąć kurtkę przełożonych poległych lub zemdlonych, przetrząsnąć kieszonkę wewnętrzną i wyciągnąć z niej zapieczętowaną kopertę zawierającą tajne hasło, żeby móc wrócić do Fortecy.

Czterdziestka uzbrojonych ludzi wyszła z murów Fortecy w kierunku północnym, gdy słońce dopiero zaczęło wschodzić. Kapitan Monti miał grube buty podbite gwoździami, podobne do noszonych przez żołnierzy. Tylko Angustina włożył oficerki, a kapitan im się przyjrzał z przesadną ciekawością, zanim wyruszyli, ale nic nie powiedział.

Jakieś sto metrów schodzili po kamieniach, potem skręcili w prawo, poziomo, w kierunku wylotu wąskiej skalistej kotliny prowadzącej do łańcucha gór. Wędrowali już pół godziny, kiedy kapitan powiedział:

– W czymś takim – wskazał na buty Angustiny – zmęczy się pan.

Angustina nic nie odpowiedział.

– Nie chciałbym, żeby się pan zatrzymywał – powtórzył kapitan po chwili. – Zobacz pan, jak w nich nogi rozbola.

Angustina odparł: – Jest już za późno, panie kapitanie, trzeba było mi wcześniej powiedzieć, jeśli tak pan sądzi.

– I tak – burknął Monti – nie posłuchałby pan. Znam pana, Angustina, włożyłby je pan tak czy inaczej.

Monti go nie cierpiał. Za twoje zadzieranie nosa, myślał, jeszcze ci pokażę. I narzucał maksymalne tempo, również na zboczach najbardziej stromych, wiedząc, że Angustina nie był rosły. Tymczasem zbliżyli się do podnóża ścian. Żwir zrobił się drobniejszy, a nogi zagłębiały się w nim, zmęczone.

Kapitan powiedział: – Zazwyczaj piekielnie wieje z tego jaru... Ale dzisiaj jest nieźle.

Porucznik Angustina milczał.

– Szczęście też, że nie ma słońca – podjął Monti. – Dobrze się dzisiaj maszeruje.

– Czy pan już tutaj był? – spytał Angustina. Monti odparł: – Pewnego razu szukaliśmy żołnierza, który uciekł...

Przerwał, gdyż z wysokości szarego szczytu, właśnie nad nimi, dotarł odgłos lawiny. Słychać było dudnienie kamieni roztrzaskujących się o skały i odskakujących z dzikim impetem w stronę przepaści wśród tumanów kurzu. Huk jakby grzmotu odbijał się od ścian. W samym sercu urwiska tajemnicza lawina trwała jeszcze kilka minut, ale zatrzymała się w głębokich jarach,

zanim dotarła na dół; do piargu, na który wyszli żołnierze, dobiegły dwa, trzy kamyki.

Wszyscy zamilkli. W owych łoskotach lawiny wyczuli obecność nieprzyjaciela. Monti spojrział na Angustinę z nieokreślonym wyrazem wyzwania. Miał nadzieję, że tamten się złęknie, a tu nic. Porucznik jednak wydawał się nadmiernie zgrzany krótkim marszem; jego elegancki uniform był w nieładzie.

Za wszystkie fochy, przeklęty snobie, myślał Monti, zaraz ci pokażę. Wznowił szybko marsz, jeszcze bardziej przyspieszając kroku i od czasu do czasu rzucając okiem do tyłu na Angustinę: oczywiście, jak miał nadzieję i jak przewidział, oficerki zaczęły uciskać mu nogi. Angustina nie zwolniła tempa, a twarz jego nie zdradzała bólu. Widać to było jednak po rytmie marszu, po wyrazie surowego wysiłku wyciśniętym na czole.

Kapitan powiedział: – Czuję, że dzisiaj mógłbym tak iść nawet sześć godzin. Gdyby nie żołnierze... Świetnie jest dzisiaj – podkreślał z naiwną złośliwością. – Jak pan się czuje, poruczniku?

– Przepraszam, kapitanie – odparł Angustina – pan coś mówił?

– Nic – i uśmiechnął się złośliwie – pytałem, jak się panu idzie.

– Ach tak, dziękuję – rzekł Angustina wymijająco; a po chwili, żeby ukryć zadyszkę wywołaną wspinaniem: – szkoda, że...

– Szkoda, że co? – spytał Monti mając nadzieję, że tamten przyzna się do zmęczenia.

– Szkoda, że nie możemy częściej chodzić w góry, tu są przepiękne zakątki – i uśmiechnął się do siebie.

Monti jeszcze bardziej przyspieszył tempo. Ale Angustina dotrzymywał kroku; twarz zbladła mu od wysiłku, strumyki potu lały się spod ciężkiej furażerki. Również bluza na plecach była mokrzuteńka, ale nie powiedział nawet słowa ani nie zostawał w tyle.

Weszli właśnie między skały; potworne szare ściany wznosiły się pionowo wokół nich i wydawało się, że wąwóz musi piąć się do niebywałych wysokości.

Znikały przejawy zwyczajnego życia, ustępując miejsca nieruchomej ciszy gór. Zafascynowany Angustina od czasu do czasu podnosił oczy na smutne wierzchołki sterczące nad nimi.

– Zatrzymamy się na odpoczynek trochę dalej – rzekł Monti, który nie spuszczał z niego oka. – Jeszcze nie widzę dobrego miejsca. Ale, szczerze mówiąc, czy nie jest pan zmęczony? Bywa czasem, że się jest w złej formie. Lepiej powiedzieć, nawet gdybyśmy się mieli spóźnić.

– Chodźmy, chodźmy – brzmiała odpowiedź Angustiny, jakby to on był przełożonym.

– Wie pan? Mówiłem tak dlatego, że każdy może się źle poczuć. Tylko dlatego mówiłem...

Angustina był blady, strumyki potu spływały spod furażerki, bluza była zupełnie przemoknięta. Ale zaciskał zęby i nie ustępował, wołałby raczej umrzeć. Uważając, żeby kapitan tego nie widział, rzeczywiście rzucał okiem w stronę szczytu, szukając kresu zmęczenia.

Tymczasem podniosło się słońce i oświetlało najwyższe wierzchołki, ale już bez świeżego blasku dobrych jesiennych ranków. Zaslona mgły rozciągała się wolno po niebie, oszukańcza i jednolita.

Teraz rzeczywiście oficerki powodowały piekielny ból, wrzynały się wokół kostek, a sądząc po cierpieniu, musiały zedrzyć nawet skórę.

Nagle piargi ustąpiły, a wawóz wyprowadził ich na mały płaskowyż porośnięty marnymi trawkami, u stóp kolejnego kręgu ścian. Z jednej i drugiej strony wznosiły się splecione ze sobą szczeliny i wieżyce skalne, których wysokość trudno było określić.

Chociaż niechętnie, kapitan Monti zarządził postój i zostawił żołnierzom czas na posiłek. Angustina usiadł wyprostowany na głazie, chociaż drżał na wietrze, od którego zamarzał mu pot. Podzielił się z kapitanem kawałkiem chleba, plastrem mięsa, serem i butelką wina.

Angustinie było zimno; spoglądał więc na kapitana i żołnierzy, czy któryś nie rozwiąże rolki z płaszczem, żeby pójść w jego ślady. Ale żołnierze wydawali się niewrażliwi na zmęczenie i żartowali ze sobą, a kapitan jadł z chciwym upodobaniem, między jednym kęsem a drugim spoglądając na spadzistą górę nad nimi.

– Teraz – powiedział – teraz zrozumiałem, którądy można wejść – i wskazał na wznoszącą się nad nimi ścianę, która kończyła się upragnionym szczytem – Trzeba stąd iść w górę. Dostyc stromo, prawda? Co pan na to, poruczniku?

Angustina spojrział na ścianę. Aby dotrzeć do szczytu granicznego, trzeba było właśnie na nią wejść, chyba żeby ją okrążyć, licząc na jakąś przełęcz. Zajęłoby to jednak dużo więcej czasu, a należało się spieszyć: tamci z Północy byli w lepszej sytuacji, gdyż wyruszyli pierwsi i z ich strony droga była dużo łatwiejsza. Należało zaatakować ścianę właśnie od frontu.

– Stąd w górę? – spytał Angustina, obserwując spadziste urwiska i zauważył, że jakieś sto metrów w lewo droga byłaby dużo prostsza.

– Prosto stąd w górę, jasne – powtórzył kapitan. – Co pan na to?

Angustina rzekł: – Chodzi o to, żeby dotrzeć przed nimi. Kapitan spojrział na niego z oczywistą niechęcią.

– Dobrze – powiedział. – Teraz zagramy partyjkę.

Wyciągnął z kieszeni talię kart, rozciągnął na kwadratowym głazie płaszcz, zaprosił Angustinę do gry, potem rzekł: – Chmury. Pan na nie patrzy w szczególnie sposób, ale proszę się nie bać, to nie są chmury zwiastujące złą pogodę... – i roześmiał się, nie wiadomo dlaczego, jakby dowcipnie zażartował.

I tak zaczęli grać. Angustina czuł się zmrożony wiatrem. Kapitan usiadł między dwoma wielkimi kamieniami, które go osłaniały, a jemu dmuchało w plecy. „Tym razem zachoruję”, pomyślał.

– O, tego już za wiele! – krzyknął, dosłownie zawył kapitan Monti bez uprzedzenia. – Do diaska, tak zmarnować mi asa! Ależ, drogi poruczniku, gdzie pan ma głowę? Patrzy pan w górę i nie zwraca uwagi na karty.

– Nic, nic – odparł Angustina. – Pomyliłem się! – I próbował się roześmiać, ale bez powodzenia.

– Niech pan powie prawdę – odparł Monti z triumfalnym zadowoleniem. – Niech pan powie prawdę; w czymś takim ledwo pan idzie, przysiągłbym, że tak będzie, już w momencie odjazdu.

– W czym takim?

– W pańskich pięknych oficerkach. One nie są na takie marsze, poruczniku. Niech pan powie prawdę: boli pana.

– Nie są wygodne – przyznał Angustina pogardliwym tonem, aby okazać, że nie ma ochoty o tym mówić. – Faktycznie.

– Ha, ha, ha! – śmiał się zadowolony kapitan. – Przecież wiedziałem! Ech, wkładać takie buty na kamieniste górskie drogi.

– Niech pan patrzy, położyłem króla pik – ostrzegł chłodno Angustina. – Przebija pan?

– Tak, tak, byłbym się pomylił – odparł kapitan ciągle wesolutki. – Oj, te oficerki!

Oficerki porucznika Angustiny naprawdę nie nadawały się do marszu po stokach owej skały. Pozbawione gwoździ łatwo się ślizgały, podczas gdy grube buty kapitana Montiego i żołnierzy mocno opierały się o grunt. Ale nie był to powód, dla którego Angustina zostawałby w tyle: ze zwielokrotnionym zapalem, chociaż już zmęczony, i mimo zmrożonego potu na grzbiecie, potrafił pięć się tuż za kapitanem na szczyt urwistej skały.

Okazało się, że góra była mniej trudna i stroma, niż wydawało się patrząc z dołu. Cała poorana szczelinami, gzymsami, chodnikami, a chropowate głązy pełne były występów skalnych, o które łatwo było się oprzeć. Niezbyt zręczny z natury, kapitan wspinał się z wysiłkiem na kolejne uskoki, od czasu do czasu patrząc w dół w nadziei, że Angustina odpadł. Ale Angustina trzymał się twardo; z największą zręcznością szukał najszerszych i najpewniejszych punktów oparcia i aż się dziwił, że wspina się tak lekko, chociaż czuł się skonany.

Stopniowo jak przepaść pogłębiała się pod nimi, zdawało się, że szczyt się oddala, broniony żółtą pionową ścianą. I coraz szybciej zbliżał się wieczór, chociaż gęsty pułap szarych chmur nie pozwalał ocenić wysokości słońca. Zaczynało robić się zimno. Nieprzyjemny wiatr unosił się z kotliny i sapał między szczelinami gór.

– Panie kapitanie! – w pewnym momencie usłyszeli krzyczącego z dołu sierżanta, który zamykał marsz.

Monti się zatrzymał, zatrzymał się Angustina, potem wszyscy żołnierze aż do ostatniego. – Co się znowu stało? – zapytał kapitan, jakby już przedtem coś innego mu przeszkodziło.

– Ci z Północy są już na szczycie! – krzyknął sierżant.

– Zwariowałaś! Gdzie ich widzisz? – burknął Monti.

– Z lewej strony, na tamtym siodełku, zaraz na lewo od tego wystającego nosa!

Rzeczywiście byli. Trzy drobne czarne postacie wyodrębniły się na tle szarego nieba i najwyraźniej się poruszały. Oczywiście, że zajęli już niższą część szczytu i z pełnym prawdopodobieństwem dotrą do wierzchołka przed nimi.

– Do diaska – rzekł kapitan i rzucił wściekle okiem na dół, jakby żołnierze spowodowali opóźnienie. Potem do Angustiny: – Trzeba, żebyśmy przynajmniej zajęli szczyt, nie ma co gadać, inaczej pułkownik nam pokaże!

– Chyba, żeby tamci na chwilę się zatrzymali – odparł Angustina.

– Od siodełka do szczytu nie mają więcej niż godzinę. Jeśli się nie zatrzymają, to siłą rzeczy będziemy później od nich.

Kapitan powiedział: – Może będzie lepiej, jeśli pójde naprzód z czterema żołnierzami, w małej grupie dojdziemy szybciej. Pan spokojnie przyjdzie za nami lub poczeka tutaj, jeśli poczuje się zmęczony.

O to chodzi temu łajdakowi, pomyślał Angustina. Chce zostawić mnie z tyłu, żeby tylko on sam zebrał laury.

– Tak jest, na rozkaz – odparł. – Ale wolałbym także posuwać się w górę. Od stania w miejscu można przemarznąć.

Kapitan wraz z czterema żwawszymi żołnierzami wyruszył jako patrol-szpica. Angustina objął dowództwo nad pozostałymi i na próżno łudził się nadzieją, że nadaży za Montim. Miał ich zbyt wielu; czołówka, forsując tempo, wydłużała się niezmiernie, podczas gdy ostatnich żołnierzy zupełnie tracono z oczu.

Angustina widział więc, jak mały patrol kapitana wystrzelił do góry za szarymi półkami skalnymi.

Przez moment słyszał drobne lawiny kamieni po tamtych, toczące się w wyżłobieniach, potem nawet i to nie. Również ich okrzyki ucichły w oddali.

Ale tymczasem niebo zaczynało ciemnieć. Skały, blade ściany z drugiej strony kotliny, dół przepaści, wszystko miało siną barwę. Młode kruki latały wzdłuż niebotycznych krawędzi z głośnym wrzaskiem, jakby nawoływały się w obliczu grożącego niebezpieczeństwa.

– Panie poruczniku – rzekł do Angustiny żołnierz, który szedł za nim. – Zaraz będzie deszcz.

Angustina zatrzymał się i patrzył przez chwilę na niego, ale nic nie powiedział. Oficerki już mu nie dokuczały, ale ogarniało go coraz większe zmęczenie. Każdy metr wspinaczki kosztował go wiele wysiłku. Na szczęście skały na tym odcinku były mniej strome i jeszcze bardziej popękane niż poprzednie. Dokąd mógł dojść kapitan – pomyślał Angustina – może jest już na szczycie, może zatknął proporzycyk i postawił znak graniczny, może już wraca?

Zerknął w górę i zorientował się, że wierzchołek nie był bardzo oddalony. Nie wyobrażał sobie tylko, któredy można by przejść, tak spadziste i gładkie były podtrzymujące go bastiony.

W końcu, wchodząc na szeroką kamienistą półkę skalną Angustina znalazł się o kilka metrów od kapitana Monti. Stojąc na ramionach żołnierza oficer próbował wspiąć się po krótkiej, pionowej ścianie, nie wyższej niż dwanaście metrów, ale na pozór niedostępnej. Widać było, że Monti już od kilku minut ponawiał próby, ale nie znajdował żadnego sposobu.

Męczył się trzy, cztery razy szukając oparcia, zdawało się, że znalazł, ale usłyszeli, jak zaklął, i zobaczyli, że znów opadł na ramiona żołnierza, aż ten zadrżał z wysiłku. W końcu zrezygnował i jednym skokiem znalazł się na kamienistej półce.

Monti, dysząc ze zmęczenia, z wrogą miną spojrzał na Angustinę. – Mógł pan czekać na dole, poruczniku – rzekł. – Tędy na pewno wszyscy nie przejdą, dobrze będzie, jeśli mnie się uda przejść z paroma żołnierzami. Trzeba było poczekać na dole, teraz nadciąga noc i zejść będzie trudno.

– Już pan to mówił, kapitanie – odparł Angustina bez najmniejszego uniesienia. – Powiedział pan, żebym robił, co wolę: czekał lub szedł za panem.

– Dobrze – odparł kapitan. – Trzeba teraz znaleźć jakąś drogę. Tylko kilka metrów dzieli nas od szczytu.

– Co? To już jest szczyt? – spytał porucznik z ledwie dostrzegalną ironią, której Monti nawet nie dosłyszał.

– Nie ma nawet dwunastu metrów – złorzeczył kapitan. – Do diaska, zobaczymy, czy nie przejdę. Nawet kosztem...

Przerwał mu arogancki krzyk dochodzący z góry: na górnej krawędzi krótkiej ściany ukazały się dwie uśmiechnięte ludzkie twarze.

– Dobry wieczór, panowie – krzyknął jeden z nich, może oficer.

– Nie myślcie, że tędy przejdziecie, trzeba było iść wzdłuż grzbietu!

Obie głowy się schowały i słychać było tylko niewyraźne głosy rozmawiających mężczyzn.

Monti posiniał z wściekłości. Nie mieli zatem nic więcej do roboty. Tamci z Północy zajęli już szczyt. Kapitan usiadł na kamieniu, nie patrząc na żołnierzy nadal przychodzących z dołu.

Właśnie w tym momencie zaczął padać śnieg, gęsty i ciężki, jakby zima była w pełni. W ciągu kilku chwil, prawie niewiarygodnie, kamienie pokryte były śniegiem i zrobiło się ciemno. Zapadła noc, z którą nikt dotąd poważnie się nie liczył. Żołnierze, nie zdradzając paniki, rozwinęli rolki płaszczy i okryli się.

– Co robicie, do diaska? – wybuchnął kapitan. – Szybko zwiążcie płaszcze! Chyba nie zamierzacie spędzić tutaj nocy? Trzeba zaraz schodzić.

Angustina rzekł: – Jeśli pan pozwoli, kapitanie, skoro tamci są już na szczycie...

– Co takiego, co pan chce przez to powiedzieć? – spytał z gniewem kapitan.

– Że nie można wracać, wydaje mi się, skoro tamci z Północy są na szczycie. Przybyli wcześniej i my nie mamy tu już nic do roboty, ale bądźmy chociaż honorowi!

Kapitan nie odpowiedział; chodził tam i z powrotem po szerokiej półce. Potem powiedział: – Ale oni przecież też sobie pójdą, na szczycie w taką pogodę jest gorzej niż tu.

– Panowie! – krzyknął głos z góry, podczas gdy na krawężniku ściany ujrzano cztery czy pięć głów. – Bez ceregieli, chwytajcie sznury i chodźcie na górę. W ciemności nie zejdzicie po ścianie!

Jednocześnie rzucono z góry dwie liny, aby ludzie z Fortecy za ich pomocą wspięli się na niewysoką ścianę.

– Dziękuję – odparł kapitan Monti z szyderczą miną. – Dziękuję za pamięć, ale sami sobie poradzimy.

– Jak chcecie – krzyknęli jeszcze ze szczytu. – Jednak zostawimy je wam, może skorzystacie.

Zapadło długie milczenie, słyhać było tylko szmer padającego śniegu i kaszel żołnierzy. Prawie całkowicie stracili widoczność, ledwie, ledwie można było dojrzeć górną krawędź wyrastającej nad nimi ścianki, którą oświetlał teraz czerwony poblask latarni.

Również kilku żołnierzy z Fortecy, znowu włożywszy płaszcze, zapaliło światła. Jedno zanesiono kapitanowi, żeby w razie potrzeby mógł się nim posłużyć.

– Panie kapitanie – rzekł Angustina zmęczonym głosem.

– Co znowu?

– Panie kapitanie, co by pan powiedział na partyjkę?

– Do diabła z partyjką! – odparł Monti, który dobrze rozumiał, że tej nocy nie mogli już zejść.

Nie mówiąc ani słowa, Angustina wyciągnął z mapnika kapitana, powierzonego żołnierzowi, plik kart. Rozciągnął na kamieniu połę płaszcza, obok postawił latarnię i zaczął tasować.

– Panie kapitanie – powtórzył – niech pan mnie posłucha, nawet jeśli nie ma ochoty.

Monti wtedy zrozumiał, co chciał powiedzieć porucznik: wobec tych z Północy, którzy prawdopodobnie sztydzili sobie z nich, nie mieli nic lepszego do roboty. I podczas gdy żołnierze kryli się u podnóża ściany, wykorzystując każde wgłębienie, lub zabierali się do jedzenia wśród żartów i śmiechów, obaj oficerowie, na śniegu, zaczęli grać w karty. Nad nimi pionowe skały, z dołu czarna przepaść.

– Szlem na sucho! – usłyszeli z góry krzyk w tonie żartu.

Ani Monti, ani Angustina nie podnieśli głowy i grali dalej. Kapitan jednak robił to niechętnie, rzucając karty na płaszc z wściekłością. Na próżno Angustina próbował żartować: – Wspaniale, dwa asy w parze... teraz ja zgarniam... niech się pan przyzna, o żółędnej pan zapomniał... – I nawet śmiał się od czasu do czasu: śmiech był prawie szczery.

Z góry znowu słyhać było głosy, potem hałas spadających kamieni, przypuszczalnie zbierali się do odejścia.

– Życzę szczęścia! – krzyknął do nich głos, ten co poprzednio.

– Dobrej partyjki... i nie zapomnijcie o sznurach!

Ani kapitan, ani Angustina nie odpowiedzieli. Grali dalej i nawet gestem nie raczyli im odpowiedzieć, udając, że są pochłonięci grą.

Światełko latarni zniknęło ze szczytu; oczywiście tamci z Północy odchodzili. Pod gęstym śniegiem karty przemokły zupełnie i tylko z dużym trudem udawało się je tasować.

– Dosyć! – rzekł kapitan, rzucając swoje na płaszczy. – Dostyć tej komedii!

Wycofał się pod skały, starannie owinął płaszczem. – Toni! – krzyknął – przynieś mi mapnik i znajdź trochę wody do picia.

– Jeszcze nas widzą – rzekł Angustina. – Jeszcze nas widzą ze szczytu! – Ale ponieważ rozumiał, że Monti miał dosyć, grał dalej sam udając, że partyjka się nie skończyła jeszcze.

Wśród głośnych okrzyków typowych dla graczy porucznik, w lewej dłoni trzymając własne karty, prawą rzucał je na połę płaszcza i udawał, że zbiera lewy; poprzez gęsty śnieg obcokrajowcy z pewnością nie mogli dostrzec ze szczytu, że oficer grał sam.

Potworne uczucie zimna przeniknęło mu wnętrzości. Czuł, że prawdopodobnie nie będzie w stanie się poruszyć ani położyć; nigdy, jak sięgnął pamięcią, nie czuł się tak źle. Na szczycie jeszcze dostrzec można było kołyszące się światelko latarni, które się oddalało; jeszcze mogli go widzieć. *(A w oknie cudownego pałacu ukazuje się wątła postać: on, Angustina, jako dziecko zdumiewająco blade, w eleganckim garniturku z aksamitu i kołnierzu z białej koronki; zmęczonym gestem otworzył okno, pochylając się ku falującym zjawom zgromadzonym przy parapecie, jakby był z nimi w zażyłości i chciał im coś powiedzieć).*

– Szlem na sucho! – próbował jeszcze krzyczeć, żeby obcokrajowcy go usłyszeli, ale głos miał zachrypnięty i słabiutki. – Do diaska, to już drugi raz, panie kapitanie!

Owinięty w pelerynę, wolno coś żując, Monti wpatrywał się uważnie w Angustinę z coraz mniejszą złością. – Dostyć tego, chodź pan się schować, poruczniku, ci z Północy już poszli!

– Pan dużo lepiej gra ode mnie, panie kapitanie – mówił dalej Angustina, obstając przy swoim udawaniu, ale głos miał coraz słabszy. –

Dzisiaj jednak nie ma pan szczęścia. Dlaczego ciągle patrzy pan w górę, na szczyt? Może jest pan trochę zdenerwowany?

Wtedy mokre od gęstych płatków śniegu karty wypadły z dłoni porucznika Angustiny; ręka opadła bezwładnie i spoczęła nieruchomo wzdłuż płaszcza w drżącym świetle latarni.

Z plecami opartymi o kamień porucznik wolno przechylił się do tyłu, ogarniała go dziwna senność. *(A w stronę pałacu, w księżycową noc sunął, w powietrzu mały orszak innych duchów ciągnący lektykę).*

– Poruczniku, niech pan przyjdzie coś zjeść, trzeba jeść, bo zimno. Nawet jeśli pan nie ma ochoty, to trzeba się zmusić. – Tak krzyczał kapitan, a cień lęku drżał w jego głosie. – Niech pan przyjdzie, śnieg już się kończy.

Rzeczywiście tak było: prawie nagle białe płaty zrobiły się mniejsze i lżejsze, powietrze przejrzystsze i można już było dostrzec w blasku latarni skały oddalone o kilkadziesiąt metrów.

I nagle, poprzez słabnącą zamieć, w nieokreślonej odległości ukazały się światła Fortecy. Wydawały się niezliczone, jak w zaczarowanym zamku pogrążonym w uciechach tradycyjnego karnawału. Angustina zobaczył je i lekki uśmiech wolno wypłynął mu na wargi zdrętwiałe od zimna.

– Poruczniku – zawołał jeszcze kapitan, który zaczynał coś rozumieć. – Poruczniku, rzuć pan karty i chodź do nas ukryć się od wiatru.

Ale Angustina spoglądał na światła i prawdę mówiąc już nie wiedział, skąd one były: czy z Fortecy, czy z dalekiego miasta, czy z własnego zamku, gdzie nikt nie czekał na jego powrót.

Może z tarasu fortu jakiś wartownik w tym momencie przypadkowo spojrzął na góry, rozpoznał światła na najwyższym szczycie; przy tak wielkiej odległości pechowa ścianka była mniej niż niczym; była właściwie niedostrzegalna. I może właśnie Drogo dowodził strażą, Drogo, który prawdopodobnie, gdyby chciał, mógł być wyruszyć z kapitanem Montim i Angustina. Ale Drogowi wydało się to głupie: z chwilą gdy przepadło zagrożenie ze strony Tatarów, ta wyprawa zdawała mu się nudna i nie widział w niej możliwości wyróżnienia się. Teraz jednak również Drogo dojrzał drżenie latarni na szczycie i zaczął żałować, że nie poszedł. Tak więc nie tylko na wojnie można było przeżyć coś wielkiego; teraz on także chciałby tam być, w sercu nocy i burzy. Za późno, okazja przeszła obok, a on nie umiał jej pochwycić.

Wypoczęty i suchy, owinięty ciepłą peleryną, Giovanni Drogo może spoglądał zazdrośnie na dalekie światła, podczas gdy Angustina, cały pokryty śniegiem, z trudem dobywał resztek sił, aby oczyścić mokre wasy i starannie ułożyć płaszcz, nie po to, żeby owinać plecy i cieplej się okryć, ale w jakimś sobie tylko znanym celu. Osłonięty kapitan Monti spoglądał zdumiony, zastanawiając się, co robi Angustina i gdzie w ogóle widział jakąś bardzo podobną sylwetkę, której nie mógł sobie przypomnieć.

W jednej z sal Fortecy wisiał stary obraz przedstawiający śmierć księcia Sebastiana. Śmiertelnie ranny, książę Sebastian leżał w głębi lasu oparty plecami o pień, z głową trochę pochyloną na bok i opończą układającą się w harmonijne fałdy; w obrazie nie było nic z nieprzyjemnego, fizycznego okrucieństwa śmierci; patrząc na niego, nikt się nie dziwił, że malarz oddał całą jego szlachetność i niezwykłą elegancję.

A teraz Angustina, och, jemu to nie przyszło do głowy, coraz bardziej przypomina księcia Sebastiana rannego w głębi lasu; Angustina nie miał – jak tamten – błyszczącej zbroi, na jego nogach nie leżał skrwawiony hełm ani złamana szpada; nie opierał pleców o pień, ale o twardą skałę; jego czoła nie oświetlał ostatni promień słońca, tylko słaba latarnia. A jednak podobieństwo było uderzające: identyczny układ ciała, identycznie ułożone fałdy peleryny, identyczny wyraz krańcowego zmęczenia.

Toteż w porównaniu z Angustiną, chociaż bardziej krzepcy i zawadiaccy, kapitan, sierżant i wszyscy inni żołnierze wydali się prostackimi gburami. I w duszy Montiego, chociaż było to prawie nieprawdopodobne, zrodziło się zawistne zdumienie.

Śnieg przestał padać, między skałami słyhać było wycie wiatru, który miotał tumany lodowatego pyłu, aż drżały płomyki za szklami latarń. Zdawało się, że Angustiną tego nie widział; leżał nieruchomy, oparty o kamień, z oczyma wpatrzonymi w odległe światła Fortecy.

– Poruczniku! – jeszcze próbował kapitan Monti. – Poruczniku! Niech pan się zdecyduje! Proszę tu przyjść, bo tam pan nie wytrzyma, można zamarznąć. Proszę przyjść, bo Toni zbudował coś w rodzaju murku.

– Dziękuję, kapitanie – rzekł z wysiłkiem Angustiną, a ponieważ zbyt trudno było mu mówić, uniósł nieco rękę, jakby mówiąc, że to nieważne, wszystko to głupstwa bez najmniejszego znaczenia. *(W końcu przywódca duchów wykonał nakazujący gest i Angustina, ze swą znudzoną miną,*

przeskoczył parapet i z wdziękiem zasiadł w lektyce. Zaczarowana karoca łagodnie drgnęła i ruszyła).

Przez kilka minut słychać było tylko ochryply świsł wiatru. Również żołnierze pod skałami, ściśnięci, żeby było cieplej, stracili ochotę do żartów i w milczeniu zmagali się z chłodem.

Ponieważ wiatr na chwilę ustał, Angustina uniósł głowę o kilka centymetrów i lekko poruszył ustami, chcąc coś powiedzieć. Wyszły z nich tylko te dwa słowa: – Należałoby jutro... – i nic więcej. Dwa słowa tylko i tak chrapliwie, że nawet kapitan Monti nie zauważył, że tamten coś mówił.

Dwa słowa, i głowa Angustiny bezwładnie opadła do przodu, Jedna ręka leżała biała i sztywna na fałdach płaszcza, usta się zamknęły i znowu na wargi wypłynął lekki uśmiech. *(Lektyka uniosła go w dal, toteż oderwał wzrok od przyjaciela i obrócił głowę do przodu, w kierunku orszaku, z czymś w rodzaju ciekawości rozbawionej i nieufnej. I tak oddalił się pośród nocy z godnością prawie niehumaną. Magiczny orszak przesuwiał się po niebie w powolnych zygzakach, ciągle wyżej, stając się niewyraźną smugą, potem maleńkim obłokiem, nareszcie niczym).*

Co chciałeś powiedzieć, Angustina? Co jutro? Kapitan Monti, który wreszcie opuścił swoje schronienie, silnie potrząsnął porucznika za ramiona, żeby przywrócić go do przytomności; zdołał jednak tylko zepsuć szlachetne fałdy żołnierskiego całunu, a szkoda. Nikt z żołnierzy jeszcze się nie zorientował, co się stało.

Przekleństwu Montiego odpowiada tylko z ciemnej przepaści głos wiatru. Co chciałeś powiedzieć, Angustina? Odszedłeś, nie kończąc zdania; może było to nic nieznaczące głupstwo, może absurdalna nadzieja, a może nic.

XVI

Pochowano porucznika Angustinę i czas znowu zaczął płynąć w Fortecy identycznie jak przedtem.

Major Ortiz zapytał Droga: – Ile to już czasu upłynęło?

Drogo odparł: – Jestem tu od czterech lat.

Nagle przyszyła zima, długa pora roku. Spadł śnieg, najpierw cztery, pięć centymetrów; po pewnej przerwie trochę więcej, a potem padać będzie jeszcze tyle razy, że nie sposób je zliczyć, bo do wiosny jest przecież daleko. (Jednak pewnego dnia, wcześniej, niż przewidywali, dużo wcześniej, usłyszą szum spływających z tarasów strumyków wody i zima niespodziewanie się skończy).

Trumna porucznika Angustiny, owinięta w sztandar, spoczywała pod ziemią w małym ogródku obok Fortecy. Na grobie był krzyż z białego kamienia, na którym umieszczono jego nazwisko. Żołnierz Lazzari, również w tym samym miejscu, otrzymał mniejszy krzyż z drewna.

Rzekł Ortiz: – Czasem tak myślę: pragniemy wojny, czekamy na tę jedyną okazję i uważamy, że nie mamy szczęścia, ponieważ nic się nie dzieje. A widział pan? Angustina...

– Chce pan powiedzieć – odparł Giovanni Drogo – że Angustina nie potrzebował mieć szczęścia? Że i tak potrafił się wyróżnić?

– Był słaby i chyba nawet chory – rzekł major Ortiz. – Czuł się gorzej od nas wszystkich, faktycznie. On tak samo jak i my nie spotkał nieprzyjaciela. Nie doczekał się wojny. Jednak zginął jak w bitwie. Wie pan, poruczniku, jak zginął?

Drogo rzekł: – Tak, byłem przy tym, jak kapitan Monti opowiadał.

Nadeszła zima i obcokrajowcy odeszli. Piękne, splamione może krwią sztandary nadziei powoli opadły i znowu panował spokój; ale niebo pozostało puste i na próżno oko jeszcze czegoś tam szukało na skraju horyzontu.

– Umiał umrzeć we właściwym momencie, faktycznie – rzekł major Ortiz. – Jakby otrzymał kulkę. Bohater, co tu dużo gadać. A przecież nikt nie strzelał. Wszyscy, którzy tego dnia byli z nim, mieli takie same możliwości, nie miał żadnej przewagi, może tylko tę, że łatwiej mógł umrzeć. Bo w gruncie rzeczy czego oni dokonali? Dla pozostałych był to dzień prawie taki jak inne.

Drogo rzekł: – Tak, tylko trochę zimniejszy.

– Tak, trochę chłodniejszy – odparł Ortiz. – Pan też, poruczniku, mógł pójść z nimi, wystarczyło poprosić.

Siedzieli na drewnianej ławce, na górnym tarasie czwartej reduty. Ortiz odszukał porucznika Drogo, który miał służbę. Z dnia na dzień między nimi umacniała się coraz większa przyjaźń.

Siedzieli na ławce owinięci w płaszcze, z błędzącym hen ku północy wzrokiem, gdzie gromadziły się wielkie chmury zwiastujące śnieg. Od czasu do czasu dmuchał północny wiatr przenikający przez odzież. Wysokie, skaliste szczyty z prawej i lewej strony przełęczy zrobiły się czarne. Drogo rzekł: – Myślę, że jutro również w Fortecy będzie padał śnieg.

– Możliwe – odparł major bez zainteresowania i zamilkł. Drogo rzekł jeszcze: – Będzie padać. Kruki latają.

– My też jesteśmy winni – rzekł Ortiz, rozwijając uporczywie swą myśl. – W końcu spotyka nas to, na co zasługujemy. Angustina na przykład był gotów drogo zapłacić, a my nie, i to chyba cała sprawa. Może mamy za duże pretensje. Spotyka nas zawsze to, na co faktycznie zasługujemy.

– No więc? – spytał Drogo – co powinniśmy robić?

– Och, ja nic – rzekł Ortiz z uśmiechem. – Za długo czekałem, ale pan...

– Co ja?

– Niech pan odjedzie, póki czas, wróci do miasta i przysposobi się do służby w innym garnizonie. W gruncie rzeczy pan nie wydaje mi się typem lekceważącym przyjemności życia. Zrobi pan na pewno większą karierę tam niż tu. Nie wszyscy się rodzą na bohaterów.

Drogo milczał.

– Siedzi tu pan cztery lata – mówił Ortiz. – Oznacza to pewną korzyść w wysłudze, zgoda, ale proszę pomyśleć, o ile lepiej posłużyłby panu pobyt w mieście. Został pan odcięty od świata i nikt pana już nie pamięta, proszę więc wrócić, póki jeszcze czas.

Z oczyma wbitymi w ziemię Giovanni słuchał milcząc.

– Znam takich – ciągnął major. – Stopniowo przyzwyczajali się do Fortecy, a potem już tu ugrzęźli, nie potrafili się stąd ruszyć. Starcy w wieku trzydziestu lat, faktycznie.

Drogo rzekł: – Wierzę panu, majorze, ale w moim wieku...

– Pan jest młody – podjął Ortiz – i jeszcze młodym będzie, to prawda. Ale na pana miejscu miałbym się na baczności. Wystarczy przegapić następne dwa lata, tylko dwa, i zbyt trudno będzie się panu wycofać.

– Dziękuję panu — rzekł Drogo wcale nieporuszony. – Ale w gruncie rzeczy tutaj w Fortecy można oczekiwać czegoś lepszego. To absurdalne, jednak i pan musi szczerze przyznać...

– Może tak, niestety – rzekł major. – Wszyscy bardziej lub mniej upieramy się przy nadziei. Ale to absurd, wystarczy trochę pomyśleć (i wskazał dłonią na północ). Od tej strony nigdy więcej nie nadciągnie wojna. A teraz, po ostatnim doświadczeniu, kto miałby serio w nią wierzyć?

Tak właśnie mówił i wstał, ciągle patrząc na północ, tak jak owego dawnego ranka na krawędzi płaskowyżu. Drogo widział go wpatrzonego z zachwytem w tajemnicze mury Fortecy. Cztery lata minęły od tamtego dnia, czcigodny kawałek życia, i nic, absolutnie nic się nie wydarzyło, co by mogło usprawiedliwić tyle nadziei. Dni upływały jeden po drugim; żołnierze, którzy mogli być nieprzyjaciółmi, ukazali się pewnego ranka na krańcach cudzoziemskiej równiny, a potem się wycofali po dokonaniu nieszkodliwych operacji granicznych. Pokój panował na świecie, wartownicy nie trąbili na alarm, nic nie pozwalało przypuszczać, że ich egzystencja mogłaby się zmienić. Jak w poprzednich latach, zgodnie z ustalonymi przepisami, nadciąga zima, a podmuchy północnego wiatru, uderzając o bagnety, z lekka świszczą. I oto jeszcze raz on, major Ortiz, stoi na tarasie czwartej reduty, nie wierząc we własne, mądre słowa, raz jeszcze patrzy na północne wrzosowisko, jakby tylko on naprawdę miał prawo na nie patrzeć, tylko on prawo tu pozostać, obojętnie, w jakim celu, a Drogo tymczasem był tylko miłym chłopcem nie na swoim miejscu, który się pomylił w swoich rachubach i dobrze zrobiłby, gdyby wrócił.

XVII

Aż pewnego dnia śnieg na tarasach Fortecy zrobił się miękki, a nogi zagłębiały się w nim jak w błocie. Słodki dźwięk wody dotarł nagle z najbliższych gór, tu i ówdzie wzdłuż szczytów widać było białe, pionowe pasma błyszczące na słońcu, a żołnierze łapali się na tym, że podśpiewują sobie, czego nie robili od wielu miesięcy.

Słońce nie biegło już tak jak przedtem, spiesząc się, żeby prędzej zejść, ale zatrzymywało się na chwilę pośrodku nieba, połykając leżący śnieg, i bezcelowe było gromadzenie się chmur nad lodami północy, gdyż nie przynosiły już śniegu, jedynie deszcz, który tylko rozpuszczał resztki śniegu. Wróciła wiosna.

Już słyhać było rankiem głosy ptaków, o których wszyscy zapomnieli. Za to kruki nie zbierały się na równinie Fortecy, czekając na odpadki z kuchni, ale pierzchały po kotlinach w poszukiwaniu świeżego pożywienia.

Nocą w pokojach półki na plecaki, stojaki na broń, drzwi, nawet piękne meble z masywnego orzecha w pokoju pana pułkownika, wszystko, co w Fortecy drewniane, skrzypiało w ciemności. Czasem były to suche wystrzały jak z pistoletu i zdawało się, że coś rzeczywiście rozleciało się w kawałki, ktoś budził się na pryczy i nastawiał uszu: nie słyszał jednak nic innego, jak rozlegające się raz po raz w ciemności trzaski.

Oto czas, kiedy w starych deskach zmartwychwstaje uparta tęsknota za życiem. Wiele lat temu, szczęśliwe dni!, był to młodzińczy strumień ciepła i siły, z gałęzi wyrastały wiązki pączków. Potem drzewo zostało ścięte. A teraz, kiedy jest wiosna, jeszcze się budzi w każdym z jego fragmentów nieskończenie mniejsze drgnienie życia. Kiedyś liście i kwiaty; teraz tylko niejasne wspomnienie, ot, zaskrzypieć i koniec aż do następnego roku.

Oto czas, kiedy w ludziach Fortecy zaczynają się budzić dziwne myśli, które nie mają w sobie nic wojskowego. Mury przestają być przyjazną osłoną i zaczynają sprawiać wrażenie więzienia. Ich obnażony wygląd, czarnawe pasma ścieków, ukośne kanty bastionów, żółty kolor w żaden sposób nie odpowiadają nowym nastrojom ducha.

Jakiś oficer – z tyłu nie można go rozpoznać, może to nawet Giovanni Drogo – wiosennym rankiem kroczy znudzony wśród obszernych umywalni wojskowych, o tej godzinie pustych. Nie dokonuje inspekcji ani kontroli; krąży tak sobie, żeby się ruszać; wszystko zresztą jest w porządku: umywalki czyste, posadzka zamieciona, a kurek, z którego kapie woda, to nie wina żołnierzy.

Oficer zatrzymuje się, patrząc w górę na jedno z wysokich okien. Okna są zamknięte, prawdopodobnie od wielu lat nie były myte, a w rogach wiszą pajęczyny. Nic, co w jakiś sposób mogłoby poprawić nastrój. Jednak przez szyby udaje się dostrzec coś, co przypomina niebo. To samo niebo – myśli może oficer – to samo słońce oświetla teraz ponure umywalnie i dalekie łąki.

Łąki są zielone i dopiero co wyrosły maleńkie kwiaty, przypuszczalnie białe. Również drzewa, zupełnie słusznie, przybrały nowe liście. Pięknie byłoby jechać konno przez wsie, ot, tak bez celu. A może boczną dróżką wśród parkanów zbliżyć się będzie piękna dziewczyna i kiedy przejeżdżać będziesz obok niej na koniu, pozdrowi cię uśmiechem? Ale co za śmieszna sprawa, czy oficerowi Fortecy Bastiani przy stoją tak głupie myśli?

Przez zakurzone okno w umywalni, chociaż wydać się to może dziwne, dostrzec można również białą chmurę o przyjemnym kształcie. Podobne chmury żeglują w tym momencie nad dalekim miastem; ludzie, którzy spacerują, spokojnie patrzą na nie od czasu do czasu, zadowoleni, że zima się skończyła. Prawie wszyscy mają ubrania nowe lub starannie odświeżone, młode kobiety noszą kapelusze z kwiatami i kolorowe suknie. Wszyscy wyglądają na zadowolonych, jakby w każdej chwili spodziewali się czegoś przyjemnego. Kiedyś przynajmniej tak było; kto wie, może przyszła inna moda. A może przy oknie zobaczysz ładną dziewczynę, która pozdrowi ciebie, przechodnia, bez żadnego powodu, po prostu przyjaźnie pozdrowi pięknym uśmiechem? W gruncie rzeczy wszystko to śmieszne, szkolne bzdury.

Przez brudne szyby można dostrzec na ukos kawałek ściany. Też zalany słońcem, ale nie wynika z tego żaden powód do radości. To ściana koszar i czy będzie słońce, czy księżyc, dla muru jest obojętne, wystarczy, że nie ma przeszkód dla właściwego biegu służby. Ściana koszar i nic więcej. Jednak pewnego dnia, dawno temu, we wrześniu, oficer stanął i patrzył prawie zafascynowany; wydało mu się, że mury stoją na straży surowego, ale godnego pozazdroszczenia przeznaczenia. I nawet jeśli nie wydały mu się piękne, stał przez kilka minut jak przed jakimś cudem.

Oficer kręci się po opustoszałych umywalniach, inni są na służbie w różnych reдутach lub jeżdżą konno po kamienistej esplanadzie, jeszcze inni siedzą w biurach. Nikt nie jest w stanie zrozumieć, co się stało, ale twarze innych działają na nerwy. Ciagle te same twarze, myśli mimo woli, te same rozmowy, ta sama służba, te same dokumenty. A tymczasem fermentują czule pragnienia; nie jest łatwo dokładnie ustalić, czego by się chciało, na pewno nie tych murów, żołnierzy, dźwięków trąbki.

Biegnij więc, koniku, drogą po nizinie, biegnij, póki nie za późno, nie zatrzymuj się, nawet jeśli jesteś zmęczony, póki nie ujrzysz zielonych łąk, znajomych drzew, domów, ludzi, kościołów i dzwonnicy.

A więc do widzenia, Forteco, byłoby niebezpiecznie się zatrzymać; tania tajemniczość opadła, równina północna pozostanie opustoszała, nigdy nie nadejdzie nieprzyjaciel, nikt nigdy nie napadnie na twoje biedne mury. Do widzenia, majorze Ortiz, melancholijny przyjacielu, który już nie potrafisz porzucić tej twierdzy; podobnie jak ty wielu innych uparcie podsycalo nadzieję. Czas był szybszy od was i nie możecie zacząć wszystkiego od nowa.

Ale Giovanni Drogo tak. Żadne zobowiązanie nie zatrzymuje go już w Fortecy. Wróci na równinę, wróci do społeczności ludzkiej, bez trudu powierzą mu jakieś zadanie specjalne, może misję zagraniczną w świecie któregoś generała. W ciągu tylu lat pobytu w Fortecy z pewnością stracił dużo pięknych okazji, ale Giovanni jest jeszcze młody, zostało mu dosyć czasu, żeby to nadrobić.

Do widzenia więc, Forteco, z absurdalnymi redutami, cierpliwymi żołnierzami, panem pułkownikiem, który co ranka, tak, by go nikt nie widział, obserwuje przez lornetę pustynię północną, ale zupełnie niepotrzebnie, nic tam nie ma. Jeszcze tylko salut przed grobem Angustiny: może ze wszystkich miał on najwięcej szczęścia, przynajmniej zginął jak prawdziwy żołnierz, zawsze to lepiej niż ewentualnie w łóżku szpitalnym. Jeszcze pożegnać pokój; w końcu Drogo całkiem wygodnie przespał tu setki nocy. Jeszcze tylko pożegnać dziedziniec, gdzie również i tego wieczora, zachowując zwykłe formalności, ustawią się odchodzące strażę. Ostatnie pożegnanie dla równiny północnej nie budzące już złudzeń.

Nie myśl o tym więcej, Giovanni Drogo, nie odwracaj się do tyłu, teraz kiedy dojechałeś do krawędzi płaskowyżu, a droga zaraz zanurzy się w kotlinie. Byłoby to głupią słabością. Kamień po kamieniu, można powiedzieć, poznałeś Fortecę Bastiani. Nie ma obawy, że ją zapomnisz. Koń biegnie wesołym kłusem, dzień jest pogodny, powietrze ciepłe i lekkie, masz jeszcze przed sobą długie życie, możesz prawie rozpocząć od nowa, jakaż potrzeba istniałaby, żeby ostatni raz rzucać okiem na mury, na kazamaty i wartowników na wieżach. I tak wolno obraca się kartka, odwraca się na drugą stronę, dodana do innych, już zapisanych. Na razie jest to tylko cienka warstwa; te, które zostały do zapisania, są – w porównaniu z tamtymi – niewyczerpanym stosem. A jednak obróciła się kartka, panie poruczniku, kawałek życia.

Ze skraju kamienistego płaskowyżu Drogo rzeczywiście się nie ogląda i nawet bez cienia wahania spina konia ostrogą, nawet głowy nie odwrócił o centymetr i pogwizduje piosenkę z niezgorszą swobodą, chociaż nie przychodzi mu to łatwo.

XVIII

Drzwi były otwarte i Drogo szybko rozpoznał stary domowy zapach, jak wówczas, gdy będąc dzieckiem, wracał do miasta po letnich miesiącach spędzonych w dworku. Zapach swojski i przyjazny. Jednak po tak długim czasie czuł w nim coś przykrego. Przypominał, owszem, dawne lata, słodycz pewnych niedziel, pogodne kolacje, utracone dzieciństwo, ale także zamknięte okna, zadania szkolne, toaletę poranną, choroby, sprzeczki, myszy.

– Och, paniczu! – krzyknęła radośnie dobra Giovanna, która otworzyła mu drzwi. I zaraz nadeszła mama; dzięki Bogu jeszcze niezmienną.

Siedząc w saloniku, gdy usiłował odpowiedzieć na lawinę pytań, czuł, jak uczucie szczęścia zmienia się w mimowolny smutek. Dom wydawał się pusty w porównaniu z tym, co było kiedyś; jeden z braci wyjechał za granicę, drugi nie wiadomo dokąd, a trzeci na wieś. Tylko mama została, ale i ona po chwili musiała wyjść na nabożeństwo do kościoła, gdzie czekała na nią przyjaciółka.

Pokój pozostał identycznie taki, jakim go zostawił, nikt nie ruszył nawet książki, jednak wydał mu się jakby nie jego. Usiadł w fotelu i słuchał hałasu wozów jadących ulicą oraz urywanego co chwilę rozgwaru dochodzącego z kuchni. Został sam w pokoju, mama modliła się w kościele, bracia byli daleko, wszyscy żyli, nie czując potrzeby istnienia Giovanniego Droga. Otworzył okno, ujrzał szare domy, dachy i jeszcze raz dachy, mgliste niebo. Odszukał w szufladzie stare zeszyty szkolne, dziennik, który prowadził latami, niektóre listy; zdumiał się, że pisał takie rzeczy. Już tego nie pamiętał: wszystko odnosiło się do dziwnych, zapomnianych faktów. Usiadł przy pianinie, spróbował zagrać jakiś akord, potem zamknął klawiaturę. No i co dalej? – pomyślał.

Obcy, krążył po mieście, szukając starych przyjaciół. Dowiedział się, że są bardzo zajęci własnymi interesami, wielkimi przedsięwzięciami, karierą polityczną. Mówili mu o sprawach poważnych i ważnych, zakładach przemysłowych, kolejach, szpitalach. Ktoś go zaprosił na obiad, kto inny się

ożenił, każdy poszedł swoją drogą i w ciągu czterech lat odeszli od siebie daleko. Choć bardzo się starał (ale może i on już nie potrafił), nie udawało mu się wskrzesić dawnych rozmów, żartów, sposobu mówienia. Krążył po mieście, szukając starych przyjaciół – a było ich wielu – ale w końcu zostawał sam na chodniku, a przed nim było tyle pustych godzin aż do wieczora.

Do późnej nocy bawił poza domem, pragnąc się rozerwać. Za każdym razem wychodził wiedziony młodzieńczymi marzeniami o miłości i zawsze wracał rozczarowany. Zaczął nienawidzić drogi, którą samotnie wracał do domu, zawsze jednakiej i pustej.

Urządzono wtedy wielki bal i Drogo, wchodząc do pałacu w towarzystwie Vescoviego, jedyne go przyjaciela, którego zastał, czuł się w jak najlepszym nastroju. Chociaż jest już wiosna, noc będzie długa: prawie nieograniczona ilość czasu; przed świtem może się przydarzyć tyle rzeczy, dokładnie Drogo nie wie co, ale na pewno czeka go kilka godzin bezwarunkowej przyjemności. I rzeczywiście nawiązał żartobliwą rozmowę z dziewczyną ubraną na fiołkowo, a jeszcze nie wybiła północ, może jeszcze przed świtem narodzi się miłość; ale oto właściciel domu zawołał go, żeby mu szczegółowo pokazać pałac, prowadził go przez labirynt korytarzy, zatrzymał w bibliotece, zmusił do obejrzenia sztuki po sztuce kolekcji broni, mówił o problemach strategicznych, opowiadał facecje wojskowe, anegdoty domu królewskiego, a tymczasem mijał czas, wskazówki zegara pędziły jak szalone. Kiedy Drogo zdołał się uwolnić i wrócić do tańców, sale już na wpół opustoszały, dziewczyna ubrana na fiołkowo znikła: prawdopodobnie wróciła do domu.

Na próżno Drogo usiłował pić, na próżno śmiał się bez sensu, nawet wino mu nie służyło. A muzyka skrzypiec robiła się coraz powolniejsza, i w pewnym momencie grały zupełnie na darmo, gdyż nikt nie tańczył. Drogo znalazł się z goryczą w ustach wśród drzew ogrodu i słyszał niewyraźne dźwięki walca, podczas gdy urok zabawy mijał, a niebo powoli bladło. Zbliżał się świt.

Gwiazdy gasły, Drogo stał w mrocznym cieniu drzew, patrząc, jak rodzi się dzień, gdy tymczasem pozłacane karoce odjeżdżały przed pałacem. Muzycy skończyli grać, a lokaj krążył po salach, gasząc światła, Z drzewa, tuż nad Drogiem, dochodził cieniutki i rześki trzask ptaszka. Niebo stawało się stopniowo coraz jaśniejsze, wszystko trwało w cichym, pełnym nadziei oczekiwaniu na dobry dzień.

W tym momencie – pomyślał Drogo – pierwsze promienie słońca już dotarły do bastionów Fortecy i zziębniętych wartowników. Ucho bezskutecznie łowiło dźwięk trąbki.

Szedł przez miasto jeszcze pogrążone w śnie i z umyślnym hałasem otworzył bramę domu. Przez szpary w żaluzjach do pokoju wkradało się trochę światła.

– Dobranoc, mamó – powiedział, przechodząc korytarzem do pokoju, i wydało mu się, że zza drzwi odpowiedział mu tak jak kiedyś, gdy wracał do domu późną nocą, niewyraźny dźwięk, głos kochany, chociaż zachrypli od snu. I szedł dalej prawie uspokojony w stronę swego pokoju, kiedy spostrzegł się, że matka coś mówi. – Co takiego, mamó? – spytał w rozległej ciszy. W tym samym momencie zrozumiał, że pomylił stukot dalekiej karocy z drogim głosem. Mama nie odpowiedziała, nocne kroki syna nie były już w stanie jej obudzić jak kiedyś, zrobiły się obce, jakby ich dźwięk zmienił się wraz z czasem.

Kiedyś jego kroki docierały do niej we śnie niczym ustalone hasło. Wszystkie inne odgłosy nocy, nawet silniejsze, nie mogły jej obudzić: ani wozy na ulicy, ani płacz dziecka, ani zawodzenie psów, ani sowy, nawet stukające o futrynę okno, ani wiatr w rynnach, ani deszcz lub skrzypienie mebli. Tylko jego krok ją budził, nie dlatego że hałaśliwy (Giovanni wchodził na czubkach palców). Bez żadnej specjalnej przyczyny, tylko dlatego że był jej synem.

Ale teraz już nie. Pozdrowił mamę jak kiedyś, z tą samą modulacją głosu, pewny, że znajomy odgłos kroków powinien ją obudzić. A jednak nikt nie odpowiedział, słyhać było jedynie stukot dalekiej karocy. Głupstwo, pomyślał, śmieszny przypadek, być może. Pozostało mu jednak – kiedy przygotowywał się do spania – przykre wrażenie; jakby łączące ich dawniej uczucie zaszło jakąś mgłą, jakby między nimi dwojgiem czas i oddalenie z wolna rozciągnęły zasłonę separacji.

XIX

Potem poszedł odwiedzić Marię, siostrę przyjaciela Francesca Vescoviego. Mieli dom z ogrodem, a ponieważ była wiosna, na drzewach już wyrosły nowe liście. Na gałęziach śpiewały ptaszki.

Maria wyszła mu na spotkanie do drzwi uśmiechnięta. Wiedziała, że przyjechał, i włożyła błękitną suknię wciętą w talii, podobną do tej, która kiedyś mu się spodobała.

Drogo myślał, że ogarnie go silne wzruszenie, że będzie biło mu serce. Kiedy jednak podszedł blisko i zobaczył jej uśmiech, kiedy usłyszał dźwięk głosu mówiącego: – Och, nareszcie, Giovanni! – (tak inaczej, niż sobie wyobrażał) poczuł miarę minionego czasu.

Był taki sam jak kiedyś – sądził – może nieco bardziej barczysty i opalony na słońcu Fortecy. Ona też się nie zmieniła. Ale między nimi zaszła jakaś zmiana.

Weszli do dużego salonu, gdyż na dworze było zbyt gorąco; pokój pograżony w słodkim półmroku, pasmo słońca jaśniało na dywanie, słychać było tykanie zegara.

Usiedli na kanapie ukosem, by móc na siebie patrzeć. Drogo wpatrywał się w jej oczy, nie znajdując słów, a ona spoglądała wokoło, trochę na niego, trochę na meble, trochę na bransoletkę z turkusów, prawdopodobnie nowiuteńką.

– Francesco zaraz nadejdzie – rzekła wesoło Maria. – Tymczasem pobądź ze mną, tyle masz pewnie do opowiedzenia!

– Och – odparł Drogo – nic specjalnego, naprawdę, ciągle ta...

– Ale dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała. – Sądzisz, że się zmieniłam?

Nie, Drogo tak nie uważał, było nawet zdumiewające, że w dziewczynie przez cztery lata nie zaszła żadna wyraźna zmiana. A jednak czuł jakieś rozczarowanie i chłód. Nie odnajdował tego tonu co kiedyś, gdy rozmawiali jak brat z siostrą i z wszystkiego mogli żartować, wcale nie robiąc sobie

przykrości. Dlaczego tak dystyngowanie usiadła na sofie i mówiła z takim wdziękiem? Powinien pociągnąć ją za ramię i powiedzieć: – Czy zwariowałaś? Co ci przychodzi do głowy, żeby udawać stateczną pannę? – Lody zostałyby przełamane.

Ale Drogo nie czuł się do tego zdolny. Miał przed sobą kogoś zupełnie innego i nie wiedział, co może myśleć ta nowa osoba. Może on sam też nie był taki jak kiedyś, zresztą to on uderzył w fałszywy ton.

– Zmieniona? – odparł Drogo. – Nie, nie, absolutnie.

– Ach, mówisz tak, bo uważasz, że zbrzydłam. Powiedz mi prawdę!

Czy to naprawdę mówiła Maria? Może żartowała? Prawie nie wierząc, Giovanni słuchał jej słów i ciągle miał nadzieję, że porzuci ów elegancki uśmiech, ten pełen słodczy sposób bycia i wybuchnie śmiechem.

– Brzydka, owszem, znajduję cię brzydką – odpowiedziałby w tamtych pięknych czasach Giovanni, obejmując ramieniem jej kibić, a ona przytuliłaby się do niego. Ale teraz? Byłoby to absurdalne. Żart w złym guście.

– Ależ nie, mówię ci – odparł Drogo. – Jesteś taka sama, zapewniam cię.

Spojrzała na niego z uśmiechem niezupełnie przekonana i zmieniła temat: – Powiedz mi, wróciłeś na dobre?

Było to pytanie, które przewidział („zależy od ciebie”, miał zamiar odpowiedzieć lub coś w tym rodzaju). Oczekiwał jednak tego pytania wcześniej, w momencie spotkania, co byłoby naturalne, gdyby jej zależało. Teraz jednak prawie go zaskoczyła i to już było coś innego, pytanie prawie konwencjonalne, bez podtekstu uczuciowego.

Zapadła chwila ciszy w salonie, w półmroku, dokąd z ogrodu dolatywał śpiew ptaków, a z odległego pokoju akordy pianina, wolne i mechaniczne, kogoś, kto się uczył.

– Nie wiem, jeszcze nie wiem. Mam tylko urlop – rzekł Drogo.

– Zaledwie urlop? – spytała szybko Maria i w jej głosie była delikatna vibracja, może przypadek, a może rozczarowanie lub prawdziwy ból. Ale coś naprawdę dzieliło ich, zasłona niewyraźna i nie do określenia, która nie chciała ustąpić; może dystans rósł z wolna podczas długiego rozstania, dzień po dniu, i żadne z nich nie zdawało sobie z tego sprawy.

– Dwa miesiące. Potem może wrócę, albo przeniosę się gdzie indziej, a może tu do miasta – wyjaśnił Drogo. Rozmowa odtąd stała się uciążliwa, obojętność wypełniła jego serce.

Oboje zamilkli. Popołudnie zawisło nad miastem, ptaki ucichły, słychać było tylko dalekie akordy pianina, smutne i metodyczne, które biegły w górę, coraz wyżej i wyżej, wypełniając cały dom, a w dźwiękach tych brzmiał rodzaj upartego zmęczenia, coś trudnego do określenia, czego nigdy nie da się ująć w słowa.

– To córka Michelich, piętro wyżej – rzekła Maria, dostrzegając, że Giovanni słucha.

– Ty też grałaś kiedyś tę melodię, prawda?

Maria wdzięcznie pochyliła głowę, jakby nasłuchując.

– Nie, nie, ta jest za trudna, słyszałeś ją gdzieś indziej. Drogo rzekł: – Zdawało mi się...

Pianino grało niezmiernie. Giovanni spoglądał na pasmo słońca na dywanie, myślał o Fortecy, wyobrażał sobie rozpuszczający się śnieg, krople spływające z tarasów, ubożuchną wiosnę w górach, znającą tylko drobne kwiaty na łąkach i zapach sianokosów niesiony przez wiatr.

– Ale teraz poprosisz o przeniesienie, prawda? – podjęła dziewczyna. – Po tak długim czasie będziesz miał prawo. Musi tam być nudno!

Wypowiedziała ostatnie słowa z lekkim gniewem, jakby Forteca była jej nienawistna.

„Być może trochę nudno, na pewno wolałbym zostać z tobą”. To proste zdanie błysnęło w umyśle Droga jako możliwość odważnej próby. Było banalne, lecz może by wystarczyło. Ale nagle odeszła go wszelka ochota i pomyślał z niesmakiem, jak śmiesznie brzmiałyby te słowa wypowiedziane przez niego.

– No, tak – rzekł wtedy. – Ale dni mijają tak szybko!

Słychać było dźwięki pianina, ale dlaczego akordy płynęły nadal, nigdy się nie kończąc? Wystukiwane po uczniowsku, bez wyrazu, powtarzały z rozważnym dystansem starą historię niegdyś tak drogą. Mówiły o mglistym wieczorze wśród latarni miasta i o nich obojgu idących pod ogołoconymi drzewami, nagle szczęśliwych i nierozumiejących dlaczego, trzymających się za ręce jak dzieci. Pamiętał, że również owego wieczora słychać było

grających na pianinie, nuty dobiegały z oświetlonych okien; a chociaż były to prawdopodobnie tylko nudne ćwiczenia, dla Giovanniego i Marii nie było muzyki słodszej i bardziej uduchowionej.

– Pewnie – dodał żartobliwie Drogo – że nie mamy tam dużo rozrywek, ale już się do tego po trochu przyzwyczailiśmy...

Rozmowa w salonie pełnym zapachu kwiatów zdawała się wolno nabierać poetyckiego smutku, sprzyjającego wyznaniom miłosnym. Kto to wie – myślał Giovanni – nasze pierwsze spotkanie po tak długiej rozłące nie mogłoby być inne, może zdołamy się jakoś odnaleźć, mam dwa miesiące, tak od razu nie można sądzić, może jeszcze mnie kocha i chce, żebym nie wracał do Fortecy. Ale dziewczyna rzekła:

– Co za szkoda! Za trzy dni wyjeżdżam z mamą i Giorginą, będziemy poza domem kilka miesięcy prawdopodobnie – i na samą myśl ożywiła się radośnie. – Jedziemy do Holandii.

– Do Holandii?

Dziewczyna mówiła teraz o podróży, entuzjazmując się niesłychanie, o przyjaciółach, z którymi ma wyjechać, o koniach, zabawach, jakie odbyły się podczas karnawału, o swym życiu, przyjaciółkach, zapominając o Drogu. Teraz czuła się całkowicie swobodna i wydawała się piękniejsza.

– Wspaniała myśl – rzekł Drogo z gardłem ściśniętym gorczyczą.

– To właśnie najlepsza pora roku w Holandii, jak słyszałem. Mówią, że są tam całe równiny pokryte kwitnącymi tulipanami.

– Och tak, musi być przepięknie – potwierdziła Maria.

– Zamiast zboża uprawiają róże – ciągnął Giovanni z lekką modulacją głosu – miliony róż jak okiem sięgnąć, a ponad nimi wiatraki, wszystkie świeżo pomalowane w żywe kolory.

– Świeżo malowane? – spytała Maria, zaczynając rozumieć żart.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tak opowiadają – odparł Giovanni. – Czytałem o tym również w książce.

Smuga słońca, przebiegłszy cały dywan, powoli wspinała się na intarsjowany sekretarzyk. Popołudnie miało się ku końcowi, dźwięki pianina przycichły, poza ogrodem osamotniony ptaszek znowu zaczął śpiewać. Drogo

wpatrywał się w wilki kominkowe, identyczne jak w Fortecy; zbieg okoliczności dawał mu niejaką pociechę, gdyż wykazywał, że w końcu Forteca i miasto tworzyły jeden świat, z tymi samymi zwyczajami. Jednak oprócz wilków kominkowych Drogo nie zdołał odnaleźć więcej nic wspólnego.

– Musi być pięknie, tak – rzekła Maria, spuszczać oczy. – Ale teraz, kiedy już mamy wyjechać, przeszła mi ochota.

– Głupstwo, zawsze tak bywa przed wyjazdem; nudno pakować bagaże – rzekł umyślnie Drogo, wykluczając aluzję uczuciową.

– Och, nie z powodu bagaży, nie dlatego...

Wystarczyłoby jedno słowo, zwyczajne słowo, aby powiedzieć, że przykro mu z powodu jej wyjazdu. Ale Drogo nie chciał o nic pytać. W tym momencie naprawdę nie był do tego zdolny. Wydawałoby mu się, że kłamie. Dlatego milczał z konwencjonalnym uśmiechem.

– Może pójdziemy na chwileczkę do ogrodu? – zaproponowała w końcu dziewczyna, nie wiedząc, co powiedzieć. – Słońce chyba już zaszło.

Podnieśli się z kanapy. Milczała, jakby czekając, by Drogo przemówił, i spoglądała na niego może z resztką miłości. Ale myśl Giovanniego na widok ogrodu pofrunęła do marnych łąk otaczających Fortecę; tam również nadciągała już chyba ciepła pora roku, a odważne trawki wynurzały się spośród kamieni. Właśnie o tej porze setki lat temu nadciągnęli Tatarzy. Drogo rzekł:

– Bardzo ciepło jak na kwiecień. Zobaczysz, że znów będzie padać.

Tak właśnie powiedział, a Maria rozpaczliwie się uśmiechnęła. – Tak, zbyt ciepło – odparła bezbarwnym głosem i oboje się zorientowali, że wszystko się skończyło. Teraz znowu byli sobie dalecy: między nimi otworzyła się pustka i na próżno wyciągali do siebie dłonie. W każdej chwili odległość się zwiększała.

Drogo rozumiał, że jeszcze kocha Marię i jej świat, ale wszystkie sprawy, które kiedyś podsycaly jego życie, stały się dalekie; w tym świecie jego miejsce zostało tak łatwo zajęte. I odtąd patrzył na niego z zewnątrz, chociaż z żalem; powrót sprawiłby mu trudność: nowe twarze, inne przyzwyczajenia, nowe żarty, nowy sposób mówienia, do których nie był wdrożony. To już nie było jego życie, ruszył inną drogą, a powrót byłby głupi i daremny.

Ponieważ Francesco się nie zjawiał, Drogo i Maria pożegnali się z przesadną serdecznością, zamykając w sobie ukryte głęboko myśli. Maria mocno uścisnęła mu dłoń, patrząc w oczy; może to była prośba, by nie odchodził, przebaczył jej, spróbował odzyskać to, co już było stracone?

On również wpatrywał się w nią i rzekł: – Do widzenia, zanim odjedziesz, mam nadzieję, że się zobaczymy.

Potem odszedł, nie odwracając się za siebie, w stronę furtki. Ciszę przerywało tylko skrzypienie żwiru pod jego wojskowym krokiem.

XX

Cztery lata w Fortecy wystarczały, żeby zgodnie ze zwyczajem uzyskać prawo do nowego przydziału, ale Drogo, chcąc uniknąć pobytu w jakimś odległym garnizonie i chcąc wrócić do własnego miasta, zaczął zabiegać o prywatną rozmowę z komendantem dywizji. To mamie zależało na tej rozmowie; mówiła, że powinien starać się o to, żeby inni o nim nie zapomnieli, bo nikt samorzutnie nim się nie zajmie, a jeśli sam nie zacznie chodzić wokół swych spraw, to prawdopodobnie przydzielą go znów do jakiegoś okropnego garnizonu przygranicznego. Mama też zabiegała za pośrednictwem przyjaciół, aby generał przyjął jej syna z życzliwym nastawieniem.

Generał siedział w ogromnym gabinecie za stołem z grubych desek i palił cygaro; dzień był nijaki, może deszczowy, a może tylko pochmurny. Generał był staruteńki i dobrotliwie spoglądał na porucznika Droga przez monokl.

– Chciałem się z panem zobaczyć – odezwał się pierwszy, jakby to jemu zależało na spotkaniu. – Chciałem się dowiedzieć, co u was słyhać. Czy Filimore nadal dobrze się czuje?

– Kiedy widziałem go ostatnio, pan pułkownik czuł się znakomicie, ekscelencjo – odparł Drogo.

Generał milczał przez chwilę. Potem po ojcowsku potrząsnął głową: – Ech, przysparzacie nam niezłych kłopotów tam w tej Fortecy! No... no... ten

wasz wypadek przy granicy. Historia tego porucznika, nie przypominam sobie teraz jego nazwiska, ogromnie się nie podobała Jego Wysokości.

Drogo milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– No, ten porucznik... – generał ciągnął swój monolog. – Jak on się nazywał? Coś jakby Arduino, zdaje się.

– Nazywał się Angustina, ekscelencjo.

– No właśnie, Angustina, ach, ta moja głowa! Z powodu głupiego uporu stracić linię przygraniczną... Nie rozumiem, jak mogli... ech, zostawmy to!...
– urwał nagle, chcąc okazać wielkoduszność.

– Ależ przepraszam, ekscelencjo – ośmielił się zauważyć Drogo. – Angustina to ten, który wtedy stracił życie!

– Być może, oczywiście, może pan ma rację, gdyż w tej chwili dobrze nie pamiętam – odparł generał, jakby cała sprawa dotyczyła jakiegoś szczegółu bez najmniejszego znaczenia. – Jednak cała ta historia ogromnie się nie podobała Jego Wysokości, ogromnie! Zamilkł i pytającym wzrokiem wpatrywał się w Droga.

– Przyszedł pan... – powiedział tonem dyplomatycznym, pełnym niedomówień – a więc przyszedł pan tutaj, żeby dostać przeniesienie do miasta, prawda? Wszyscy chcecie do miasta i nie rozumiecie, że właśnie w odległych garnizonach można zrobić z was prawdziwych żołnierzy.

– Tak, ekscelencjo – powiedział Giovanni Drogo, usiłując zapanować nad słowami i tonem głosu. – Faktycznie, i ja już cztery lata odsłużyłem...

– Cztery lata w pańskim wieku! Co to znaczy?... – odparł ze śmiechem generał. – Zresztą, nie czynię panu wyrzutów... mówiłem tylko, że jako tendencja ogólna nie jest to chyba najlepsze dla duchowego wdrożenia w sprawę dowodzenia...

Urwał, jak gdyby zgubił wątek. Zaraz jednak skoncentrował się i podjął:

– Zresztą, drogi poruczniku, spróbujemy panu pójść na rękę. Zaraz sprowadzę pańskie akta.

W oczekiwaniu na dokumenty generał ciągnął:

– Forteca... weźmy taką Fortecę Bastiani... Czy pan wie, poruczniku, jaki jest słaby punkt Fortecy Bastiani?

– Jakże mógłbym, wiedzieć, ekscelencjo – odparł Drogo. – Może jest trochę zanadto odosobniona.

Generał uśmiechnął się łaskawie i z pobłażaniem.

– Jakie macie dziwne poglądy, wy młodzi – powiedział. – Trochę zanadto odosobniona! Wyznam, że nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Czy chce pan jednak, bym mu powiedział, jaki jest słaby punkt Fortecy? Rzecz w tym, że za dużo w niej ludzi, za dużo ludzi!

– Za dużo ludzi?

– I dlatego właśnie – ciągnął generał, nie dostrzegając, że porucznik mu przerwał – dlatego właśnie postanowiono zmienić regulamin. Co o tym mówią w Fortecy?

– O czym, ekscelencjo? Przepraszam.

– Ależ właśnie o tym, o czym mówimy! O nowym regulaminie, przecież panu powiedziałem – powtórzył gniewnie generał.

– Nic nie słyszałem, naprawdę nigdy nie... – odparł oszołomiony Drogo.

– No, może oficjalnego komunikatu jeszcze nie było – przyznał udobruchany generał. – Myślałem jednak, że już wiecie, na ogół żołnierze zawsze dowiadują się pierwsi.

– Nowy regulamin, ekscelencjo? – zapytał zaciekawiony Drogo.

– Redukcja kadr, garnizon zmniejszony prawie o połowę – odparł gniewnie tamten. – Za dużo ludzi, zawsze to mówiłem, już dawno trzeba było tę fortecę odciążyć.

W tym momencie wszedł adiutant batalionowy, trzymając grubą paczkę akt. Rozłożywszy je na stole, wyciągnął z nich jedną teczkę, akta Giovanniego Droga, i wręczył generałowi, który spojrzał na nie kompetentnym okiem.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Brakuje tu tylko, jak sądzę, podania o przeniesienie?

– Podania o przeniesienie? – zapytał Drogo. – Myślałem, że po czterech latach służby już nie jest potrzebne.

– Zazwyczaj nie – odparł generał, wyraźnie znudzony koniecznością udzielania wyjaśnień podkomendnemu. – Jednak ponieważ tym razem

chodzi o tak silną redukcję kadr i wszyscy chcieliby odejść, musimy zwracać uwagę na prawo pierwszeństwa.

– Ale w Fortecy nikt o tym nie wie, ekscelencjo, nikt jeszcze nie składał podania...

General zwrócił się do adiutanta batalionowego: – Kapitanie – zapytał – czy mamy już jakieś podania o przeniesienie z Fortecy Bastiani?

– Około dwudziestu, jak sędzę, ekscelencjo – odparł kapitan.

Ładne rzeczy, pomyślał zdruzgotany Drogo. Z pewnością koledzy ukrywali przed nim całą sprawę, żeby móc go uprzedzić. Czyżby i Ortiz tak podle go oszukał?

– Przepraszam, ekscelencjo, jeśli nalegam – zaryzykował Giovanni, uważając, że sprawa jest dostatecznie ważna. – Wydaje mi się jednak, że nieprzerwana czteroletnia służba powinna dać mi większe prawa niż zwykle, formalne pierwszeństwo.

– Pańskie cztery lata nic nie znaczą, drogi poruczniku – ripostował chłodno generał, prawie urażony – nic nie znaczą wobec tego, że tylu ludzi tkwi tam całe życie. Mogę rozważyć pański przypadek z największą życzliwością, mogę popierać pańskie słuszne dążenia, ale nie mogę nie uczynić zadość sprawiedliwości. Poza tym trzeba też zobaczyć, jakie pan ma zasługi...

Giovanni Drogo zbladł.

– Ależ w takim razie, ekscelencjo – powiedział prawie jękając się – w takim razie obawiam się, że będę tam tkwił przez całe życie.

– ..jakie pan ma zasługi – niewzruszenie ciągnął tamten, nadal kartkując dokumenty Droga. – Tu na przykład dostrzegam, akurat wpadło mi w oko, „upomnienie regulaminowe”. Upomnienie regulaminowe to nic poważnego... – i nadal czytał – ale proszę, tu znowu przypadek dosyć nieprzyjemny, moim zdaniem, wartownik zastrzelony przez omyłkę...

– Niestety, ekscelencjo, ale to nie ja...

– Nie mogę wysłuchać pańskich wyjaśnień, doskonale pan to chyba rozumie, drogi poruczniku – przerwał mu generał. – Ja czytam tylko to, co tu napisano w raporcie, i nawet przypuszczam, że chodzi po prostu o nieszczęśliwy wypadek, mogło się tak zdarzyć... ale pańscy koledzy potrafili uniknąć takiego wypadku... Jestem gotów uczynić wszystko, co tylko

możliwe, zgodziłem się przyjąć pana osobiście, sam pan widzi, ale teraz... Gdyby pan złożył podanie miesiąc temu... Dziwne, że pana nie poinformowano... Wielka szkoda, niewątpliwie.

Początkowy dobroduszny ton znikł zupełnie. Generał mówił teraz z lekkim odcieniem nudy i kpiny, z mentorską nutą w głosie niby z katedry. Drogo zrozumiał, że zachował się jak idiota, że koledzy go oszukali, a na generale sprawić musiał mierne wrażenie i nic tu już nie miał do roboty. niesprawiedliwość ostro paliła go w piersi, od strony serca. Mógłbym nawet odejść, złożyć dymisję, pomyślał, w końcu nie umrę z głodu i jeszcze jestem młody.

Generał zrobił poufały gest ręką. – No dobrze, do widzenia, poruczniku, głowa do góry.

Drogo zastygł w postawie baczność, stuknął obcasami i wycofał się w kierunku drzwi, a na progu zsalutował po raz ostatni.

XXI

Koń wspina się pod górę, wychodząc z samotnej kotliny, a odgłos jego kopyt niesie się szerokim echem pośród milczących jarów. Zarośla na szczycie skat stoją nieruchomo, tak samo nieruchomo sterczą żółte trawki, a chmury przechodzą niebem szczególnie wolno. Koń pnie się powoli białą ścieżką. To wraca Giovanni Drogo.

Właśnie on; teraz, kiedy się zbliżył, można go rozpoznać, a na twarzy nie widać szczególnego bólu. Nie zbuntował się, nie złożył dymisji, ścierpiał niesprawiedliwość bez słowa i wraca na zwykłe miejsce. W głębi ducha odczuwa nawet odrobinę zadowolenia, że uniknął gwałtownych zmian w życiu, że może powrócić do starych przyzwyczajeń. Marzy o chwalebnym odwiecie w dalszej przyszłości, wierzy, że ma jeszcze mnóstwo czasu do dyspozycji, i w ten sposób rezygnuje z małostkowej walki o sprawy codziennego bytu. Nadejdzie dzień, w którym wszystkie rachunki zostaną szczerze zapłacone, myśli. Ale tymczasem nadchodzą inni, z zacięciem rywalizują w marszu, chcą być pierwsi, biegiem wyprzedzają Droga, nawet się o niego nie troszcząc, zostawiają go z tyłu. Widzi, jak znikają w głębi, i ogarniają go zupełnie nowe wątpliwości: a jeśli naprawdę się pomylił? A jeśli

jest tylko zwykłym człowiekiem, któremu z prawa przysługuje zaledwie mierny los?

Giovanni Drogo wspina się ku samotnej Fortecy jak owego wrześnieowego dnia, tak już odległego. Tyle tylko, że teraz z drugiej strony doliny nie nadjeżdża żaden oficer, a na moście, gdzie obie drogi się zbiegają, kapitan Ortiz nie wychodzi mu na spotkanie.

Drogo tym razem jechał sam i medytował nad życiem. Wracał do Fortecy, żeby pozostać, kto wie jak długo jeszcze, akurat kiedy wielu kolegów opuszczało ją na zawsze. Koledzy okazali się zręczniejsi, myślał Drogo, ale nie było wykluczone, że i lepsi: również takie mogło być wyjaśnienie.

W miarę upływu lat fort coraz bardziej tracił na znaczeniu. W dawnych czasach może był to ważny garnizon lub przynajmniej tak sądzono. Teraz, po zredukowaniu jego obsady o połowę, był tylko zaporą bezpieczeństwa strategicznie wykluczoną z jakiegokolwiek planu wojennego. Utrzymywano go jedynie po to, by nie zostawić niestrzeżonego odcinka granicy. Od strony równiny północnej nie dopuszczano ewentualności żadnego zagrożenia, co najwyżej w przełęczy mogła się ukazać karawana wędrowców.

Rozmyślając o tym, Drogo po południu dotarł do krawędzi ostatniego płaskowyzu i znalazł się przed Fortecą. Nie zawierała już w sobie, jak za pierwszym razem, niepokojących tajemnic. Prawdę mówiąc, były to zaledwie koszary graniczne, śmieszne zamczysko, którego mury wytrzymałyby tylko kilka godzin pod naporem armat najnowszej typu. Z czasem sama rozpadnie się w gruzy. Już jakieś blanki odpadły, a fortyfikacje ziemne osypują się i nikt się o to nie troszczy.

Tak myślał Drogo, stojąc na skraju płaskowyzu i obserwował wartowników wędrujących wzdłuż murów. Chorągiew na dachu zwisała bezwładnie, z kominów nie dymiło. Ani żywej duszy na opustoszałej esplanadzie.

Co za nudne życie mnie czeka. Prawdopodobnie wesolutki Morel odejdzie jako jeden z pierwszych, w sumie Drogo zostanie bez przyjaciół. A poza tym ciągle ta sama służba wartownicza, gra w karty, eskapady do najbliższej wsi na małe pijaństwo i pośpieszną miłość. Co za nędza, myślał Drogo. A jednak w rysujących się konturach redut tkwił jeszcze pewien urok, coś tajemniczego kryło się w jarach, w cieniu kazamatów, niczym niejasna zapowiedź przyszłości.

W Fortecy zastał dużo zmian. Wobec tylu odjazdów panowało wielkie ożywienie. Nie wiadomo było jeszcze, komu przyznano wyjazd, i oficerowie, a prawie wszyscy poprosili o przeniesienie, żyli w trwożnym oczekiwaniu, zapominając o dawnych troskach. Również Filimore – wiedzieli o tym na pewno – miał opuścić Fortecę, co przyczyniało się do zakłócenia rytmu służby. Niepokój rozprzestrzenił się nawet wśród żołnierzy, gdyż spora część kompanii, jeszcze nieustalona, miała zejść w dolinę. Zmiany warty odbywały się niechętnie, często w godzinie zmiany poręczyki nie były gotowe, we wszystkich narastało przekonanie, że środki ostrożności są głupie i niepotrzebne.

Zdawało się oczywiste, że dawne nadzieje, wojownicze marzenia, oczekiwanie na nieprzyjaciela z Północy były tylko pretekstem, żeby nadać sens życiu. Teraz, kiedy istniała możliwość powrotu do społeczeństwa cywilnego, historyjki te wydawały się chłopięcą zabawą i nikt nie chciał przyznać, że w nie wierzył, ani nie wahał się z nich naśmiewać. Co było istotne, to odejść. Każdy z kolegów Droga prosił swoich wpływowych przyjaciół o poparcie. Każdy był przekonany, że mu się uda.

– A ty? – pytali Giovanniego ze zdawkową sympatią koledzy, którzy przemilczeli wielką nowinę, żeby łatwiej się przebić i mieć jednego konkurenta mniej.

– A ty? – pytali go.

– Prawdopodobnie będę musiał zostać jeszcze parę miesięcy – odpowiadał Drogo. A tamci dalejze dodawać mu otuchy: on też, do diaska, zostanie przeniesiony, byłoby to więcej niż słuszne, nie powinien być takim pesymistą, i temu podobne rzeczy.

Tylko Ortiz na tle innych nie wyglądał na zmienionego. Ortiz nie prosił o przeniesienie. Od kilku lat nie interesował się tą sprawą, a wiadomość, że garnizon zostanie zredukowany, dotarła do niego na końcu, i dlatego nie zdążył w porę uprzedzić Droga. Ortiz towarzyszył obojętnie nowemu fermentowi, zajmując się ze zwykłym zapalem sprawami Fortecy.

Aż wreszcie zaczęli faktycznie wyjeżdżać. Na dziedzińcu rozlegał się ciągły stukot wozów ładowanych materiałami z koszar, kompanie zaś ustawiały się kolejno do odprawy. Pułkownik za każdym razem wychodził z

kancelarii, żeby dokonać przeglądu, mówił żołnierzom pożegnalne słowa, jego głos był bezbarwny i przygaszony.

Oficerowie, którzy przeżyli tu wiele lat, przez setki dni śledzili z reduct pustynne obszary i zwykli prowadzić niekończące się dyskusje o prawdopodobieństwie nagłego ataku nieprzyjaciela, wielu z tych oficerów odchodziło z wesołą twarzą, mrugając niby to z solidarności do kolegów, którzy zostawali, i oddalali się w stronę kotliny, odważnie wyprostowani w siodle, na czele oddziałów, i nawet nie odwracali głowy, żeby po raz ostatni spojrzeć na Fortecę.

Tylko Morel, gdy pewnego słonecznego ranka stanął na środku dziedzińca z odjeżdżającym plutonem przed pułkownikiem-dowódcą i salutując opuścił szablę, tylko jemu zaświeciły się oczy, a głos, podając komendę, zadrżał. Drogo, plecami oparty o ścianę, obserwował całą scenę i uśmiechnął się przyjaźnie, kiedy kolega przejechał przed nim konno, kierując się ku wyjściu. Może widzieli się po raz ostatni. Giovanni podniósł prawą dłoń do daszka, przepisowo salutując.

Potem wrócił do korytarzy Fortecy, zimnych nawet latem, które z dnia na dzień pustoszały coraz bardziej. Na myśl, że Morel odjechał, rana niesprawiedliwości nagle się otworzyła i zaczęła boleć. Giovanni ruszył szukać Ortiza i znalazł go w chwili, kiedy tamten wychodził z kancelarii z plikiem papierów. Dogonił go, stanął z boku. – Dzień dobry, panie majorze.

– Dzień dobry, Drogo – odparł Ortiz, zatrzymując się. – Czy coś się stało? Życzy sobie pan czegoś ode mnie?

Rzeczywiście Drogo chciał o coś zapytać. Była to sprawa ogólnikowa i nie było najmniejszego pośpiechu, jednak ciążyła mu na sercu od kilku dni.

– Przepraszam, panie majorze – rzekł. – Pan pamięta, że kiedy przybyłem do Fortecy cztery i pół roku temu, major Matti powiedział, że zostają tu tylko ochotnicy? Że jeśli ktoś chce odejść, to nikt mu tego nie zabroni? Czy pan pamięta, jak opowiadałem? Matti mówił, że wystarczy wizyta u lekarza, żeby mieć pretekst formalny, mówił tylko, że pułkownik byłby trochę niezadowolony.

– Tak, coś sobie przypominam – odparł Ortiz z bardzo lekkim odcieniem znudzenia. – Ale przepraszam, drogi panie, ja teraz...

– Sekundę, panie majorze... Pamięta pan, że aby nie robić nikomu przykrości, zgodziłem się pozostać cztery miesiące? Ale gdybym chciał, to mógłbym być odejść, prawda?

Ortiz rzekł: – Rozumiem, drogi panie, ale nie tylko pan,..

– A więc – przerwał Giovanni gwałtownie – więc to były tylko bajki?! Nie było prawdą, że gdybym chciał, to mógłbym być odejść?! Wszystko bajki, żeby mnie zatrzymać?!

– Och! – odparł major – nie sądzę... co panu przychodzi do głowy!

– Proszę mi nie zaprzeczać, panie majorze – replikował Giovanni. – Czy pan uważa, że Matti mówił prawdę?

– Mnie też przytrafiło się prawie to samo – rzekł Ortiz zakłopotany, spoglądając w ziemię. – Ja też wtedy myślałem o błyskotliwej karierze...

Zatrzymali się w jednym z wielkich korytarzy, a głosy dźwięczały smutno wśród ścian, gdyż miejsce było puste i niezamieszkane.

– A więc nie jest prawdą, że wszyscy oficerowie składali podania? Wszystkich zmuszono, żeby zostali, tak jak mnie, prawda?

Ortiz milczał i bawił się, dłubiąc ostrzem szabli w szczelinie kamiennej posadzki.

– A ci, którzy mówili, że sami chcieli zostać, to wszystko bajki? – nalegał Drogo. – I dlaczego nikt nie miał odwagi się przyznać?

– Może niezupełnie jest tak, jak pan mówi – odparł Ortiz. – Niektórzy chcieli naprawdę pozostać, niewielu, przyznaję, ale zawsze...

– Kto? Proszę mi powiedzieć, kto! – rzekł Drogo gwałtownie, potem nagle się powstrzymał. – Och, przepraszam, panie majorze – dodał – naturalnie nie myślałem o panu, wie pan, jak to bywa, kiedy się rozmawia.

Ortiz się uśmiechnął. – Ach, nie mówiłem tego z myślą o sobie. Prawdopodobnie też zostałem z urzędu!

Ruszyli obaj i doszli do małych, podłużnych i okratowanych okien; stąd widać było gołą esplanadę za Fortecą, góry na południu, ciężkie opary kotliny.

– A więc – podjął Drogo po chwili ciszy – wszystkie te entuzjazmy i historie o Tatarach były fałszywe? Tak naprawdę nie mieli żadnej nadziei!

– Ależ mieli nadzieję! – rzekł Ortiz. – Wierzyli faktycznie. Drogo potrząsał głową. – Nie rozumiem, słowo...

– No cóż – rzekł major. – To nieco skomplikowane historie... Tutaj jest trochę jak na wygnaniu, trzeba sobie znaleźć rodzaj ucieczki, trzeba mieć jakąś nadzieję. Na początku komuś strzeliło coś do głowy, a potem już wszyscy zaczęli mówić o Tatarach, nie wiadomo w ogóle, kto zaczął...

Drogo rzekł: – Pewnie i położenie tego miejsca przyczyniło się, bo wpatrywać się w tę pustynię...

– Na pewno także i miejsce... Ta pustynia, mgły na horyzoncie, góry, nie można zaprzeczyć. Także i miejsce się przyczynia, faktycznie.

Zamilkł na chwilę zamyślony, potem znowu podjął, jakby mówiąc do siebie:

– Tatarzy... Tatarzy... Najpierw wydaje się głupota, naturalnie, a potem mimo wszystko zaczyna się wierzyć. Przynajmniej wielu tak się zdarzyło, faktycznie.

– Ale panie majorze, przepraszam, pan...

– Ja to co innego – rzekł Ortiz. – Różnimy się wiekiem. Ja nie mam już pędu do kariery, wystarcza mi spokojne miejsce... Pan natomiast, poruczniku, ma całe życie przed sobą. Za rok, najpóźniej za półtora, zostanie pan przeniesiony...

– A oto Morel, szczęściarz! – wykrzyknął Drogo, zatrzymując się przy okienku. Wzdłuż esplanady rzeczywiście widać było oddalający się pluton. Na tle spalonego przez słońce terenu sylwetki żołnierzy odbijały się wyraźnie. Chociaż obładowani bardzo ciężkimi plecakami, maszerowali raźnie.

XXII

Ostatnia kompania, która miała odjechać, ustawiła się na dziedzińcu. Wszyscy myśleli, że następnego dnia zostanie ostatecznie unormowane nowe życie w zredukowanym garnizonie; a już szczególnie niecierpliwie oczekiwano końca tych ciągłych pożegnań i własnej wściekłości na widok odchodzących. Kompania już się ustawiła i czekała na podpułkownika Nicolosiego, żeby

dokonał przeglądu, kiedy Giovanni Drogo, który uczestniczył w odprawie, ujrzał porucznika Simeoniego, zmienionego na twarzy.

Porucznik Simeoni znajdował się od trzech lat w Fortecy i zdawał się być poczciwym chłopcem, trochę pedantem szanującym władzę i lubującym się w ćwiczeniach fizycznych. Znalazłszy się na dziedzińcu, rozglądał się wokół prawie z obawą, szukając kogoś, komu mógłby coś ważnego powiedzieć. Prawdopodobnie było mu obojętne, kto to będzie, ponieważ nie utrzymywał specjalnych przyjaźni.

Ujrzał Droga, który go obserwował, i zbliżył się do niego.

– Chodź popatrzeć – powiedział cicho. – Szybko, chodź popatrzeć.

– Co takiego? – spytał Drogo.

– Pełnię służbę w trzeciej reducie, wyskoczyłem na chwilę, przyjdź, jak będziesz wolny. Jest coś, czego nie rozumiem. – I lekko dyszał, jakby zmęczony biegiem.

– Gdzie? Co widziałeś? – spytał Drogo z zaciekawionym.

Simeoni rzekł: – Poczekaj chwilę, poczekaj, aż kompania wyruszy.

W tym momencie trąbka wydała potrójny dźwięk i żołnierze stanęli na baczność, albowiem przybył komendant zdegradowanej Fortecy.

– Poczekaj, aż wyruszą – rzekł jeszcze Simeoni, ponieważ Droga niecierpliwiła ta tajemniczość nie mająca uzasadnienia. – Chcę przynajmniej zobaczyć, jak wychodzą. Już od pięciu dni chciałem to powiedzieć, ale niech najpierw wszyscy wyruszą.

W końcu, po krótkich słowach Nicolosiego i ostatnich fanfarach, kompania wyposażona na długi marsz wyszła ciężkim krokiem z Fortecy, kierując się ku kotlinie. Był dzień wrześniowy, a niebo było szare i smutne.

Wtedy Simeoni pociągnął za sobą Droga długimi, pustymi korytarzami aż do wejścia do trzeciej reduty. Minęli kordegardę, stanęli na murach.

Porucznik Simeoni wyciągnął lornetkę i poprosił Droga, by spojrzął w stronę owego małego trójkąta równiny, który można było dostrzec mimo sterczących z przodu gór.

– Co takiego? – spytał Drogo.

– Najpierw spójrz, nie chciałbym się pomylić. Spójrz i powiedz, czy coś widzisz?

Oparłszy łokcie o parapet, Drogo uważnie spojrzał na pustynię przez lornetkę, prywatną własność Simeoniego; bez wysiłku odróżniał kamienie, zapadliny, rzadkie plamy krzaków, chociaż były one wyjątkowo dalekie.

Kawałek po kawałku Drogo lustrował widoczny trójkąt pustyni i już miał powiedzieć, że nie, nie zdołał niczego zobaczyć, kiedy właśnie w głębi, tam gdzie każdy obraz niknął pod stałą zasłoną mgły, zdało mu się, że dostrzega małą, czarną i ruszającą się plamę.

Był jeszcze oparty łokciami o parapet i spoglądał przez lornetkę, gdy poczuł, że jego serce bije z wściekłością. Jak dwa lata temu, pomyślał, kiedy uwierzyliśmy, że nadciąga nieprzyjaciel.

– Chodzi ci o tę czarną plamkę? – spytał Drogo.

– Już pięć dni temu ją zobaczyłem, ale nie chciałem nikomu mówić.

– Dlaczego? – spytał Drogo. – Czego się bałeś?

– Gdybym powiedział, może wstrzymaliby wyjazdy... I w ten sposób, wystawiwszy nas najpierw do wiatru, Morel i inni by pozostali, żeby skorzystać z okazji. Lepiej, aby nas było niewielu.

– Jakiej okazji? O czym ty myślisz? To pewnie jak poprzednio patrol rozpoznawczy albo pasterze, albo po prostu jakieś zwierzę.

– Już od pięciu dni obserwuję – rzekł Simeoni. – Gdyby to byli pasterze, to by odeszli. Tak samo zwierzęta. Coś się rusza, ale zawsze mniej więcej w tym samym miejscu.

– A więc jaka to może być okazja?

Simeoni spojrzał na Droga z uśmiechem, jakby zastanawiając się, czy może mu wyjawiać tajemnicę. Potem rzekł:

– Myślę, że robią drogę, drogę wojskową. Tym razem to nie żarty. Dwa lata temu przysli obejrzeć teren, teraz zbliżają się na serio.

Drogo roześmiał się serdecznie.

– Jaka tam drogę mogą robić? Myślisz, że jeszcze coś nam grozi? Nie miałeś dosyć ostatnim razem?

– Może jesteś krótkowidzem – rzekł Simeoni. – Chyba nie masz dobrego wzroku, ale ja odróżniam bardzo dobrze, zaczęli robić tłuczeń. Wczoraj było słońce i widziałem doskonale.

Drogo potrząsnął głową zdumiony takim uporem. A więc Simeoniego czekanie jeszcze nie zmęczyło? I bał się wyjawić swe odkrycie, jakby to był skarb. Bał się, że mu go zabiorą?

– Kiedyś – rzekł Drogo – kiedyś i ja bym uwierzył. Ale teraz wydaje mi się, że się łudzisz. Na twoim miejscu siedziałbym cicho, bo cię wyśmieją.

– Robią drogę, ot co – odparł Simeoni, patrząc na Droga ze współczuciem. – Zajmie im to miesiące, jasne, ale tym razem to nie żarty.

– Ale gdyby nawet – rzekł Drogo – tak było, jak mówisz, gdyby naprawdę robili drogę, by ściągnąć artylerię z północy, to czy zostawiono by Fortecę bez ludzi? Wiedzieliby o tym w Sztabie Głównym, wiedzieliby od lat.

– Sztab Główny nigdy nie bierze serio Fortecy Bastiani; dopóki jej nie zbombardują, nikt nie uwierzy w takie historie... Przekonają się, jak będzie za późno.

– Mów, co chcesz – powtórzył Drogo. – Gdyby rzeczywiście robiono drogę, to Sztab Główny byłby poinformowany, możesz być pewny.

– Sztab Główny ma tysiące informacji, ale na tysiąc jedna jest dobra, więc nie wierzy w żadną. Zresztą niepotrzebnie dyskutujemy, zobaczysz, czy nie będzie tak, jak mówię.

Stali sami na murach. Wartownicy, dużo bardziej oddaleni niż kiedyś, kroczyli tam i z powrotem po wyznaczonym odcinku. Drogo spojrział jeszcze na północ: skały, pustynia, mgła na horyzoncie, wszystko wydało mu się pozbawione sensu.

Potem, rozmawiając z Ortizem, Drogo dowiedział się, że słynną tajemnicę porucznika Simeoniego wszyscy znali. Nikt jednak nie przykładał do niej wagi. Wielu nawet się dziwiło, że młodzieniec tak poważny jak Simeoni puścił w obieg nowe plotki.

W tych dniach trzeba było myśleć o czym innym. Zmniejszenie personelu zmuszało do zmniejszenia liczby posterunków na murach i próbowano zorganizować mniejszymi środkami służbę zapewniającą bezpieczeństwo prawie tak skutecznie jak przedtem. Trzeba było zlikwidować

kilka kordegard, przygotować inne z większym wyposażeniem, na nowo utworzyć kompanie i rozdzielić je po pokojach.

Po raz pierwszy, odkąd zbudowano Fortecę, niektóre pomieszczenia zostały zamknięte i zaryglowane. Krawiec Prosdocimo musiał pozbyć się trzech pomocników, gdyż nie starczało pracy. Od czasu do czasu wchodziło się do pokojów lub kancelarii zupełnie pustych, z białymi plamami na ścianach po wyniesionych meblach i obrazach.

Czarny punkcik poruszający się na skraju równiny nadal był uważany za żart. Niewielu pożyczało lornetkę od Simeoniego, żeby popatrzeć, i nawet ci nieliczni mówili, że niczego nie dostrzegli. Sam Simeoni, jako że nikt go nie brał poważnie, przestał mówić o swym odkryciu i na wszelki wypadek śmiał się z niego.

Po czym pewnego wieczora Simeoni udał się do pokoju Droga, żeby go wywołać. Już zapadła noc i dokonano zmiany warty. Smutny oddziałik powrócił z Nowej Reduty i Forteca przygotowywała się do czuwania: kolejna noc niepotrzebnie zmarnowana.

– Chodź zobaczyć, skoro nie wierzysz, chodź zobaczyć – mówił Simeoni.
– Albo mam halucynacje, albo naprawdę widać światło.

Poszli sprawdzić. Wyszli na mury na wysokości czwartej reduty. W ciemności kolega dał Drogowi lornetkę, żeby popatrzeć.

– Ale jest ciemno! – rzekł Giovanni. – Co można zobaczyć w tej ciemności?

– Patrz – nalegał Simeoni. – Mówię ci, że nie wiem, czy to nie jest halucynacja. Patrz tam, gdzie ci kiedyś pokazałem, powiedz, czy coś widzisz.

Drogo podniósł lornetkę do prawego oka, skierował ją w stronę dalekiej północy, zobaczył w ciemności małe światło, nieskończenie mały punkcik światła błyszczący i niknący na skraju mgieł.

– Światło! – krzyknął Drogo. – Widzę mały punkcik... poczekaj... – I nadal dopasowywał lornetkę do oczu – ...Trudno powiedzieć, czy jeden, czy więcej, czasami wydaje się, że dwa.

– No i widzisz? – spytał triumfalnie Simeoni. – Czy to ja jestem kretynem?

– A co to ma do rzeczy? – odparł Drogo niezbyt przekonany. – Co z tego, że jest światło? Może to obozowisko Cyganów lub pasterzy.

– To światło z terenu robót – odparł Simeoni. – Robót przy budowie nowej drogi. Zobaczysz, czy nie mam racji.

Gołym okiem, chociaż to dziwne, nie można było dostrzec światła. Nawet wartownicy (a niektórzy byli znakomici także jako myśliwi) nie zdołali niczego zauważyć.

Drogo skierował raz jeszcze lornetkę, odszukał odległe światło, patrzył na nie przez chwilę, potem podniósł instrument i z ciekawością oglądał gwiazdy. W nieskończonej ilości wypełniały wszystkie części nieba i cieszyły oko. Na wschodzie jednak były rzadsze, gdyż, poprzedzony słabym blaskiem, za chwilę miał się ukazać księżyc.

– Simeoni! – krzyknął Drogo, nie widząc kolegi. Ale tamten nie odpowiedział; zapewne poszedł skontrolować służbę wartowników.

Drogo rozejrzał się wokół. W ciemności odróżniał tylko pusty odcinek drogi nocnego patrolu, zarys fortyfikacji, ciemny cień gór. Doszło do niego bicie zegara. Ostatni wartownik z prawej powinien wydać okrzyk nocny. Od żołnierza do żołnierza głos pobiegł wzdłuż murów. – Czuj duch! czuj duch! – Potem wezwanie odbędzie drogę powrotną, znikając u podnóża wielkich skał. Teraz, kiedy zmniejszono warty – myślał Drogo – głos, ze względu na mniejszą ilość powtórzeń, przebędzie drogę znacznie szybciej. Tymczasem nadal trwała cisza.

Wtedy nagle Drogowi przyszły do głowy myśli o świecie upragnionym i dalekim, na przykład o pałacu nad brzegiem morza w ciepłą letnią noc, o wdzięcznych stworzeniach siedzących obok – słuchanie muzyki, obrazy szczęścia, o których młodość pozwalała myśleć bezkarnie, a tymczasem skraj morza na wschodzie robi się coraz wyraźniejszy i ciemniejszy, niebo zaś zaczyna blednąć pod wpływem nadciągającego świtu. Marnotrawić noc, nie kładąc się spać, nie bać się, że za późno, czekać na wschód słońca, smakować nieskończoność czasu, jaki się ma przed sobą, i nie martwić się. Wśród tylu pięknych rzeczy na świecie Giovanni akurat pragnie nieprawdopodobnego pałacu nad morzem, muzyki, upływu czasu, oczekiwania na świt. Może i głupie, jednak wydawało mu się, że to wszystko w sposób najintensywniejszy wyraża ów spokój, który utracił. Od jakiegoś czasu faktycznie niezrozumiały niepokój prześladował go bez wytchnienia: wrażenie, że nie zdąży na czas, że coś ważnego się wydarzy i nagle go zaskoczy.

Rozmowa z generałem, tam w mieście, pozostawiła mu mało nadziei na przeniesienie i błyskotliwą karierę, ale Giovanni i tak wiedział, że nie może całe życie zostać wśród murów Fortecy. Prędzej czy później coś trzeba postanowić. Potem przyzwyczajenia wciągały go w codzienny rytm i Drogo nie myślał już o innych, o kolegach, którzy w porę uciekli, i starych przyjaciółach, coraz bogatszych i słynniejszych; pocieszał się na widok oficerów żyjących – podobnie jak on – na tym samym wygnaniu, nie podejrzewając, że mogli być słabi lub zwyciężeni: przykład nie do naśladowania.

Z dnia na dzień Drogo odkładał decyzję, zresztą czuł się jeszcze młody, miał zaledwie dwadzieścia pięć lat. Ów lekki niepokój szedł jednak za nim bez wytchnienia; poza tym krążyła znów wieść o świetle na równinie północnej. Może jednak Simeoni miał rację?

Niewielu mówiło o tym w Fortecy, jako że sprawa była bez znaczenia i nie mogła ich dotyczyć. Zbyt bliskie było rozczarowanie wojną, do której nie doszło, chociaż nikt nie miał odwagi tego wyznać. I zbyt świeża udręka na widok odjeżdżających kolegów, zwłaszcza że zostało ich niewielu, i zapomnianych, do strzeżenia niepotrzebnych murów. Redukcja garnizonu wykazała jasno, że Sztab Generalny nie przywiązywał wagi do Fortecy Bastiani. Złudzenia, niegdyś tak łatwe i pożądane, odrzucano teraz z gniewem. Simeoni chcąc uniknąć szyderstw, wołał milczeć.

Zresztą podczas kolejnych nocy nie było już widać tajemniczego światła. Również w świetle dziennym nie zdołano dostrzec najmniejszego ruchu na skraju równiny. Major Matti, z ciekawości wyszedłszy na mury, wziął lornetkę od Simeoniego, ale na próżno przyglądał się pustyni.

– Schowaj sobie, poruczniku, tę lornetkę – rzekł potem obojętnym tonem do Simeoniego. – Zamiast psuć sobie niepotrzebnie oczy, niech pan raczej dopilnuje swoich ludzi. Widziałem wartownika bez pasa. Proszę zobaczyć: tamten w głębi.

Razem z Mattim był porucznik Maderna, który potem opowiedział całą historię w kantynie wśród wielkiego śmiechu. Odtąd wszyscy próbowali wyłącznie jak najwygodniej spędzić dni i sprawa Północy została zapomniana.

Simeoni tylko z Drogiem nadal mówił o tajemnicy. Od czterech dni rzeczywiście nie widziano ani światła, ani plam w ruchu, ale piątego ukazały się na nowo. Mgły północne – usiłował tłumaczyć Simeoni – podchodziły lub

wycofywały się zależnie od pory roku, wiatru i temperatury; przez owe cztery dni zeszyły w stronę południa, zasłaniając domniemany teren budowy.

I nie tylko znowu ukazało się światło, ale mniej więcej po upływie tygodnia Simeoni zaczął utrzymywać, że się przesunęło, zbliżając się w stronę Fortecy. Tym razem Drogo zaprzeczył: jak to było możliwe, żeby w ciemnościach nocy, bez punktu odniesienia, ustalić podobny ruch, nawet jeśli rzeczywiście się odbył?

– Właśnie – mówił z uporem Simeoni. – Uważasz, że nie sposób z całą pewnością wykazać, że światło się przesunęło. Mam więc tyle racji, mówiąc, że się poruszyło, co ty, kiedy twierdzisz, iż pozostało na miejscu. Zresztą zobaczysz: przez wszystkie dni chcę obserwować poruszające się punkciki; zobaczysz, że powoli się zbliżą.

Następnego dnia zaczęli obserwować razem, zmieniając się przy lornetce. Naprawdę widziało się tylko trzy lub cztery malusieńkie plamki, które się przesunęły bardzo powoli. Zresztą trudno było dostrzec ich ruchy. Należało wziąć dwa, trzy punkty odniesienia, cień głazu, szczyt jakiegoś wzgórzka, i ustalić wzajemną odległość. Po kilku minutach widzieli, że owa odległość się zmieniła. Znak, że punkcik zmienił pozycję.

Było wprost nadzwyczajne, że Simeoni mógł je zauważyć po raz pierwszy. Niewykluczone, że zjawisko powtarzało się od lat lub wieków; mogła tam być wioska lub studnia, przy której karawany rozbijały namioty, tylko że dotychczas nikt w Fortecy nie posługiwał się lornetką tak silną jak Simeoni.

Przesunięcie plameczek zdarzało się prawie zawsze na tej samej linii: w górę i w dół. Simeoni uważał, że to wozy do transportu kamieni lub żwiru; ludzie – mówił – byliby zbyt mali z tej odległości, żeby ich można było zobaczyć.

Zazwyczaj dostrzegano tylko trzy lub cztery punkciki w stałym ruchu. Przyjmując, że to wozy – rozumował Simeoni – trzy poruszały się, a co najmniej sześć było nieruchomych, do ładowania i wyładowywania, i tych sześciu nie można było zidentyfikować: myliły się z tysiącem innych nieruchomych plam pejzażu. Na tym jednym odcinku manewrowało więc z dziesięć pojazdów, prawdopodobnie każdy w cztery konie, jak zwykle do ciężkich transportów. Ludzi, sądząc z proporcji, musiały być setki.

Owe obserwacje, początkowo podejmowane prawie dla zakładu i zabawy, stały się jedynym interesującym elementem życia Droga. Chociaż Simeoni, rzadko wesoły, a często pedantycznie perorujący, nie był mu specjalnie sympatyczny, Giovanni w godzinach wolnych przebywał prawie zawsze z nim i wieczorem w sali dla oficerów obaj rozmawiali ze sobą do późnych godzin.

Simeoni obliczał już z góry. Przyjmując, że prace przebiegać będą wolno, a dystans byłby większy od ogólnie przyjętego, starczyłoby sześć miesięcy, mówił, żeby droga się zbliżyła na odległość strzału armatniego z Fortecy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa – myślał – nieprzyjaciel zatrzyma się za występem terenu przecinającym w poprzek pustynię.

Ów występ zazwyczaj mylił się z resztą równiny, ponieważ był w identycznym kolorze, ale niekiedy cienie wieczorne lub zwoje mgły ujawniały jego obecność. Opadał w stronę północy i nie było wiadomo, czy jest stromy ani jaki ma zasięg; Nieznany był więc odcinek pustyni, który zasłaniał oczom patrzącego z Nowej Reduty (z murów fortu, ze względu na góry sterczące z przodu, występ nie był widoczny).

Z górnej krawędzi owego występu aż do stóp gór, tam gdzie się wznosił skalisty stożek Nowej Reduty, pustynia ciągnęła się jednolicie i płasko, przerywana jedynie jakąś szczeliną, kępami chwastów, krótkimi pasmami trzciniśka.

Doprowadziwszy drogę do skalnego występu – przewidywał Simeoni – nieprzyjaciele mogliby bez trudu przebyć pozostały odcinek prawie jednym skokiem, korzystając z pochmurnej nocy. Teren był wystarczająco gładki i twardy, żeby również artyleria zdołała wygodnie się przedostać.

Sześć miesięcy przewidywanych jako maksimum – dodawał porucznik – mogło jednak zamienić się w siedem, osiem i dużo więcej zależnie od okoliczności. I Simeoni wyliczał możliwe przyczyny opóźnienia: błąd w obliczeniu całej odległości pozostającej do przebycia; istnienie mniejszych kotlin niewidocznych z Nowej Reduty, gdzie prace byłyby dłuższe i trudniejsze; rosnące opóźnienie budowy, w miarę jak cudzoziemcy oddalali się od źródła zaopatrzenia; komplikacje o charakterze politycznym skłaniające do zawieszenia pracy na pewien okres; śnieg, który mógłby sparaliżować całkowicie prace na dwa lub więcej miesięcy; deszcze mogące zamienić równinę w bagno. Oto przeszkody główne. Simeoni zwykł je analizować szczegółowo jedne po drugich, aby nie sprawić wrażenia pomyłonego.

A gdyby budowa drogi nie wiązała się z agresywną intencją? Jeśli na przykład została zbudowana dla celów rolniczych lub dla uprawy olbrzymiego wrzosowiska dotychczas bezpłodnego i niezamieszkanego? Albo po prostu, gdyby prace zatrzymały się po jednym lub dwóch kilometrach? – pytał Drogo.

Simeoni potrząsał głową. Pustynia była zbyt skalista, aby można ją było uprawiać, odpowiadał. Królestwo Północy miało zresztą ogromne, opuszczone łąki służące tylko jako pastwiska; ten teren byłby więc bardziej odpowiedni dla podobnego rodzaju przedsięwzięcia.

Ale kto powiedział, że obcokrajowcy naprawdę budowali drogę? Simeoni zapewniał, że w jasne dni przy zachodzie słońca, kiedy cienie bardzo się wydłużają, dostrzega prosto biegnące pasmo tłucznia. Drogo niczego jednak nie widział, chociaż bardzo się starał. Kto mógł przysiąc, że to proste pasmo nie było zwykłą fałdą terenu? Ruch tajemniczych czarnych punkcików i zapalone nocą światło nie bardzo przekonywały; może były tam zawsze, a w ciągu ostatnich lat nikt ich, przesłoniętych mgłami, nie dojrzał? (Nie mówiąc już o nieskuteczności starych lornetek dotąd jeszcze używanych w Fortecy).

Gdy pewnego dnia Drogo i Simeoni właśnie ze sobą dyskutowali, nagle zaczął padać śnieg. Jeszcze się nie skończyło lato – oto pierwsza myśl Giovanniego – i już nadeszła brzydka pora roku. Wydawało się, że faktycznie dopiero co wrócił z miasta, i jeszcze nie miał czasu urządzić się tak jak przedtem. Jednak w kalendarzu widniał 25 listopada, upłynęły więc całe miesiące.

Bardzo gęsty śnieg padał z nieba i kładł się białą warstwą na tarasach. Patrząc nań, Drogo jeszcze silniej odczuł znany mu niepokój i na próżno usiłował go przepędzić, myśląc o swym młodym wieku i o wielu latach życia, jakiego czekają. Czas – w sposób niewytłumaczalny – zaczął biec coraz szybciej, pochłaniając dni jedne po drugich. Wystarczało rozejrzeć się wokół i już zapadała noc, słońce kryło się za widnokretem i wstawało z drugiej strony, aby ukazać oczom świat pełen śniegu.

Inni koledzy zdawali się tego nie dostrzegać. Wykonywali zwykłą służbę bez entuzjazmu, cieszyli się nawet, gdy w rozkazach dziennych pojawiała się nazwa nowego miesiąca: jakby coś na tym zarobili. O jeden miesiąc mniej do spędzenia w Fortecy Bastiani – liczyli. Mieli więc punkt docelowy, mierny czy pełen chwały, którym umieli się zadowolić.

Nawet major Ortiz, który miał już pod pięćdziesiątkę, patrzył apatycznie na ucieczkę dni i miesięcy. Zrezygnował z wielkich nadziei i – jeszcze dziesięć lat – mówił – a potem idę na emeryturę. – Wróci do swego domu w starym prowincjonalnym mieście – tłumaczył – gdzie żyło kilku jego krewnych. Drogo spoglądał na niego z sympatią, choć go nie rozumiał. Co Ortiz będzie robił tam wśród mieszczuchów, bez żadnego celu, sam?

– Zadowolam się tym, co mam – mówił major, jakby odczytując myśli Giovanniego. – Z roku na rok nauczyłem się pragnąć coraz mniej. Jak dobrze pójdzie, to wrócę do domu w stopniu pułkownika.

– A potem? – pytał Drogo.

– Potem nic – odparł Ortiz ze zrezygnowanym uśmiechem. – Potem jeszcze poczekam... rad z wypełnionego obowiązku – zakończył żartobliwie.

– Ale w Fortecy przez te dziesięć lat, czy nie myśli pan, że...

– Wojna? Jeszcze pan myśli o wojnie? Czyż nie mieliśmy jej dosyć? Na równinie północnej, na skraju odwiecznych mgieł, nie widać było nic podejrzanego; nawet nocne światło zgasło. A Simeoni bardzo był z tego zadowolony. Okazało się, że miał rację: nie chodziło wcale o wioskę ani obóz Cyganów, ale o prace, które przerwano z powodu śniegu.

XXIII

Zima od kilku już dni gościła w Fortecy, gdy w rozkazie dziennym (umocowanym do ramy wiszącej na ścianie dziedzińca) przeczytano dziwny komunikat.

Godne ubolewania alarmy i fałszywe pogłoski – pisano. „W oparciu o dokładne zalecenie Naczelnego Dowództwa wzywam podoficerów, chorążych i żołnierzy, aby nie wierzyli, nie powtarzali ani nie rozpowszechniali alarmujących pogłosek pozbawionych jakiegokolwiek uzasadnienia o domniemanej groźbie agresji na nasze granice. Owe pogłoski, nie tylko niekorzystne ze względu na oczywiste motywy dyscyplinarne, mogą ponadto zakłócić normalne stosunki dobrego sąsiedztwa z Państwem Przygranicznym oraz szerzyć wśród wojska niepotrzebną nerwowość, szkodliwą dla przebiegu służby. Pragnę, aby czujność straży egzekwowano normalnymi środkami, a

zwłaszcza, by się nie uciekano do instrumentów optycznych zakazanych regulaminem, które często używane bez rozeznania, stwarzają okazję do błędów i fałszywych interpretacji. Każdy posiadający takowe, instrumenty będzie musiał się zgłosić do odpowiedniego Dowództwa Oddziału, które dopilnuje wycofania ich i złożenia do depozytu”.

Następowały jeszcze zwyczajne zarządzenia dotyczące codziennego sprawowania straży oraz podpis dowódcy, podpułkownika Nicolosiego.

Było oczywiste, że rozkaz dzienny, formalnie skierowany do żołnierzy, w rzeczywistości przeznaczony był dla oficerów. W ten sposób Nicolosi osiągnął podwójny cel: nikogo nie uraził i poinformował o wszystkim całą Fortecę. Na pewno nikt z oficerów nie ośmielił się już pokazać wartownikom w momencie, kiedy spoglądała na pustynię nieregulaminową lornetką. Instrumenty przydzielone różnym redutom były stare, praktycznie nie do użytku, parę nawet zgubiono.

Ale kto szpiegował? Kto ostrzegł w mieście Naczelne Dowództwo? Wszyscy instynktownie myśleli o Mattim, tylko on jeden mógł to zrobić: zawsze z regulaminem w dłoni, żeby wszystkim psuć nastrój i niweczyć próby indywidualnej inicjatywy.

Większość oficerów zbyt nie przejęła. Naczelne Dowództwo – mówili – nikogo nie zaskoczyło, interweniując z dwuletnim opóźnieniem. Bo czy ktoś myślał poważnie o inwazji z północy? Ach, tak, Drogo i Simeoni (zupełnie zapomnieli o nich). Wydawało się jednak niewiarygodne, żeby rozkaz dzienny mógł zostać sporządzony specjalnie dla nich obu. Taki porządny chłopak jak Drogo – myśleli – na pewno nie mógł zagrażać nikomu, nawet gdyby przez cały boży dzień chodził z lornetką. Również Simeoniego uważano za nieszkodliwego.

Natomiast Giovanni miał instynktowną pewność, że rozkaz podpułkownika dotyczył go osobiście. Jeszcze raz życie dziwnie obracało się przeciw niemu. Czy było co złego w tym, że przez kilka godzin obserwował pustynię? Dlaczego pozbawiać go tej pociechy? Gdy o tym myślał, czuł, że wzbiera w nim głęboki gniew. A już się przygotowywał na oczekiwanie wiosny: zaledwie roztopi się śnieg – miał nadzieję – na dalekiej północy ukaże się tajemnicze światło, zaś czarne punkciki znów zaczną się poruszać w górę i w dół. I znów się odrodzi nadzieja.

Rzeczywiście, całe jego życie uczuciowe wiązało się z ową nadzieją, a pozostał mu tylko Simeoni; inni nawet nie myśleli o tej sprawie: ani Ortiz,

ani główny krawiec Prosdocimo. Było w tym coś pięknego, że tak samotnie i zazdrośnie strzegli tajemnicy, nie jak w tamte dawne dni, zanim umarł Augustina, kiedy wszyscy patrzyli na siebie jak spiskowcy z czymś w rodzaju zaborczej rywalizacji.

Ale teraz korzystanie z lornetki zostało zakazane. Simeoni, zawsze taki sumienny, z pewnością nie odważy się jej używać. Jeśli nawet światło pojawi się znowu na granicy odwiecznych mgieł, nawet jeśli ponownie się zacznie krzątanina małych plamek, oni i tak nic już nie będą o tym wiedzieć: gołym okiem nikt nic nie zauważy, nawet najlepsi myśliwi umiejący dostrzec kruka z odległości większej niż kilometr.

Z lękiem myślał Drogo tego dnia, co powie Simeoni, ale czekał aż do wieczora, aby nie zwrócić niczyjej uwagi, bo ktoś na pewno natychmiast pobiegłby z donosem. Tenże Simeoni zresztą nie przyszedł w południe do kantyny, a Giovanni nigdzie go nie zauważył.

Pojawił się dopiero podczas kolacji, ale później niż zazwyczaj, kiedy Drogo już jadł. Skończył bardzo szybko, wstał przed Giovannim i od razu podbiegł do stołu gry. Czy bał się, że zostanie sam na sam z Drogiem?

Owego wieczora obaj nie mieli służby. Giovanni usiadł w fotelu obok drzwi prowadzących do sal, aby móc podejść do kolegi, kiedy będzie wychodził. Zauważył też, że Simeoni podczas gry przelotnie na niego spojrzął, starając się, żeby Drogo tego nie dostrzegł.

Simeoni grał do późna; znacznie dłużej niż zwykle: jak nigdy dotąd. Nadal zerkał w stronę drzwi, widocznie w nadziei, że Drogo zmęczy się czekaniem. W końcu, kiedy wszyscy już poszli, też musiał wstać i skierować się do wyjścia. Drogo natychmiast stanął obok niego.

– Cześć, Drogo – rzekł Simeoni z zakłopotanym uśmiechem. – Nie widziałem ciebie. Gdzie byłeś?

Ruszyli jednym z wielu ponurych korytarzy ciągnących się wzdłuż korpusu Fortecy,

– Usiadłem, żeby poczytać – rzekł Drogo. – Nawet nie zauważyłem, że tak późno.

Chwilę kroczyli w milczeniu wśród odblasków rzadkich latarni symetrycznie zawieszonych na obu ścianach. Grupa oficerów już się

oddaliła, słyhać było tylko niewyraźne głosy dochodzące z dalekiego półmroku. Była głęboka, zimna noc.

– Czytałeś rozkaz dzienny? – spytał nagle Drogo. – Zwróciłeś uwagę na tę historię o fałszywych alarmach? Co to wszystko znaczy? Ale kto doniósł?

– Skąd mogę wiedzieć? – odparł prawie niegrzecznie Simeoni, zatrzymując się u podnóża schodów. – Wchodzisz?

– A lornetka? – nalegał Drogo. – Nie będzie już można używać lornetki co najmniej...

– Zdeponowałem ją w Dowództwie – przerwał poważnie Simeoni. – Pomyślałem, że tak będzie najlepiej. Zwłaszcza że mieli nas na oku.

– Moim zdaniem można było z tym poczekać. Za jakieś trzy miesiące, gdy nie będzie już śniegu, nikt nie będzie o tym pamiętał i znów moglibyśmy kontynuować obserwacje. W jaki sposób będziemy mogli zobaczyć drogę bez lornetki?

– Ech, droga! – i w głosie Simeoniego zabrzmiało coś w rodzaju ubolewania. – W końcu przekonałem się, że miałeś rację.

– Że ja miałem rację, jak to?

– Bo nie budują drogi. To musi być jakaś wioska lub obóz Cyganów, tak jak mówiłeś.

Czy aż tak bardzo się bał Simeoni, że wszystkiego się wyparł?

Pragnąc uniknąć przykrości, nawet z nim, Drogiem, nie chciał szczerze rozmawiać? Giovanni spojrzał koledze w oczy. Korytarz był zupełnie pusty, nie było słyhać żadnego głosu, cienie obu oficerów odbijały się, olbrzymie, z jednej i drugiej strony, falując.

– Nie wierzysz już, powiadasz? – spytał Drogo. – Myślisz poważnie, że się omyliłeś? A wszystkie robione przez ciebie rachuby?

– To tylko dla zabicia czasu – odparł Simeoni, próbując wszystko obrócić w żart. – Nie wzięłeś tego na serio, mam nadzieję.

– Boisz się, powiedz prawdę – rzekł Drogo nieprzyjemnym głosem. – z powodu rozkazu dziennego. Powiedz prawdę: masz po prostu pietra.

– Nie wiem, czego się czepiasz – odparł Simeoni. – Nie wiem, co chcesz powiedzieć. Nie można z tobą żartować, wszystko bierzesz poważnie jak dziecko.

Drogo zamilkł i zaczął mu się przyglądać. Trwali tak kilka chwil w milczeniu w ponurym korytarzu, ale cisza była zbyt wielka.

– No dobrze, idę spać – zakończył Simeoni. – Dobrej nocy! – i ruszył schodami również oświetlonymi skąpową latarnią na każdym podeście. Simeoni wszedł w pierwszy zakręt schodów, zniknął za rogiem, widać było tylko jego cień na ścianie, a potem nawet cień już zniknął. Co za nędzny robak, pomyślał Drogo.

XXIV

Czas upływał, życie bezgłośnie odmierzało jego rytm, coraz szybszy i nie można się było zatrzymać ani na chwilę, nawet rzucić okiem do tyłu. „Zatrzymaj się, zatrzymaj!”, chciałoby się krzyknąć, ale wiadomo, że to nic nie pomoże. Wszystko przemija: ludzie, pory roku, chmury, i nie pomaga chwytanie się kamieni, trzymanie się na szczycie jakiejś skały, gdyż zmęczone palce rozwierają się, ramiona słabną bezwładne i znów porywa nas rzeka, która sprawia wrażenie powolnej, ale nigdy się nie zatrzymuje.

Dzień po dniu Drogo czuł coraz wyraźniej, jak narasta owa tajemnicza ruina, i na próżno usiłował ją powstrzymać. W jednostajnym życiu Fortecy brakowało punktów odniesienia i godziny uciekały szybciej, niż mógł je policzyć.

Pozostawała jeszcze utajona nadzieja, na którą Drogo roztrwonił najlepszą część życia. Aby ją podsycać, lekkim sercem poświęcał całe miesiące i ciągle jeszcze nie wystarczało. Zima, długa zima Fortecy, była tylko czymś w rodzaju zaliczki. Skończyła się zima, a Drogo nadal czekał.

Z nadejściem wiosny – myślał – cudzoziemcy wznowią prace nad drogą. Nie miał już jednak dostępu do lornetki Simeoniego, dzięki której można było wszystko zobaczyć. Niemniej wraz z postępem prac – ale kto wie, ile jeszcze czasu będzie im potrzeba – cudzoziemcy zbliżą się, i pewnego pięknego dnia obejmie ich zasięg starych lornetek pozostawionych w wyposażeniu straży.

Dlatego Drogo wyznaczył termin oczekiwania nie na wiosnę, ale na kilka miesięcy później, ciągle podtrzymując hipotezę, że cudzoziemcy naprawdę budują drogę. Niestety, musiał się nosić z tymi myślami w tajemnicy, gdyż Simeoni, bojąc się kłopotów, nic nie chciał o tym wiedzieć; inni koledzy zapewne zaczęliby sobie pokpiwać z niego, przełożeni zaś nie pochwalali fantazji podobnego rodzaju.

Na początku maja, chociaż spoglądał na równinę najlepszą z regulaminowych lornetek, Giovanni nie zdołał jeszcze dostrzec najmniejszej oznaki działalności ludzkiej; nawet nocnego światła, a przecież ogień można łatwo zobaczyć już z olbrzymiej odległości.

Powoli jego wiara zaczynała słabnąć. Trudno wierzyć w cokolwiek, kiedy jest się samemu i nie można z nikim o tym porozmawiać. Właśnie w tym czasie Drogo zauważył, że ludzie, nawet jeśli się kochają, zawsze pozostają sobie dalecy; że jeśli ktoś cierpi, to ból należy tylko do niego i nikt inny nie może odeń przejąć nawet najmniejszej części; że jeśli ktoś cierpi, inni tego nie odczuwają, nawet gdy ich miłość jest wielka, i stąd pochodzi samotność w życiu.

Wiara zaczynała maleć, a niecierpliwość rosła, i Drogo czuł, jak uderzenia zegara stawały się coraz częstsze. Obecnie spędzał całe dni, nawet nie rzuciwszy okiem na północ (choć chętnie się oszukiwał i przekonywał, jakoby zapomniał, podczas gdy naprawdę umyślnie tak postępował, aby mieć więcej prawdopodobieństwa na następny raz).

Wreszcie pewnego wieczora – ale ile czasu wprzód musiał czekać – drżące światełko ukazało się w soczewce lornetki, słabe światło, które wydawało się drżeć i zanikać, a tymczasem powinno być, biorąc pod uwagę odległość, oświetleniem dosyć znacznym.

Była noc 7 lipca. Drogo latami jeszcze pamiętał cudowną radość, która wtedy wypełniła jego jestestwo; chciał biec i krzyczeć, żeby wszyscy wiedzieli, ale dokonywał dumnego wysiłku i nic nikomu nie mówił z powodu przesądnej obawy, że światło zniknie.

Każdego wieczora Drogo czekał na murach i każdego wieczora światełko zdawało się nieco przybliżać i powiększać. Nieraz musiało być tylko przywidzeniem zrodzonym z silnego pragnienia, innymi razy jednak wyraźnie rosło, aż w końcu któryś z wartowników zauważył je gołym okiem.

Potem zaczęto dostrzegać – również w ciągu dnia – na białawym tle pustyni jakiś ruch małych, czarnych punkcików, jak rok temu, tyle tylko że teraz lornetka była słabsza, i dlatego cudzoziemcy musieli znajdować się już bliżej.

We wrześniu światło domniemanego terenu budowy dostrzegali wyraźnie w pogodne noce nawet ludzie ze zwyczajnym wzrokiem. Stopniowo wśród wojskowych znów zaczęto rozmawiać o równinie północnej, o obcokrajowcach, dziwnym ruchu i nocnych światłach. Wielu mówiło, że była to droga, jednak nie umieli wyjaśnić jej celu; hipoteza o pracach wojskowych wydawała się absurdalna. Zresztą prace zdawały się postępować z wyjątkową powolnością w stosunku do wielkiej odległości, jaka jeszcze pozostawała.

Jednak pewnego wieczora usłyszano, jak ktoś w ogólnikowych słowach mówił o wojnie, i dziwne nadzieje znów zaczęły wypełniać mury Fortecy.

XXV

Na szczycie występu przecinającego w poprzek równinę północną w odległości kilometra od Fortecy został umieszczony pal. Stamtąd aż do skalistego stożka Nowej Reduty teren pustyni jest jednolity i twardy, pozwalający artylerii swobodnie się poruszać. Pal został wbity na wyższej krawędzi występu: szczególny znak ludzkiej działalności, który doskonale widać również gołym okiem ze szczytu Nowej Reduty.

Aż dotąd dotarli obcokrajowcy ze swoją drogą. Wykonano w końcu ogromną pracę, ale za jaką straszliwą cenę! Porucznik Simeoni obliczył niegdyś: sześć miesięcy, powiadał. Ale sześć miesięcy nie wystarczyło. Ani sześć, ani osiem, ani dziesięć. Droga została ukończona. Konwoje nieprzyjaciela mogą nadejść z północy szybkim galopem i dotrzeć do murów Fortecy; potem tylko przebyć ostatni odcinek, kilkaset metrów terenu gładkiego i wygodnego, ale to wszystko drogo ich kosztowało. Trzeba było piętnastu lat, piętnastu bardzo długich lat, które jednak upłynęły jak sen.

Jeśli spojrzeć wkoło, to wydaje się, że nic się nie zmieniło. Góry pozostały identyczne, na ścianach Fortecy ciągle widać te same plamy, może jest i jakaś nowa, ale niepozornych rozmiarów. Takie samo niebo i Pustynia

Tatarów, jeśli nie brać pod uwagę owego czarniawego pala na krawędzi występu i prostej wstęgi widocznej lub nie w zależności od światła, którą jest słynna droga.

Piętnaście lat dla gór to mniej niż nic i bastionom fortu też nie wyrządziły one większej szkody. Ale dla ludzi były długą drogą, choć trudno pojąć, że przeszły tak szybko. Twarze zawsze te same, prawie; przyzwyczajenia się nie zmieniły. Ani strażę, ani rozmowy, jakie oficerowie prowadzą każdego wieczora.

Jeśli popatrzeć jednak z bliska, na twarzach można rozpoznać ślady czasu. Skład garnizonu został jeszcze zmniejszony, długie odcinki murów są nieobsadzone i można do nich podejść bez hasła, i tylko do najważniejszych punktów przydzielono grupy strażników. Postanowiono nawet zamknąć Nową Redutę i wysyłać tylko co dziesięć dni oddział na inspekcję; takie małe znaczenie przywiązuje teraz Dowództwo Naczelne do Fortecy Bastiani.

Sztab Główny rzeczywiście nie brał poważnie budowy drogi na równinie północnej. Niektórzy powiadają, że to jedna ze zwykłych nieścisłości Dowództw Wojskowych, a inni mówią, że w stolicy są na pewno lepiej poinformowani; oczywiście wynika stąd, że droga nie jest zbudowana w celu agresji, zresztą nie mają innego wyjaśnienia, chociaż to właśnie mało przekonuje.

Życie w Fortecy zrobiło się jeszcze bardziej monotonne i samotne; podpułkownik Nicolosi, major Monti, podpułkownik Matti poszli na emeryturę. Obecnie garnizonem dowodzi podpułkownik Ortiz. Wszyscy inni, wyjąwszy głównego krawca Prosdocima, który nadal jest sierżantem, zostali też awansowani.

Pewnego przepięknego wrześnieowego ranka Drogo, kapitan Giovanni Drogo, znowu wspina się konno stromą drogą prowadzącą od równiny do Fortecy Bastiani. Otrzymał miesiąc urlopu, ale po dwudziestu dniach już wraca; miasto stało mu się zupełnie obce, a starzy przyjaciele dawno już utorowali sobie drogę, zajmując ważne stanowiska, i teraz pozdrawiają go pospiesznie jak pierwszego lepszego oficera. Także dom, który Drogo nadal kocha, wypełnia jego serce, kiedy tam wraca, bólem trudnym do wypowiedzenia. Za każdym razem dom jest prawie pusty, pokój mamy na zawsze opustoszał, bracia stale wyjeżdżają. Jeden ożenił się i mieszka w innym mieście, a drugi ciągle podróżuje. W pokojach nie ma już oznak życia

rodzinnego i głosy brzmią głucho, otwieranie zaś okien na spotkanie słońca nie wystarcza.

Tak więc Drogo raz jeszcze wspina się Kotliną Forteczną i ma przed sobą piętnaście lat mniej do przeżycia. Niestety, nie czuje się wielce zmieniony, czas upłynął tak szybko, że duch jego nie zdążył się zestarzeć. A chociaż rozkosz czerpana z mijających godzin każdego dnia rośnie, Drogo upiera się przy złudzeniu, że wszystko, co ważne, może go jeszcze spotkać. Giovanni cierpliwie czeka na swą godzinę, która jeszcze nie nadeszła, i nie myśli, że przyszłość straszliwie się skróciła, nie jest już taka jak kiedyś, gdy mogła się wydawać okresem przeogromnym, bogactwem niewyczerpanym, które można było bezkarnie trwonić.

Pewnego dnia spostrzegł się jednak, że od jakiegoś czasu przestał zażywać przejażdżek po esplanadzie za Fortecą. Stwierdził nawet, że nie ma na to ochoty i że w ciągu ostatnich miesięcy (od kiedy to dokładnie?) nie przeskakiwał schodów po dwa stopnie naraz. Głupstwo, pomyślał, fizycznie ciągle czuł się tak samo; wszystko miało znowu wrócić do normy, nie było wątpliwości, więc podejmowanie jakichkolwiek sprawdzianów byłoby czymś zupełnie zbędnym.

Nie, fizycznie Drogo się nie zmienił, i gdyby znów zaczął jeździć konno i biegać po schodach, na pewno dałby sobie radę, ale nie to jest ważne. Ważne jest, że nie odczuwa już ochoty, że po śniadaniu woli raczej drzemać na słońcu niż pędzić w górę i w dół po kamienistej esplanadzie. A to właśnie się liczy i określa dokładnie minione lata.

Och, gdyby o tym pomyślał od razu, pierwszego wieczora, kiedy zaczął wchodzić po jednym stopniu! Co prawda czuł się trochę zmęczony i ciążyła mu głowa. Nie miał też ochoty na zwykłą partyjkę kart (zresztą również przedtem rezygnował czasem z biegania po schodach ze względu na przejściowe niedomagania). Nie przyszło mu do głowy najmniejsze podejrzenie, że ten wieczór był bardzo smutny, a na stopniach schodów – o owej określonej godzinie – kończyła się jego młodość; że następnego dnia, bez żadnego specjalnego powodu, nie powróci już do dawnego zwyczaju; ani pojutrze, ani później, ani nigdy.

Teraz, gdy Drogo medytując jedzie konno stromą drogą na słońcu, a zwierzę, nieco już zmęczone, stąpa wolno, nagle jakiś głos wzywa go z drugiej strony kotliny.

– Panie kapitanie! – usłyszał okrzyk i obróciwszy się ujrzał, na tamtej drodze po przeciwległej stronie wąwozu, młodego oficera na koniu; nie poznał go, ale wydało mu się, że rozróżnia stopień porucznika, i pomyślał, że to chyba jakiś oficer z Fortecy, który wracał – podobnie jak on – z urlopu.

– Co takiego? – spytał Giovanni, zatrzymując się i odpowiadając na regulaminowy salut tamtego: czym mógł się kierować ów porucznik, aby krzyczeć do niego, w dodatku w formie aż nadto niedbałej?

Skoro tamten nie odpowiadał: – Co takiego? – powtórzył głośniejszym głosem, tym razem już nieco urażony.

Wyprostowany w siodle, nieznany porucznik zwinął dłonie w trąbkę i odpowiedział pełnym głosem:

– Nic, chciałem pana pozdrowić!

Giovanniemu wyjaśnienie to wydało się głupie, prawie obraźliwe i zakrawające nieomal na żart. Jeszcze pół godziny konno, aż do mostu, i potem obie drogi się łączą. Jakaż istniała więc potrzeba okazywania tak mieszczańskiej przesady?

– Z kim mówię? – krzyknął znowu Drogo.

– Porucznik Moro! – brzmiała odpowiedź lub raczej takie było nazwisko, które kapitan dosłyszał. Porucznik Moro? – zastanowił się. Nikt w Fortecy nie nosił takiego nazwiska. Czyżby nowy podkomendny przyjeżdżający na służbę?

Dopiero wtedy uderzyło go – z bolesnym rezonansiem w duszy – wspomnienie bardzo dawnego dnia, kiedy po raz pierwszy jechał do Fortecy, i jego spotkania z kapitanem Ortizem, właśnie w tym samym miejscu kotliny, i ówczesne swoje pragnienie, aby porozmawiać z osobą przyjazną, i wreszcie męczący dialog prowadzony wzdłuż wąwozu.

Dokładnie jak tamtego dnia, pomyślał, z tą różnicą, że strony się zmieniły, i teraz on, Drogo, był starym kapitanem po raz setny wspinającym się do Fortecy Bastiani, podczas gdy nowym porucznikiem był niejaki Moro. Osoba nieznana. Drogo zrozumiał, że przez ten czas dojrzało całe pokolenie, że przekroczył już wierzchołek swego życia i przeszedł na stronę starych, po której owego dawnego dnia odnosił wrażenie, że znajduje się Ortiz. Mając ponad czterdzieści lat i nie dokonawszy niczego dobrego, bezdzietny, zu-

pełnie sam na świecie, Giovanni rozglądał się wokół przerażony, czując, jak jego gwiazda powoli zachodzi.

Widział skały pokryte krzakami, wilgotne jary, odległe nagie szczyty gromadzące się na tle nieba, niewzruszone oblicze gór, a z drugiej strony ów nowy porucznik: nieśmiały i wyobcowany, który na pewno się łudził, że w Fortecy zostanie tylko parę miesięcy, i marzył o błyskotliwej karierze, chwalebnych wyczynach zbrojnych i romantycznych miłościach.

Dłonią poklepał po szyi zwierzę, które odwróciło przyjaźnie łeb, ale na pewno nie mogło go zrozumieć. Ścisnęło mu się serce; żegnajcie marzenia z dawnych czasów, żegnajcie piękne sprawy życia. Słońce błyszczało życzliwie ludziom i czyste, ożywcze powietrze schodziło w doliny, łąki przyjemnie pachniały, a głosy ptaków akompaniowały muzyce strumyka. Szczęśliwy dzień dla ludzi, pomyślał Drogo i zdumiał się, że pozornie nie różnił się on niczym od niektórych cudownych poranków jego młodości. Koń piał się coraz wyżej. Pół godziny później Drogo zobaczył most, na którym zbiegały się drogi, i pomyślał z przykrością, że za chwilę będzie musiał nawiązać rozmowę z nowym porucznikiem.

XXVI

Dlaczego teraz, gdy zakończono budowę drogi, cudzoziemcy zniknęli? Dlaczego ludzie, konie i wozy zawrócili i poszli wielką równiną aż do mgieł północnych? Cała praca na nic?

Stwierdzono rzeczywiście, że zastępy robotników ziemnych oddalały się – jeden po drugim – aż znów stały się maleńkimi punkcikami widocznymi tylko przez lornetkę, jak piętnaście lat temu. Otwarto więc drogę żołnierzom: teraz może z powodzeniem nadciągnąć armia i zaatakować Fortecę Bastiani.

A jednak nadciągającej armii nie było widać. Przez całą Pustynię Tatarów ciągnęło się tylko pasmo drogi, szczególny znak porządku ludzkiego w jakże odwiecznym opuszczeniu. Armia nie przystąpiła do ataku, wszystko jakby pozostawało w zawieszeniu; kto wie na ile lat.

Tak więc równina była nadal nieruchoma, podobnie jak północne mgły i życie regulaminowe Fortecy: strażnicy odmierzali ciągle te same kroki od jednego do drugiego punktu trasy patrolu; jednakowa zupa wojskowa,

identyczne dni powtarzały się w nieskończoność niby żołnierz zaznaczający krok. Czas jednak biegł niezmordowany, nie troszcząc się o ludzi, wędrował poprzez świat na zgubę wielu pięknych rzeczy; nikomu nie udawało się przed nim uciec, nawet dzieciom ledwie urodzonym i jeszcze niemającym imienia.

Również twarz Giovanniego zaczynała pokrywać się zmarszczkami; włosy mu siwiały, krok stał się cięższy, a strumień życia odrzucił go w kierunku wirów przybrzeżnych, chociaż w gruncie rzeczy nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat. Naturalnie, Drogo nie odbywał już służby wartowniczej i otrzymał kancelarię w Dowództwie przyległą do biura podpułkownika Ortiza.

Kiedy zapadały ciemności, mała liczba wartowników nie była w stanie przeciwstawić się nocy, która rozpościerała swą władzę nad Fortecą. Rozległe sektory murów nie były strzeżone i stamtąd rozpoczynały wędrówkę myśli o ciemności oraz smutek osamotnienia. Stary fort był faktycznie jak zagubiona wyspa opasana pustymi terytoriami: po prawej i lewej góry, na południu długa niezamieszkała kotlina, a z drugiej strony Równina Tatarów. Dziwne odgłosy, jak nigdy dotąd, pobrzmiwały o późnej porze poprzez labirynty fortyfikacji, serca zaś wartowników zaczynały bić mocniej. Od jednego do drugiego krańca murów biegł jeszcze okrzyk: „Baczność! baczność!”, ale żołnierze przekazywali go z wielkim wysiłkiem, tak duża odległość dzieliła ich między sobą.

W tym czasie Drogo był świadkiem pierwszych niepokojów porucznika Moro, niby wiernej reprodukcji swojej młodości. Moro, także początkowo przestraszony, uciekł się do majora Simeoniego, który w pewnej mierze zastępował Mattiego, i przekonano go, aby został cztery miesiące, a w końcu został na dobre; Moro także nazbyt pilnie zaczął obserwować równinę północną i nową, nieużywaną drogę, na której rodziły się wojskowe nadzieje. Drogo chciał z nim porozmawiać i powiedzieć, żeby uważał i odszedł, póki czas, tym bardziej że Moro był chłopcem sympatycznym i skrupulatnym, ale zawsze z jakichś błahych powodów nie dochodziło do tej rozmowy. Zresztą prawdopodobnie nie przydałoby się to na nic.

Jedna po drugiej opadały szare kartki dni i czarne kartki nocy, a Drogo i Ortiz, i może jeszcze jakiś inny stary oficer czuli rosnący niepokój, że nie zdążą na czas. Niewrażliwi na niszczycielską pracę lat obcokrajowcy nie ruszali się, jakby byli nieśmiertelni i mogli beztrudno dla zabawy marnować długie lata. Forteca tymczasem chroniła ludzi biednych i bezbronnych wobec pracy czasu, a kres zbliżał się nieubłaganie. I choć kiedyś te lata wydawały się nieprawdopodobnie dalekie, teraz oto – ni stąd, ni zowąd – ukazywały się

na pobliskim horyzoncie i przypominały o upływających terminach. Za każdym razem – aby móc kontynuować – trzeba było wymyślać nowy system, znajdować nową skalę porównawczą i pocieszać się, jeśli nie zdawały egzaminu.

Aż w końcu i Ortiz musiał pójść na emeryturę (a na równinie północnej nie dostrzegano najmniejszej oznaki życia, nawet maleńkiego światła). Podpułkownik Ortiz przekazał funkcje nowemu dowódcy Simeoniemu, zebrał żołnierzy na dziedzińcu, oczywiście z wyjątkiem oddziałów ze służby wartowniczej, z trudem wygłosił przemówienie, wsiadł na konia z pomocą adiutanta i wyjechał z bramy Fortecy. Eskortował go porucznik i dwóch żołnierzy.

Drogo towarzyszył mu do krawędzi esplanady, gdzie się pożegnali. Był to letni poranek, po niebie sunęły chmury, których cienie zostawiały dziwne plamy na pejzażu. Zszedłszy z konia, podpułkownik Ortiz stanął z Drogiem na uboczu i obaj milczeli, nie wiedząc, jak się rozstać. Potem wypowiedzieli słowa wymuszone i banalne, tak bardzo różne i uboższe od tego, co nosili w sercach.

– Teraz dla mnie życie się zmienia – rzekł Drogo. – Chciałbym odjechać razem z panem. Mam niemal ochotę złożyć dymisję.

Ortiz rzekł: – Jesteś jeszcze młody! Zrobiłbyś głupstwo, ty jeszcze zdążysz!

– Co zdążę?

– Zdążysz na wojnę. Zobacysz, zanim miną dwa lata... (Tak mówił, ale w sercu miał nadzieję, że nie; w rzeczywistości życzył sobie, żeby Drogo wrócił tak jak on, nie osiągnąwszy tego wielkiego szczęścia; wydałoby mu się niesprawiedliwe. A przecież dla Droga żywił przyjaźń i życzył mu jak najlepiej).

Giovanni nic nie powiedział.

– Zobacysz, zanim miną dwa lata, faktycznie... – nalegał jeszcze Ortiz, mając nadzieję, że tamten zaprzeczy.

– Gdzie tam dwa lata – odparł wreszcie Drogo. – Stulecia upłyną i nic się nie zmieni. Droga jest opuszczona, z północy nikt nie przyjdzie. – I chociaż tak brzmiały jego słowa, głos serca był inny: absurdalne, odporne wobec lat utrzymywało się w nim – od okresu młodości – owo głębokie

oczekiwanie swego przeznaczenia, niejasna pewność, że najlepsza część życia dopiero się rozpoczyna.

Znowu zamilkli, zauważywszy, że rozmowa ta ich rozdziela. Ale cóż mogli sobie powiedzieć, przeżywszy prawie trzydzieści lat w tych samych murach – karmiąc się tymi samymi marzeniami? Ich drogi po tak długim wspólnym marszu teraz się rozdzielały, prowadząc w różne strony i nieznane okolice.

– Co za słońce! – rzekł Ortiz i spoglądał (wzrokiem przyćmionym ze starości) na mury Fortecy, które opuszczał na zawsze. Ciągłe wyglądały tak samo: w identycznym żółtawym kolorze i tak samo romantyczne. Ortiz wpatrywał się w nie intensywnie i chyba jedynie Drogo potrafił odgadnąć, jak bardzo cierpi.

– Rzeczywiście ciepło – odparł Giovanni, przypominając sobie Marię Vescovi i dawną rozmowę w saloniku, gdy melancholijnie rozbrzmiewały akordy pianina.

– Dzień ciepły, faktycznie – dodał Ortiz i obaj się uśmiechnęli, instynktowny znak porozumienia, jakby mówiący, że dobrze znali znaczenie tych głupich słów. Ale oto chmura osłoniła ich swym cieniem i cała esplanada zaciemniła się na kilka minut, na zasadzie kontrastu zaś ponurym blaskiem błyszcząca Forteca, która jeszcze była zanurzona w słońcu. Dwa duże ptaki krążyły nad pierwszą redutą. Słyszać było daleki i ledwie dosłyszalny dźwięk trąbki.

– Słyszałeś? Trąbka – rzekł stary oficer.

– Nie, nie słyszałem – odrzekł Drogo, kłamiąc, gdyż czuł niejasno, że sprawi tym przyjacielowi przyjemność.

– Może się omyliłem. Jesteśmy zbyt daleko, faktycznie – przyznał Ortiz, głos mu drżał, a potem przemógł się i dodał:

– Przypominasz sobie pierwszy raz, kiedy tutaj przyjechałeś, jaki byłeś przerażony? Nie chciałeś zostać, pamiętasz?

Drogo zdołał tylko powiedzieć: – To było tak dawno... – Głos mu dziwnie uwiązł w gardle.

Potem Ortiz jeszcze coś powiedział, wracając do swych myśli:

– Kto to wie – rzekł – może na wojnie byłbym mógł służyć. Może byłbym przydatny. Na wojnie, bo co do reszty, jestem zero, jak widać.

Chmura powędrowała dalej, wyszła już poza Fortecę, teraz ślizgała się ponad opustoszałą Równiną Tatarów coraz bardziej na północ, milcząca. Żegnaj, żegnaj! Wróciło słońce i na ziemi znowu pokazały się cienie obu mężczyzn. Konie Ortiza i eskorty, dwadzieścia metrów dalej, uderzały kopytami o kamienie, objawiając niecierpliwość.

XXVII

Obraca się kartka, mijają miesiące i lata. Ci, którzy byli kolegami szkolnymi Droga, są prawie zmęczeni pracą, noszą brody kwadratowe i siwe, z powagą chodzą po mieście pozdrawiani z szacunkiem, niejeden jest już dziadkiem, a ich synowie są dojrzałymi ludźmi. Starzy przyjaciele Droga chętnie zatrzymują się na progu domu, który sobie zbudowali, i obserwują (zadowoleni z własnej kariery), jak płynie rzeka życia, a w wirze tłumu z przyjemnością rozpoznają synów, zachęcają ich, żeby się spieszyli, żeby prześcignęli innych i przyszli jako pierwsi. Tymczasem Giovanni Drogo jeszcze czeka, chociaż nadzieja słabnie z każdą minutą.

W końcu i on się zmienił. Ma pięćdziesiąt cztery lata, stopień majora i stanowisko zastępcy dowódcy szczupłego garnizonu Fortecy. Do niedawna nie był jeszcze bardzo zmieniony, rzecz by można, że młody. Od czasu do czasu, choć z trudem, odbywał dla higieny przejażdżkę po esplanadzie.

Potem zaczął chudnąć, twarz nabrała smutnego żółtego koloru, mięśnie zwiotczały. Zaburzenia wątroby, mówił doktor Rovina, bardzo już stary, uparcie zdecydowany, by tu dokończyć żywota. Proszki doktora Roviny nie przyniosły jednak efektu i rano Giovanni budził się z przygnębiającym uczuciem zmęczenia, które chwyciło go za kark. Siedząc w swym biurze nie mógł się doczekać wieczora, by móc rzucić się na fotel lub łóżko. Zaburzenia wątroby oraz wyczerpanie ogólne, mówił lekarz, ale bardzo dziwne było to wyczerpanie przy trybie życia, jaki prowadził Giovanni. Sprawa przejściowa, częsta w tym wieku – mówił doktor Rovina – może trochę potrwać, ale nie ma obawy o komplikacje. W ten sposób do życia Droga wkroczyło dodatkowe oczekiwanie: nadzieja na wyzdrowienie. Zresztą, nie wyglądał na niecierpliwego. Pustynia północna była ciągle pusta i nic nie pozwalało przepowiadać ewentualnego nadejścia nieprzyjaciela.

– Masz lepszą cerę – mówili prawie codziennie koledzy, ale Drogo nie czuł najmniejszej nawet poprawy. Owszem, zniknęły bóle i męczące początkowe biegunki; nie uskarżał się na żadne konkretne cierpienie. Stawał się jednak coraz słabszy.

Simeoni, dowódca Fortecy, mawiał do niego: – Weź urlop, wyjedź i odpocznij. Pobyt w nadmorskiej miejscowości dobrze ci zrobi. – Ale Drogo mówił, że nie, że się czuje lepiej i woli zostać. Simeoni potrząsał głową z dezaprobatą, jakby niewdzięczny Giovanni odrzucał cenną radę odpowiadającą duchowi regulaminu, efektywności pracy garnizonu i osobistym korzyściom. Pod komendą Simeoniego wszyscy żalowali odejścia Mattiego, tak bardzo dawał innym odczuć własną, jakże szlachetną doskonałość.

Obojętne, co mówił, jego słowa, pozornie nawet najserdeczniejsze, w odczuciu wszystkich zachowywały zawsze niejasny posmak wymówki, prawie tak, jakby tylko on spełniał obowiązek do końca, tylko on był podporą Fortecy, tylko on starał się rozwiązać niekończące się kłopoty, które w przeciwnym razie wszystko by zaprzepaściły. Również Matti za swoich dobrych czasów był trochę podobny, ale mniej obłudny; Matti nie ukrywał oschłości serca, a jego bezlitosna szorstkość w stosunku do żołnierzy nie była nazbyt przykra.

Na szczęście Drogo zdołał się zaprzyjaźnić z doktorem Roviną, który popierał jego wolę pozostania. Dziwny przesąd opanował Droga: wydawało mu się, że gdyby teraz z powodu choroby opuścił Fortecę, to nigdy by już nie wrócił. Myśl ta budziła w nim lęk. Dwadzieścia lat temu, owszem, byłby odszedł, chciał zacząć spokojne i eleganckie życie garnizonowe z manewrami letnimi, ćwiczeniami strzeleckimi, wyścigami konnymi, teatrami, towarzystwem, pięknymi paniami. Ale teraz – cóż mu pozostało? Zaledwie kilka lat brakowało do emerytury, kariera się skończyła, co najwyżej mógł otrzymać miejsce w jakimś dowództwie aż do zakończenia służby. Zostało mu kilka lat jako ostatnia rezerwa i może jeszcze doczeka się wydarzenia, na które od dawna liczył. Minęły już dobre lata; teraz chciał tylko czekać aż do ostatniej minuty.

Rovina pragnąc przyspieszyć kurację, radził Drogowi, żeby się nie przemęczał, żeby pozostawał cały dzień w łóżku i kazał przynosić sobie do pokoju sprawy, które miał rozpatrzyć. Działo się to w marcu, zimnym i deszczowym, kiedy z gór osuwały się potężne lawiny; całe wierzchołki nagle

spadały z nieznanymi powodów, roztrzaskując się w przepaściach, a ponure dudnienie godzinami rozlegało się wśród nocy.

W końcu pomalutku zaczęła się zbliżać wiosenna pora. Śnieg w przełęczy już się rozpuścił, ale wilgotne mgły wisiały nad Fortecą. Potrzebne było silne słońce, aby je rozpędzić, tak bardzo tchnęło jeszcze zimą w dolinach. Ale pewnego ranka, budząc się, Drogo zobaczył piękną smugę słońca błyszczącą na drewnianej posadzce i poczuł, że nadeszła wiosna.

Zawładnęła nim nadzieja, że dobrej pogodzie towarzyszyć będzie wzrost sił. Nawet w starych belkach na wiosnę budzą się resztki życia: stąd niezliczone skrzypienia w owe noce. Wszystko wydaje się ożywać na nowo, a fala zdrowia i radości przelewa się nad światem.

Tak właśnie myślał Drogo, przywołując na pamięć pisma słynnych autorów na ten temat, aby przekonać samego siebie. Chwiejąc się wstał z łóżka i podszedł do okna. Czuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie, ale pocieszył się myślą, że zawsze tak się dzieje, jeśli ktoś po wielu dniach wstaje z łóżka, nawet gdy jest już wyleczony. Zawrót głowy rzeczywiście minął i Drogo mógł ujrzeć blask słońca.

Radość bez granic zdawała się przelewać po świecie. Drogo nie mógł jej dostrzec bezpośrednio, gdyż naprzeciw znajdowała się ściana, ale czuł ją bez wysiłku. Stare mury, czerwona ziemia dziedzińca, ławeczki z wyblakłego drewna, pusty wózek, żołnierz wolno przechodzący, wszystko wydawało się zadowolone. A co dopiero na zewnątrz, za murami!

Kusiło go, żeby się ubrać, usiąść przy otwartym oknie na fotelu i wystawić się do słońca, ale lekki dreszcz go zaniepokoił i skłonił do pójścia do łóżka. „Ale dzisiaj czuję się lepiej, naprawdę lepiej”, pomyślał przekonany, że wcale nie robi sobie złudzeń.

Powoli rozwijał swe uroki ów zdumiewający wiosenny ranek, a smuga słońca na posadzce stopniowo się przesuwiała. Od czasu do czasu Drogo przyglądał się jej, nie mając wcale ochoty do studiowania szpargałów nagromadzonych na stole obok łóżka. Panowała niezwykła cisza, której nie były w stanie zakłócić nawet rzadkie sygnały na trąbce ani przeciekająca cysterna. Nawet po nominacji na majora Drogo nie chciał zmienić pokoju z obawy, że nie przyniosłoby mu to szczęścia; do kapiącej cysterny szczerze się przyzwyczaił i wcale go to nie męczyło.

Drogo oglądał muchę, która zatrzymała się na podłodze, właśnie na smudze światła, istota dziwna o tej porze roku, pewnie jakimś cudem przeżyła zimę. Z uwagą przyglądał się jej, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi.

Było to uderzenie różne od zwykłych, stwierdził Giovanni. Z pewnością nie ordynans ani kapitan Corradi z adiutantury, który zawsze prosił o pozwolenie na odwiedziny, ani nikt ze zwykłych gości. – Proszę! – krzyknął Drogo.

Drzwi się otworzyły i wszedł stary krawiec Prosdocimo, całkowicie zgarbiony, w dziwnym ubraniu, które kiedyś zapewne stanowiło mundur sierżanta. Zbliżył się, trochę posapując, wyciągnął prawy wskazujący palec i skierował go w stronę czegoś za murami.

– Nadchodzą! Nadchodzą! – wykrzyknął przytłumionym głosem, jakby to była wielka tajemnica.

– Kto nadchodzi? – spytał Drogo, zdziwiony, widząc krawca tak silnie czymś poruszonego. „No to przepadłem – pomyślał – zaraz zaczniesz swoje gawędy, a to potrwa co najmniej godzinę”.

– Idą drogą, mój Boże, drogą północną! Wszyscy wyszli na taras, żeby ich zobaczyć.

– Drogą północną? Żołnierze?

– Batalionami! całym batalionami! – krzyczał staruszek, nie panując nad sobą i zaciskając pięści. – Tym razem na pewno nie ma pomyłki. Zresztą, przyszedł list ze Sztabu Głównego powiadamiający, że wysyłają posiłki! Wojna! wojna! krzyczał, a Drogo nie mógł się zorientować, czy tamten nie był trochę przestraszony.

– Już ich widać? – spytał Drogo. – Bez lornetki? – Podniósł się i usiadł na łóżku owładnięty straszliwym niepokojem.

– Do licha, czy widać! Widać armaty, naliczyli już z osiemnaście!

– A kiedy będą mogli zaatakować, ile im jeszcze trzeba czasu?

– Ach, drogą to idzie szybko, uważam, że za dwa dni będą tutaj, najwyżej dwa dni!

Przekłete łóżko, mruknął do siebie Drogo, przygwoździła mnie choroba. Nawet mu przez myśl nie przeszło, żeby Prosdocimo mógł zmyślać. Nagle

poczuł, że wszystko było prawdą, i spostrzegł, że powietrze jakoś się zmieniło, nawet światło słoneczne.

– Prosdocimo – rzekł z wysiłkiem. – Zawołaj mojego adiutanta Luke, nie ma sensu na niego dzwonić, na pewno jest w adiutanturze i czeka, aż mu dadzą papiery. Szybko, proszę!

– Trzeba żwawo wstawać, panie majorze – poradził Prosdocimo, kierując się do wyjścia. – Proszę nie myśleć o swojej chorobie. Niech pan też przyjdzie na mury popatrzeć!

Szybko wyszedł, zapominając zamknąć drzwi; słychać było odgłos kroków oddalających się w korytarzu, a potem powróciła cisza.

Boże, spraw, bym czuł się lepiej, zaklinam cię, przynajmniej na sześć, siedem dni, szeptał Drogo, nie mogąc zapanować nad swoim podnieceniem. Chciał prędko wstać i za wszelką cenę natychmiast pójść na mury, żeby pokazać się Simeoniu. Niech widzą, że go nie brakuje, że jest na miejscu dowodzenia i podejmuje swoje obowiązki jak zwykle, tak jakby wcale nie chorował.

Bach! Podmuch wiatru w korytarzu gniewnie uderzył drzwiami. W wielkiej ciszy hałas odbił się silnymi złym echem niby odpowiedź na prośbę Droga. Dlaczego Luca nie przychodził? ile czasu potrzebował ten idiota, żeby zejść dwa piętra.

Nie czekając na niego Drogo dźwignął się z łóżka i znów ogarnęła go fala zawrotu głowy, która jednak powoli minęła. Stał przed lustrem i przestraszony spoglądał na twarz żółtą i wycieńczoną. To zarost sprawia, że tak wyglądam, próbował wmówić sobie Drogo; niepewnym krokiem, jeszcze w koszuli nocnej, krążył po pokoju szukając brzytwy. Ale dlaczego Luca jeszcze się nie zjawiał?

Bach! Znowu przeciąg uderzył drzwiami. – Niech je diabeł porwie! – rzekł Drogo i poszedł je zamknąć. W tym momencie usłyszał zbliżające się kroki adiutanta.

Ogolony i starannie ubrany – czuł jednak, że niknie w nazbyt luźnym mundurze – major Giovanni Drogo wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem, który wydał mu się znacznie dłuższy niż zazwyczaj. Luca znajdował się u jego boku, nieco z tyłu, gotów go podtrzymać, gdyż widział, że oficer ledwie

trzymał się na nogach. Fale zawrotów głowy wracały niespodzianie i za każdym razem Drogo musiał się zatrzymać i oprzeć o ścianę. Nadto jestem wzburzony, zapewne zwykła nerwowość, pomyślał, w sumie jednak czuję się już lepiej.

Zawroty głowy rzeczywiście przeszły i Drogo dotarł do górnego tarasu fortu, gdzie oficerowie wpatrywali się przez lornetki w widoczny trójkąt równiny, którego nie przesłaniały góry. Silny blask słońca, do którego nie był przyzwyczajony, oślepił Giovanniego i dlatego odpowiedział niestaranie na salut obecnych oficerów. Wydawało mu się (ale może była to tylko zła interpretacja), że podkomendni salutowali z pewną niedbałością, prawie tak, jakby nie był już ich bezpośrednim przełożonym, czyli w pewnym sensie arbitrem codziennego ich życia. Czyżby uważali go już za skończonego?

Owa nieprzyjemna myśl szybko uleciała mu z głowy, gdyż wróciła największa troska: myśl o wojnie. Drogo przede wszystkim dostrzegł, że znad skraju Nowej Reduty unosi się lekki dym, a więc znów postawiono tam wartę i podjęto już środki wyjątkowe; Dowództwo zaczęło działać, ale nikt nie zwrócił się do niego, do zastępcy dowódcy. Nawet go nie uprzedzono. Gdyby Prosdocimo nie zawołał go z własnej inicjatywy, Drogo pozostałby jeszcze w łóżku nieświadomy istniejącej groźby.

Ogarnął go gniew pałacy i gorzki, oczy mu się przyćmiły i musiał się oprzeć o parapet tarasu; uczynił to, kontrolując się w najwyższym stopniu, żeby inni nie mogli się domyślić, w jakim znalazł się stanie. Czuł się potwornie samotny, sam wśród nieprzyjaznych ludzi. Owszem, niektórzy młodzi porucznicy, jak Moro, byli mu oddani, ale jakie znaczenie miało dla niego poparcie podwładnych?

Tymczasem usłyszał rozkaz „baczność”. Przyspieszonym krokiem zbliżył się podpułkownik Simeoni, który aż poczerwieniał na twarzy.

– Od pół godziny wszędzie cię szukam! – wykrzyknął do Droga. – Już nie wiedziałem, co robić! Trzeba podjąć decyzje!

Podszedł z przesadną serdecznością, marszczył brwi, jakby był bardzo przejęty i pragnął uzyskać radę od Droga. Giovanni czuł się rozbrojony, jego gniew nagle wygasł, chociaż dobrze wiedział, że Simeoni go oszukiwał. Simeoni wyobrażał sobie, że Drogo nie jest w stanie ruszyć się z łóżka, więc nie troszcząc się o niego, sam podjął decyzję. Chciał go tylko poinformować, kiedy wszystko już będzie wykonane; potem dowiedział się, że Drogo krąży po Fortecy, i pobiegł go szukać, pragnąc okazać dobrą wolę.

– Mam pismo od generała Stazziego – rzekł Simeoni, uprzedzając pytania Droga i prowadząc go na ubocze, żeby inni nie mogli dosłyszeć. – Nadchodzą dwa pułki, rozumiesz? Ale gdzie je umieścić?

– Dwa pułki posiłków? – spytał osłupiały Drogo.

Simeoni wręczył mu list. Generał oznajmiał, że ze względu na bezpieczeństwo – w obawie przed ewentualnymi prowokacjami nieprzyjaciela – dwa pułki, czyli siedemnasty piechoty oraz jeszcze inny wraz z grupą lekkiej artylerii, zostały wysłane, żeby wzmocnić garnizon Fortecy; trzeba znów wprowadzić, i to jak najszybciej, służbę wartowniczą według dawnego składu, tzn. w pełnej sile, a także przygotować zakwaterowanie dla oficerów i żołnierzy. Część, naturalnie, rozbija namioty.

– Wysłałem już pluton do Nowej Reduty. Chyba dobrze zrobiłem, prawda? – dodał Simeoni, nie dając Drogowi czasu na odpowiedź. – Widziałeś ich?

– Tak, tak, dobrze zrobiłeś – odparł Giovanni ze znużeniem. Słowa Simeoniego wchodziły mu do uszu dźwiękami urywanymi i nierealnymi, otaczające go zaś przedmioty chygotały nieprzyjemnie. Drogo czuł się źle, ogarnęło go nagle straszne wyczerpanie i całą wolę skoncentrował na wysiłku, aby utrzymać się na nogach. Och, Boże, Boże, błagał w duchu, pomóż mi choć trochę!

Chcąc zamaskować zapaść, kazał podać sobie lornetkę (była to słynna lornetka porucznika Simeoniego) i zaczął patrzeć w stronę północy, oparłszy łokcie o parapet, co pomogło mu utrzymać się na nogach. Och, gdyby nieprzyjaciel choć trochę poczekał, wystarczyłby tydzień, żeby doprowadzić się do lepszego stanu; zwlekali tyle lat, czy nie mogli poczekać jeszcze kilka dni? Tylko kilka dni?

Spojrzał przez lornetkę na widoczny trójkąt pustyni z nadzieją, że niczego nie dostrzeże, że droga będzie pusta i nie znajdzie śladu życia; tego życzył sobie Drogo po strawieniu życia na oczekiwaniu na nieprzyjaciela.

Miał nadzieję, że niczego nie zauważy, a tymczasem ciemna smuga przecinała ukośnie białawą równinę i smuga ta się poruszała, gęsty zaś rój ludzi i konwojów zmierzał ku Fortecy. Coś zupełnie innego niż nędzne szeregi zbrojnych w czasie wytyczania granicy. Była to armia Północy i kto wie...

W tym momencie Drogo zobaczył, że obraz w lornetce zaczął wirować, potem zrobił się ciemniejszy, wreszcie zapanowała zupełna ciemność. Zemdlny, opadł na parapet jak kukła. Simeoni zdążył go pochwycić; podtrzymując ciało pozbawione życia, wyczuł poprzez materiał wychudły szkielet.

XXVIII

Minał dzień i noc, a major Giovanni Drogo leżał w łóżku; od czasu do czasu dobiegało go tylko rytmiczne kapanie cysterny i nie słyszał nic więcej, chociaż w całej Fortecy z każdą minutą narastał niespokojny ferment. Odizolowany od wszystkiego, Drogo w napięciu wsłuchiwał się w swe ciało, chcąc się zorientować, czy utracone siły zaczynają wracać. Doktor Rovina powiedział, że to sprawa kilku dni. Ale ilu? Czy mógłby – gdy nadciągnie nieprzyjaciel – przynajmniej stanąć na nogi, ubrać się i dotrzeć na dach fortu? Od czasu do czasu wstawał z łóżka; za każdym razem zdawało mu się, że czuje się nieco lepiej; szedł, nie podpierając się aż do lustra, ale tu ponury obraz jego twarzy, coraz bardziej ziemistej i wychudłej, niweczył na nowo wszystkie nadzieje. Z zawrotem głowy wracał, chwiejąc się, do łóżka, złorzeczając lekarzowi, który nie umiał go wyleczyć.

Smuga słońca na posadzce wykonała już szeroki obrót; powinna być co najmniej jedenasta, niezwykle głosy dochodziły z dziedzińca, a Drogo leżał nieruchomy, wpatrując się w sufit, kiedy do pokoju wszedł nagle podpułkownik Simeoni, dowódca Fortecy.

– Jak się czujesz? – zapytał żywo. – Trochę lepiej? Ale jesteś jeszcze bardzo blady, wiesz?

– Wiem – odparł chłodno Drogo. – Czy tamci z Północy podeszli już bliżej?

– Mało, że bliżej – rzekł Simeoni. – Artyleria jest już na szczycie występu skalnego i teraz ją ustawiają... ale musisz mi wybaczyć, że nie przyszedłem... miałem istne piekło. Po południu przybędą pierwsze posiłki; dopiero teraz znalazłem pięć minut czasu...

Drogo rzekł i aż się zdumiał, że głos mu drży: – Mam nadzieję, że jutro wstanę, będę mógł trochę ci pomóc.

– Ach nie, nie, nawet o tym nie myśl, staraj się tylko wyzdrowieć i nie sądź, że o tobie zapomniałem. Mam dobrą wiadomość: dzisiaj przyjedzie wspaniały powóz, żeby ciebie zabrać. Wojna czy nie wojna, przede wszystkim przyjaciele... – odważył się powiedzieć.

– Powóz, żeby mnie zabrać? Dlaczego zabrać?

– Ależ tak, po ciebie. Chyba nie chcesz ciągle leżeć w tej izbie. W mieście szybciej się wyleczysz, w ciągu miesiąca staniesz na nogi. I nawet nie myśl o nas tutaj; najważniejsze zostało już przygotowane.

Okropny gniew ogarnął Drogo, aż odniósł wrażenie, że krew zakrzepła mu w żyłach. On, który zrezygnował z najlepszych rzeczy w życiu, żeby czekać na nieprzyjaciela, on, który od przeszło trzydziestu lat karmił się ową jedyną wiarą, jego wypędzano właśnie teraz, kiedy wreszcie nadchodziła wojna?

– Powinieneś być przynajmniej mnie o to zapytać – odparł głosem drżącym od gniewu. – Nie ruszę się, chcę tu pozostać, jestem mniej chory, niż sądzisz, jutro wstanę...

– Spokojnie, na miłość boską, bo niczego nie zdziałamy; jeśli będziesz się unosił, to zrobi ci się jeszcze gorzej – rzekł Simeoni z wymuszonym uśmiechem wyrozumienia. – Wydawało mi się, że tak będzie dużo lepiej, również Rovina mówi...

– Co znowu Rovina? Czy Rovina ci powiedział, żeby sprowadzić powóz?

– Nie, nie. O powozie nie rozmawiałem z Roviną. Ale on twierdzi, że dobrze by ci zrobiła zmiana powietrza.

Wtedy Drogo pomyślał, żeby porozmawiać z Simeonim jak z prawdziwym przyjacielem i otworzyć przed nim duszę, jak uczyniłby wobec Ortiza; przecież również Simeoni w końcu był człowiekiem.

– Słuchaj, Simeoni – zaczął, zmieniając ton – wiesz, że tu w Fortecy... wszyscy zostali w nadziei... Trudno mi powiedzieć, ale i ty wiesz o tym dobrze – nie umiał znaleźć właściwych słów, ale jak tu tłumaczyć pewne sprawy takiemu człowiekowi? – że gdyby właśnie nie ta możliwość...

– Nie rozumiem – rzekł Simeoni z ewidentnym znużeniem. Czyżby Drogo stawał się w dodatku patetyczny? – pomyślał. Choroba aż tak go rozmiękczyła?

– Ależ na pewno rozumiesz – nalegał Giovanni. – Przeszło trzydzieści lat jestem tutaj i czekam... zrezygnowałem z wielu możliwości. Trzydzieści lat to jest coś i wszystko po to, żeby doczekać się tych nieprzyjaciół. Nie możesz wymagać teraz... Nie możesz wymagać ode mnie, żebym sobie poszedł, nie możesz, mam nawet prawo zostać, tak mi się wydaje...

– Dobrze – odparł zirytowany Simeoni. – Myślałem, że ci wyrządzam przysługę, a ty odpowiadasz w taki sposób. Nie warto było się wysilać. Specjalnie wysłałem dwóch gońców, specjalnie opóźniłem marsz baterii, żeby powóz mógł przyjechać.

– Ależ nie mam nic przeciwko tobie – rzekł Drogo. – Jestem ci nawet wdzięczny. Zrobiłeś tak, bo chciałeś jak najlepiej, rozumiem – och, co za męczarnia, pomyślał, musi być grzeczny wobec tego ścierwa – zresztą powóz może się tu zatrzymać, teraz nawet nie jestem w stanie odbyć podobnej podróży – dodał nieostrożnie.

– Przed chwilą mówiłeś, że jutro wstaniesz, teraz mówisz, że nawet nie możesz wejść do powozu; wybacz, ale nie wiesz, czego chcesz...

Drogo próbował się poprawić: – Och, nie, to dwie różne rzeczy, co innego odbyć podobną podróż, a co innego wyjść na mury; mogę nawet zabrać ze sobą stołek i usiąść, jak poczuje się słabo (chciał powiedzieć „krzesło”, ale słowo to mogło się wydać śmieszne) – stamtąd mogę kontrolować służbę, mogę przynajmniej wszystko widzieć.

– Dobrze, zostań więc! – odparł jakby konkludując Simeoni – ale nie wiem, gdzie umieszczę w nocy oficerów, którzy już przybywają; przecież nie mogę ich ulokować w korytarzach ani w kantynie! A w tym pokoju mogłyby stać trzy łóżka...

Drogo spojrział na niego zmrożony. Więc Simeoni do tego zmierzał? Chciał go wysłać, żeby mieć wolny pokój? Tylko dlatego? Ładna troska i przyjaźń. Powinienem być zrozumieć od samego początku, pomyślał Drogo, należało się tego spodziewać po podobnej kanalii.

Ponieważ Drogo milczał, Simeoni, nabrawszy odwagi, ciągnął dalej: – Trzy łóżka zmieszczą się doskonale. Dwa wzdłuż ściany i trzecie w rogu. Widzisz? Drogo, jeśli mnie posłuchasz – dodał już bez najmniejszego, nawet czysto ludzkiego względu – jeśli mnie posłuchasz, to prawdę mówiąc ułatwisz mi zadanie, bo siedząc tutaj, wybacz, że ci to mówię, ale nie wiem, co mógłbyś robić użytecznego w takim stanie zdrowia.

– Dobrze – przerwał Giovanni. – Zrozumiałem; wystarczy na dziś, proszę, a poza tym głowa mnie boli.

– Wybacz – rzekł tamten – wybacz, że nalegam, ale chciałbym od razu załatwić tę sprawę. Powóz jest już w drodze. Rovina skłania się do wyjazdu i pokój zostanie wolny, a ty szybciej się wyleczysz; w gruncie rzeczy ja, trzymając ciebie chorego tutaj, brałbym na siebie wielką odpowiedzialność, gdyby się coś wydarzyło. Chcesz mnie zmusić do wzięcia zbyt wielkiej odpowiedzialności, szczerze ci powiem.

– Słuchaj – odparł Drogo, ale zrozumiał, że walczyć byłoby absurdem; tymczasem wpatrywał się w słoneczną smugę wznoszącą się po drewnianej ścianie i wydłużającą się na ukos. – Wybacz, że ci odmówię, ale wolę zostać. Nie będziesz miał kłopotów, gwarantuję, jeśli chcesz, to złożę oświadczenie pisemne. Odejdź, Simeoni, i zostaw mnie w spokoju, może mało mam przed sobą życia, pozwól, żebym tu został, od przeszło trzydziestu lat śpię w tym pokoju...

Tamten milczał przez chwilę, z pogardą spojrzął na chorego kolegę, uśmiechnął się złośliwie, potem zapytał oburzoną głosem:

– A gdybym żądał jako przełożony? Gdyby to był rozkaz, co byś uczynił? – i zrobił przerwę, rozkoszując się wywartym wrażeniem.

– Tym razem, kochany Drogo, nie okazujesz zwykłego ducha wojkowego; przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale w końcu wyjedziesz w miejsce bezpieczne i kto wie, ilu chciałoby się z tobą zamienić. Zakładam nawet, że ci przykro, ale przecież nie można mieć w życiu wszystkiego, trzeba się z tym pogodzić... Przyślę ci adiutanta, żeby spakował rzeczy. O godzinie drugiej powóz powinien już tu być. Zobaczymy się później...

Tak powiedział i szybko odszedł, celowo, żeby nie zostawić Drogowi czasu na nowe obiekcje. Zamknął drzwi z wielkim pośpiechem, oddalił się korytarzem zwawym krokiem, jak osoba z siebie zadowolona, która doskonale panuje nad sytuacją.

Zaległa śmiertelna cisza. Plum! Woda w cysternie za ścianą. Potem w pokoju słychać było tylko ciężki oddech Droga trochę podobny do łkania. A na zewnątrz dzień trwał w największym blasku, aż kamienie zaczęły się rozgrzewać; słychać było daleki i równy plusk wody uderzającej o strome zbocza; nieprzyjacieli zbierał się pod ostatnim wzniesieniem skalnym naprzeciw Fortecy, a drogą na równinie nadal ciągnęły wojska i pojazdy. Na

stokach fortu wszystko już gotowe, amunicja w porządku, żołnierze należycie przygotowani, broń sprawdzona. Wszystkie spojrzenia skierowane na północ, chociaż nic nie widać z powodu gór sterczących z przodu (tylko z Nowej Reduty wszystko jest dobrze widoczne). Tak jak kiedyś, gdy zjawili się cudzoziemcy, żeby wyznaczyć granicę; podobnie jak wtedy niepewność ducha, fale strachu i radości. Nikt jednak nie ma czasu myśleć o Drogu, który z pomocą Luki ubiera się i przygotowuje do odjazdu.

XXIX

Był to rzeczywiście wytworny powóz, aż zanadto jak na wiejskie drogi. Mogłoby się wydawać, że należy do bogatego pana, gdyby na drzwiczkach nie było herbu pułku. W koźle siedziało dwóch żołnierzy, woźnica i adiutant Droga.

Wśród zamieszania panującego w Fortecy, do której już przybywały pierwsze eszelony posiłków, nikt nie zwracał zbytnej uwagi na wychudłego oficera, o twarzy mizernej i żółtawej, wolno schodzącego ze schodów i zmierzającego w stronę bramy wyjściowej do stojącego tam powozu.

Na zalanej słońcem esplanadzie właśnie widać było, jak zbliża się długi oddział żołnierzy, a także konie i muły, idący z doliny. Chociaż zmęczeni forsownym marszem, wojskowi, im bliżej było do Fortecy, tym bardziej przyspieszali kroku. Muzykanci na czele zdjęli z instrumentów pokrowce z szarego płótna, jakby zabierali się do grania.

Od czasu do czasu ktoś pozdrawiał Droga, ale niewiele i nie tak samo jak przedtem. Wszyscy prawdopodobnie wiedzieli, że odchodzi i przestaje się już liczyć w hierarchii Fortecy. Porucznik Moro i ktoś tam jeszcze przyszli życzyć mu szczęśliwej podróży; było to jednak pożegnanie bardzo krótkie, potraktowane ze zdawkową serdecznością, typową dla młodzieży wobec starszego pokolenia. Ktoś oznajmił Drogowi, że pan komendant Simeoni prosi go, aby zaczekał, gdyż na razie jest bardzo zajęty; niech pan major Drogo zechce cierpliwie poczekać kilka minut, gdyż pan komendant na pewno przyjdzie.

Ale gdy tylko wsiadł do powozu, Drogo natychmiast wydał rozkaz odjazdu. Obniżył budę, żeby móc lepiej oddychać, owinał nogi dwoma czy trzema ciemnymi pledami, na których wyraźnie widać było migotanie szabli.

Chwiejąc się na kamieniach, powóz ruszył esplanadą, a Drogo brał ostatni w swym życiu zakręt, który miał go już doprowadzić do celu. Zwrócony bokiem na siedzeniu, z głową huśtającą się przy każdym uderzeniu kół, Drogo wpatrywał się w żółte mury Fortecy, które stawały się coraz niższe.

W nich właśnie przeminęła jego egzystencja odcięta od świata; czekając na nieprzyjaciela dręczył się przeszło trzydzieści lat, a teraz, gdy cudzoziemcy wreszcie przybyli, został wygnany. Jego koledzy, którzy w mieście prowadzili życie łatwe i wesołe, nadchodzą teraz z wyniosłymi i wzgardliwymi uśmiechami, żeby obłowić się chwałą.

Oczy Droga wpatrywały się – jak nigdy dotąd – w żółtawe ściany Fortecy, w geometryczne linie kazamato w i prochowni. Wolne i bardzo gorzkie łzy spływały mu po pomarszczonej skórze; wszystko kończyło się nędznie i nic nie można było powiedzieć.

Nic, absolutnie nic nie przemawiało na jego korzyść; był sam na świecie i chory, a wypędzono go jak trędowatego. Przekłęci, przekłęci, powtarzał. Ale wolał odjechać i o niczym już nie myśleć, ponieważ w przeciwnym razie wybuch nieludzkiego gniewu dławiłby go w piersiach.

Słońce opadało już po drugiej stronie nieba, ale jeszcze miało przed sobą trochę drogi; w koźle dwaj żołnierze spokojnie gawędzili, obojętni na kwestię pozostania czy odjazdu. Brali życie takim, jakie było, nie dręcząc się absurdalnymi myślami. Powóz, wspaniale zbudowany, prawdziwy powóz dla chorego, chwiał się przy każdej nierówności terenu niczym delikatna waga. Tymczasem Forteca, na tle panoramy, stawała się coraz mniejsza i bardziej płaska, chociaż tego wiosennego popołudnia jej mury wyglądały olśniewająco.

Chyba po raz ostatni, to bardzo prawdopodobne, pomyślał Drogo, kiedy powóz dotarł do skraju esplanady, gdzie droga zaczynała zanurzać się w dolinie. Do widzenia, Forteco, rzekł do siebie. Ale Drogo był nieco oszołomiony i nie miał nawet odwagi zatrzymać koni, żeby raz jeszcze spojrzeć na starą twierdzę, która dopiero teraz, po wiekach, miała rozpocząć prawdziwe życie.

W oczach Droga pozostał więc przez moment obraz żółtawych murów, bastionów, tajemniczych redut i stojących po bokach skał poczerniałych od odwilży. Giovanniemu wydało się – ale przez ułamek sekundy – że mury nagle uniosły się ku niebu, jakby w świetle błyskawicy, a potem widok brutalnie znikł z powodu skarp pokrytych trawą, wśród których przebiegała droga.

Okolo piątej dotarł do małej gospody, tam gdzie droga biegła na zboczu wąwozu. U góry – jak prawdziwy cud – wznosiły się chaotyczne grzbiety pokryte trawą i rudą ziemią, niebotyczne góry, na których może nigdy jeszcze nie stanęła noga człowieka. W dole płynął strumień.

Powóz zatrzymał się na małym placu, przed gospodą w momencie, gdy przechodził batalion muszkieterów. Drogo zobaczył mijające go młode twarze, zaczerwienione od potu i zmęczenia oraz oczy patrzące na niego ze zdziwieniem. Jedynie oficerowie salutowali. Usłyszał głos spośród oddalających się żołnierzy: – Staruszek podróżuje z wygodami! – Nikt jednak się nie śmiał. Gdy tamci udawali się na bitwę, on tchórzliwie zjeżdżał na równinę. Jaki śmieszny oficer, myśleli prawdopodobnie żołnierze, o ile nie wyczytali z jego twarzy, że on też jechał na śmierć.

Nie udawało mu się uwolnić od dziwnego odrętwienia, jakby zasnuła go mgła: może sprawiło to huśtanie powozu, może choroba, a może po prostu ból wynikający stąd, że tak nędznie kończy życie. Absolutnie na: niczym mu już nie zależało. Myśl o powrocie do swego miasta, o włączeniu się chwiejnym krokiem po starym, opuszczonym domu lub leżeniu w łóżku przez długie miesiące wypełnione nudą i samotnością przerażała go. Nie chciał się spieszyć z przyjazdem. Postanowił spędzić noc w gospodzie.

Czekał, aż batalion przejdzie, pył uniesiony przez żołnierzy do reszty opadnie, a zgiełk furgonów zamieni się w szemranie strumyka. Potem wolno wysiadł z powozu, opierając się o ramię adiutanta.

Na progu siedziała kobieta zajęta robotą na drutach, a u jej stóp spało – w wiejskiej kołysce – dziecko. Drogo spoglądał zdumiony na cudowny sen, tak różny od snu ludzi dorosłych, tak delikatny i głęboki. Nie zrodziły się jeszcze w tej istocie ponure sny; mała duszyczka błędziła bezmyślnie bez pragnień i bez wyrzutów sumienia w łagodnych, czystych przestworzach. Drogo zatrzymał się, patrząc na śpiące dziecko, i głęboki smutek wkradł się do jego serca. Próbował wyobrazić sobie siebie jako dziecko, zagłębionego we

śnie, tego Droga, którego wcale nie zna. Na to nałożył się obraz jego ciała, zwierzęco uśpionego, wstrząsanego tajemnym niepokojem, o ciężkim oddechu, z ustami półotwartymi i opadającą szczęką. A przecież i on niegdyś spał jak to dziecko, on również był wdzięczny i niewinny, a jakiś stary oficer być może zatrzymał się i spoglądał na niego z gorzkim zdumieniem. Biedny Drogo, rzekł do siebie i zrozumiał własną słabość, ale w końcu został sam na świecie i oprócz niego nikt inny go nie kochał.

XXX

Siedział w głębokim fotelu w pokoju gospody: wieczór był cudowny, a przez okno wchodziło pachnące powietrze. Drogo w milczeniu spoglądał na niebo coraz bardziej szafirowe, na fiołkowe cienie szerokiej doliny i szczyty jeszcze zanurzone w słońcu. Forteca była daleko; nie widziało się nawet jej gór.

Musiał to być szczęśliwy wieczór również dla ludzi o przeciętnym powodzeniu. Giovanni myślał o mieście podczas zmierzchu, o słodkich niepokojach nowej pory roku, młodych parach w alejkach wzdłuż rzeki i akordach pianina dobiegających ze świecących się już okien. Gwizd odległego pociągu. Wyobraził sobie ognie nieprzyjacielskiego biwaku pośrodku równiny północnej, latarnie Fortecy kołyszące się na wietrze, bezsenność i cudowną noc przed bitwą. Wszyscy w ten czy inny sposób mieli jakiś powód, choćby mały, do nadziei. Wszyscy oprócz niego.

Niżej, we wspólnej sali, najpierw jakiś mężczyzna, a potem dwóch naraz zaczęło śpiewać coś w rodzaju ludowej piosenki miłosnej. Na szczycie nieba, tam gdzie błękit zrobił się głęboki, błyszczały trzy lub cztery gwiazdy. Drogo znajdował się sam w pokoju; adiutant zeszedł, żeby wypić kieliszek, a w rogach i pod meblami gromadziły się podejrzone cienie. Giovanni przez chwilę sądził, że nie potrafi oprzeć się (w końcu nikt go nie widział, nikt na świecie nie dowiedziałby się o tym), major Drogo przez chwilę poczuł, że musi dać upust nieznośnie udręczonemu sercu i się rozplącać.

Wtedy właśnie z ukrytej głębi wyłoniła się wyrazista i straszna nowa myśl: śmierć.

Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu, jakby prysnął jakiś czar. Zawroty głowy ostatnio zrobiły się silniejsze, potem nagle znikły, świat zastął w poziomej apatii, a zegary niepotrzebnie biegły naprzód. Ścieżka Droga dobiegała swego kresu; oto on na samotnym brzegu szarego i jednolitego morza, a wokoło ani domu, ani drzewa, ani człowieka i wszystko takie samo od niepamiętnych czasów.

Czuł, jak z najdalszych granic zbliża się do niego cień, zataczający coraz szersze kręgi, może była to sprawa godzin, może tygodni lub miesięcy; ale nawet miesiące i tygodnie są zupełnie niczym, jeśli nas dziela od śmierci. Życie kończyło się czymś w rodzaju żartu; z powodu dumnego zakładu wszystko zostało stracone.

Na zewnątrz niebo zrobiło się intensywnie szafirowe, ale na zachodzie na fioletowych konturach gór leżało pasmo światła. W pokoju zapadł mrok; odróżnić można było tylko groźne linie mebli, biel łóżka, błyszcząca szablę Droga. Stąd – zrozumiał to – dalej się nie ruszy.

Spowity w cieniu, podczas gdy na dole brzmiały słodkie pieśni wtórujące arpeggiom gitary, Giovanni Drogo poczuł, że narasta w nim ostatnia nadzieja. Sam na świecie i chory, wypędzony z Fortecy niczym niepotrzebny ciężar, on, który pozostał w tyle za wszystkimi, nieśmiały i słaby, miał odwagę wyobrazić sobie, że nie wszystko jeszcze skończone, ponieważ może naprawdę nadeszła jego wielka okazja, definitywna bitwa, która mogła mu zrekompensować całe życie.

Przeciw Giovanniemu Drogo faktycznie nadciągał ostatni nieprzyjaciel. Nie ludzie podobni do niego, nękani – podobnie jak on – pragnieniami i bólem, cieleśni, których łatwo zranić, z twarzami, na które można patrzeć, ale byt wszechpotężny i złośliwy; nie chodziło o walkę na szczycie murów wśród hałasu i podniecającego krzyku, pod błękitnym wiosennym niebem; u boku nie było przyjaciół, na których widok ożywia się serce, nie było cierpkiego zapachu prochu i strzałów ani obietnic chwały. Wszystko wydarzy się w pokoju nieznanego gospodarza, przy świetle świecy, w najgłębszej samotności. To nie walka, po której wracasz uwieńczony kwiatami słonecznym rankiem wśród uśmiechów młodych kobiet. Nikt na ciebie nie patrzy; nikt ci nie powie brawo.

Och, to dużo twardsza walka od tej, na którą kiedyś czekał. Nawet starzy, doświadczeni wojskowi woleliby nie próbować. Gdyż śmierć pod gołym niebem, w zgiełku bójki, godząca w ciało jeszcze młode i zdrowe,

wśród triumfalnego echa trąbki może być piękna; smutniejsze na pewno jest umieranie od rany, po długich cierpieniach, w pokoju szpitalnym; jeszcze smutniejsze, jeśli się kończy w domowym łóżku, wśród czułych lamentów, mdłych światel i butelek z lekarstwami. Ale nie ma nic trudniejszego od śmierci starej i brzydkiej, w obcej i nieznannej okolicy, w byle jakim łóżku jakiejś gospody, kiedy nikogo nie pozostawiło się na świecie.

Odwagi, Drogo, to ostatnia już strona; wyjdź na spotkanie śmierci po żołniersku i niech twoja błędna egzystencja przynajmniej dobrze się zakończy. Zemścij się wreszcie na przeznaczeniu; nikt nie będzie opiewać twej chwały, nikt ciebie nie nazwie bohaterem lub kimś podobnym, ale właśnie dlatego warto. Przekrocz spokojną stopą granicę cienia, wyprostowany jak na paradzie, i uśmiechaj się, jeśli ci się uda. Ostatecznie sumienia nie masz zbyt obciążonego i Bóg ci przebaczy.

Tak właśnie Giovanni mówił do siebie – niczym rodzaj modlitwy – czując, jak wokół niego zaciska się ostatni krąg życia. I z gorzkiej studni spraw minionych, niespełnionych pragnień, wycierpianych złościwości wydobyła się siła, na którą nigdy nie śmiałyby liczyć. Z niewysłowioną radością Giovanni Drogo nagle spostrzegł, że jest absolutnie spokojny, prawie gotów na nową próbę. Ach, więc nie można sobie rościć prawa do wszystkiego w życiu? Czy tak, Simeoni? Teraz Drogo ci pokaże.

Odwagi, Drogo. I próbował być silny, trzymać się twardo, żartować ze straszliwej myśli. Włożył w to całego ducha – w rozpaczliwym uniesieniu – jakby w pojedynkę natarł na całą armię. Nagle dawne obawy znikły, koszmary ustąpiły, a śmierć utraciła mrozącą twarz, zamieniając się w sprawę prostą i zgodną z naturą. Major Giovanni Drogo, wyczerpany chorobą i wiekiem, znękany człowiek, odnalazł siłę przed ogromnym czarnym portalem i spostrzegł, że odmykające się drzwi otwierają drogę światłu.

Jakże niewiele wynikało więc z krzątaniny na stokach Fortecy, z wpatrywania się w opustoszałą równinę pomocną, z trosk o karierę i długich lat oczekiwania. Nie musiał też już zazdrościć Angustinie. Tak, Angustina umarł na szczycie góry w sercu burzy, odszedł po swojemu, z wielką naprawdę elegancją. Ale dużo ambitniej było mężnie umierać tak jak Drogo, zżerany chorobą, wygnany do nieznanych ludzi.

Nie podobało mu się jedynie, że będzie musiał odejść z nędznym ciałem, wystającymi kośćmi, skórą białawą i zwiędłą. Angustina umarł niezmienny

– myślał Giovanni – jego obraz, bez względu na wiek, utrzymał w mocy wizerunek młodzieńca wysokiego i delikatnego, o szlachetnej twarzy i podobającego się kobietom: taki zachował przywilej. Ale kto wie, czy po przekroczeniu czarnego progu również on, Drogo, nie przybierze dawnej postaci; nie przystojny (gdyż nigdy nie był przystojny), ale świeży i młodzieńczy. Co za radość, szeptał Drogo na samą myśl jak dziecko, ponieważ czuł się dziwnie wolny i szczęśliwy.

Ale potem przyszło mu do głowy: a jeśli to wszystko jest oszustwem? Jeśli jego odwaga jest tylko upojeniem? Jeśli to jedynie sprawa cudownego zachodu słońca, pachnącego powietrza, przerwy w bólu fizycznym, melodii pianina dolatujących z dołu? I za kilka minut, za godzinę będzie znów poprzednim Drogo: słabym i pokonanym?

Nie, nie myśl, Drogo, wystarczy zmartwień. Najważniejsze już dokonane. Nawet jeśli zaatakuje cię ból, nawet jeśli nie będzie kojącej muzyki, a zamiast tej przepięknej nocy nadejdą cuchnące mgły, to rachunek będzie taki sam. Najważniejsze już dokonane; nie mogą cię oszukać.

Pokój wypełnił się ciemnością, z trudem można odróżnić biel łóżka, a cała reszta jest czarna. Niedługo powinien wzejść księżyc.

Zdaży go zobaczyć, czy będzie musiał wcześniej odejść? Drzwi pokoju skrzypnęły. Może to podmuch wiatru, zwykły powiew niespokojnej wiosennej nocy. A może ona już weszła cichym krokiem i oto zbliża się do fotela Droga. Zbierając siły, Giovanni nieco prostuje się, jedną dłonią poprawia kołnierzyk munduru, spogląda jeszcze przez okno, bardzo krótko, żeby ujrzeć ostatnią już porcję gwiazd. Potem w ciemności, chociaż nikt go nie widzi, uśmiecha się.